

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 11 (192) Listopad 2020



Kraków
nieodkryty

Jarosław Mikołajewski: Razem z naszymi zmarłymi

Krystyna Zachwatowicz o postawie obywatelskiej

Płuca Krakowa wzięły oddech

Prof. Julian Dutka: Ortopedia starszych ludzi

Łucja Mróz-Raynoch o Danielu Mrozie

9 771733 045002 10
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Wyobraźmy
sobie...



Dołącz do nas!
rejestracja.oees.pl

i zacznijmy
działać

#pozytywiści

FORMUŁA
HYBRYDOWA



open '20
eyes
economy
summit

Międzynarodowy Kongres
Ekonomii Wartości

17-18 XI 2020,
wszędzie, gdzie chcesz!
www.oees.pl

MIASTO GOSPODARZ



WSPÓŁORGANIZATORZY



SPONSOR STRATEGICZNY



GŁÓWNY PATRON MEDIALNY

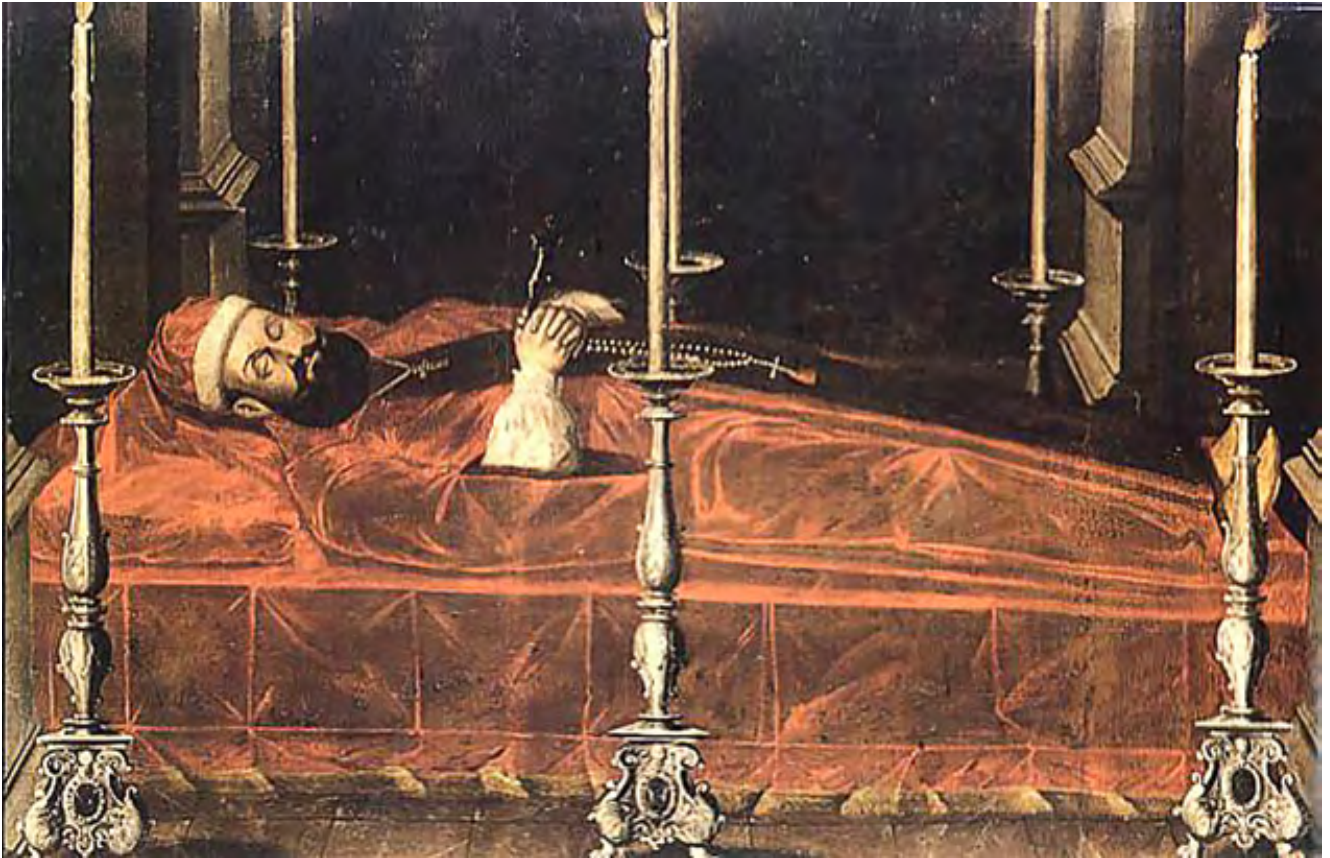


POWERED BY



ORGANIZATOR





Autor nieznan, *Krzysztof Opaliński na katafalku*, około 1655 roku, olej na płótnie, 140 x 212,5 cm, kościół oo. Bernardynów, Sieraków/
na licencji Wikimedia Commons

Ze zmarłymi czy bez

Tekst: Jarosław Mikołajewski

A czy my w ogóle mamy tu jakiś wybór...?

Jarosław Iwaszkiewicz w słynnym, bardzo elegijnym i nieskończenie pięknym wierszu *Stary poeta*:

[...]

Poeta mówi:

Żono! nie odchodź
Zostań chwilę ze mną

Chcę być sam
A kiedy ty odejdiesz
Zaraz przyjdą tacy:

Tużim przyjdzie
z gałęzią wielkich jabłek
jak ta co zabrał
z naszego srebrnego wesela

Czesław zaraz przyjdzie
taki młodziutki jak wtedy
kiedy przyjechał z Wilna
ze słowami: ubóstwiam pana
na ustach

Tolek przyjdzie
taki jak w Aidzie
kiedy opowiadał bajki Marysi

przyjdzie Olek z papugą
motyl przyleci
co kiedyś wleciał do naszej
sypialni
wielki i osobliwy

Tak się zaludni
dookoła...

„Się zaludni”. Przyjdzie Tuwim i Czesław. Kiedy Iwaszkiewicz pisał *Starego poetę*, Tuwim już nie żył, żył Miłosz. Żywi i martwi w jednym stali domu. Wchodzą, wychodzą na własnych równych prawach i my nie możemy tu nic. A raczej: nie – wchodzą, wychodzą. Przewaga obecności jest po stronie umarłych. Wchodzą – żywi. Umarli – są. Nie zapowiadają się telefonem, mailem. Chodzą pomiędzy nami i naszymi sprzętami. Uświadamiają się nam pod impulsem wdzięczności, żalu,

Świat duchów to czas teraźniejszy, tyle że poza naszą kontrolą.

że jednak nie ma ich na naszych warunkach, na nasze potrzeby, smutki, tęsknoty. Najczęściej – wyrzutów sumienia. Także o tym – głównie o tym – jest wiersz ks. Jana Twardowskiego *Śpieszmy się kochać ludzi*. O tym, że ci, co umierają, pozostawiają nam niechybnie tę jedną rzecz wspólną dla nas wszystkich, którym ktoś umiera: poczucie winy. Mówiła mi Ludmiła Mariańska, nieżyjąca już poetka, która przez swoje dni przedostatnie zajmowała się mężem chorym na alzheimera: „Choćbyś opiekował się umierającym przez 25 godzin na dobę i tak zostawi ci poczucie winy – za to, że nie wymyśliłeś godziny dwudziestej szóstej, siódmej, ósmej...”

Granica pomiędzy światem jednych i drugich jest umowna, administracyjna. Nie uczestniczą w iluzji aktów prawnych czy powinności rodzinnych, nie muszą chodzić do nikogo na cmentarz. Są aktywni w nas, w naszym widzeniu, odczuwaniu, słyszeniu, dotykaniu. Ktoś widział zmarłego ojca, i wyglądał zdrowo. Ktoś usłyszał kroki, ktoś poczuł dotyk czyjejś śmierci. Księżciu Danii pojawił się ojciec i wystawił na śmieszność swoim pośmiertnym przesłaniem... Duchy? Owszem, ale nie rozumiemy już tego słowa. Świat duchów to czas teraźniejszy, tyle że poza naszą kontrolą. „Jeśli zapomnę o Nich, Ty, Boże na Niebie, / Zapomnij o mnie” – zaklina bohater Mickiewicza. Słowa dumne i piękne, moralnie najwyższe, ale też bezradne, i dotyczą porządku innego niż pamięć. Mickiewiczowski Jan z III części *Dziadów* mówi o pamięci niekontrolowanej, lecz także o obowiązku przypominania – sobie i innym. Na poziomie pamięci ma opowieść tego, co widział. Zapamięta do końca życia – albo i nie – nie od niego będzie to zależeć. Jest jak pewien stary, bliski mi człowiek, który rozmawia już tylko ze zmarłymi i nikt z rodziny nawet nie zna ich imienia. Ci, o których pamięta Mickiewicz

w *Dziadów* części III, to ci, o których Maria Janion pisała: „Do Europy – tak, ale z naszymi zmarłymi”. Ci, którzy występują w zapomnianej dziś części drugiej, są pozaretoryczni. Amoralni – w tym sensie, że wobec ich istnienia nie możemy już nic. Jesteśmy w ich rękach, możemy tylko – musimy – być wśród nich, znosić ich natrętną obecność. To oni nam mówią, i o nas w swoim imieniu.

Tak więc być ze zmarłymi – w Europie, świecie, Polsce, w domu, w miasteczku Kraków czy miasteczku Warszawa – oznacza dwie różne rzeczy. Być skazanym na ich obecność i starać się o ich pamięć w nas. Pierwszy gatunek pamięci to Balladyna, która nie umie zatrzeć w sobie Aliny. Drugi – Antygona, która nie umie i chce zagubić w sobie Polinejkę. Pamięć – los, pamięć – zobowiązanie.

*
„Z naszymi zmarłymi”... Coś odpycha mnie od tak wyrażonej wspólnoty: obowiązek. Komunizm żywych i martwych jest dla mnie spontanicznym aktem serca, a ta spontaniczność ma swoje konsekwencje na poziomie działania. W determinacji Antygony, by pochować brata. Wszyscy jesteśmy zrobieni inaczej – ukształtowani przez los i przez nasze dojrzewanie, zdziocinienie.

„Z naszymi zmarłymi”... Pamiętam o ojcu, który umarł prawie trzydzieści lat temu. Lecz nie ma to wiele wspólnego z moralnym obowiązkiem. Prócz tego, że chodzę na cmentarz dla żyjącej mamy, która lubi widome akty pamięci i jest spokojniejsza, kiedy na grobach bliskich leżą kwiaty. I to, że dbam, na ile potrafię, o grób ojca, jest zobowiązaniem wobec mamy, nie wobec ojca. Wobec taty, bohatera swojej własnej śmierci, mam niekontrolowaną pamięć.

Mój pierwszy tom wierszy, z 1991 roku, widział obecność ojca z postawionym kołnierzem jesionki. Drugi – z 1994 roku – miał tytuł *Kołysanka dla ojca*, widział obecność dziury, która pozostała po nim w pejzażu. Chłodu krajobrazu pozbawionego jego sylwetki. I pisząc ten tom, myślałem, że formuję ostateczne pożegnanie. Ale gdzie tam... Powrócił w tomie trzecim, czwartym. W ostatnim, bodaj piętnastym. Wraca, bo zawsze był. Co książka, to iluzja, że przyszedł ostatni raz... Nic bardziej mylnego. Przychodzi zawsze. Po co? Dlaczego? Był bardzo intymnie rodzinny – myślę, że przychodzi, żebym go przytulił. Jestem bardzo intymnie rodzinny – myślę, że przychodzi, żeby mnie przytulić. Przychodzi dla swoich tęsknot. Przychodzi dla moich tęsknot. Przychodzi też, żebym spytał go o rzeczy i powiedział rzeczy, o które nigdy nie spytałem, których nigdy nie powiedziałem.

*

Okropne, bolesne są wyrzuty sumienia, a przecież to one są częstym, może najczęstszym impulsem do spotkania ze zmarłymi. Miałem w Krakowie dobrego kolegę, dla którego była to przyjaźń. Bogdan Rogatko, redaktor „Dekady Literackiej”. Że jest kochanym człowiekiem, czułem to zawsze. Lubił mnie, doceniał, zabiegał o spotkania – mówię to z wdzięcznością, ale bez dumy. Ze wstydem. Miał bowiem Bogdan kochany ten przyjacielski, tęskniący zwyczaj, by dzwonić na długie rozmowy w niedzielę rano, podczas śniadań i rodzinnych chwil. Mówiłem, że oddzwonię. Nie oddzwaniałem wcale lub rzadko. Aż najpierw zamilkł, potem umarł. Teraz, kiedy należy do innego nieporządku, przychodzi często. Tak fizycznie, ze swoją twarzą, ciepłym, wiecznie skrępowanym głosem. I to mnie boli. I nie jest to jego przychodzenie do mnie moją chlubną cnotą pamięci. Przychodzi jak śmierć w wierszu Cesarego Pavese – na swoich prawach. I nie mam wątpliwości, że to ja przychodzę do niego, nie on do mnie. Ale nie idę do Bogdana sam z siebie. Jadę w zaprzęgu wyrzutów sumienia, wobec których jestem bezbronny. I zadziwiająco zaskakuje mnie inne pytanie: czy, tak jak zmarli przychodzą do nas pod impulsem wyrzutów sumienia, i my przychodzimy do nich?

A nie znajdę błędem końca.
Wiecznych głodów jestem pastwą;
A któż mię nakarmić raczy?
Szarpie mię żarłoczne ptastwo;
A któż będzie mój obrońca?
Nie masz, nie masz mękom końca...!

Oto jak szamoce się duch Pana w II części *Dziadów*. Dokładnie jak my. Żywi są dłużnikami zmarłych, zmarli nie mogą pamiętać żywych. Aż wypali się ludzkie pamiętanie krzywdy własnej i cudzej. Niepamięć jest pozorna. I jeśli świat rodzinny zapomina, jest ktoś, kto podejmuje pamięć. W rodzinnym mieście mojego ojca nie ma ani jednego widomego grobu Żydów, którzy mieszkali tam od pięciuset lat. Nie dawało mi, i nie daje spokoju, od „żarłocznego ptastwa”. I kazało szukać jakiegoś grobu, aż ktoś miejscowy, kto potrzebował kilkuset złotych na rozwód, odezwał się do mnie, że może sprzedać fragment macewy... Ale to inna historia. Choć wcale nie.

*

Trzyma przy nadziei i przy życiu przypadek, kiedy ktoś może nie tyle pamięta, ile najpierw weźmie na siebie, adoptuje obowiązek pamięci i utrzymuje w stanie gotowości, nadaje jej żywych kolorów. Wspaniały po-

eta i eseista Piotr Matywiecki powiedział mi kiedyś w rozmowie o zapomnianych poetach mniej więcej tak: życie mnie uczy, że kiedy któryś świetny poeta wydaje się zapomniany,

Żywi są dłużnikami zmarłych, zmarli nie mogą pamiętać żywych. Aż wypali się ludzkie pamiętanie krzywdy własnej i cudzej.

ny, różnymi drogami odzyskuje pełną pamięć o nim/o niej, jakaś nowa, wrażliwa formacja, nowi, wrażliwi ludzie. Przypominają mi się te słowa płynące z doświadczonej mądrości, kiedy widzę, jak koledzy i przyjaciele z Instytutu Mikołowskiego zadbali o Witolda Wirpszę, o pamięć o poecie i jego wierszach. Jak zadbali też o zapomnianego żyjącego, wspomniałego poetę Krzysztofa Karaska. Jak Piotr Mitzner prowadzi serię poetycką Biblioteka Zapomnianych Poetów, w której wydał ostatnio Zygmunta Radka i Irenę Tuwim...

*

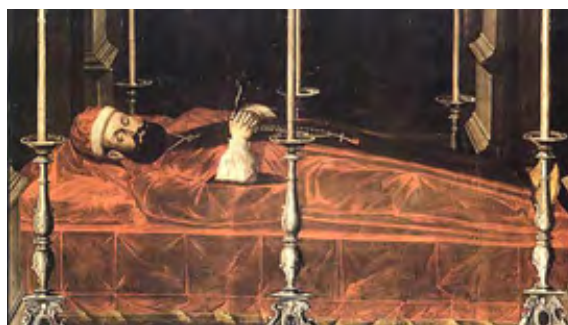
Jest więc niepamięć i pamięć sprawiedliwa? Nie sędzę. Nie cierpię banalnego porzekadła „historia oceni”. Historia nie wie nic. Zna fakty, nie zna człowieka, który był ich bohaterem. Człowiek nie podlega ocenie. Podlega próbie rozmowy i zrozumienia. I często nazywamy tę próbę pamięcią.



Jarosław Mikołajewski – poeta, eseista, autor książek dla dzieci oraz tłumacz (m.in. Dantego, Petrarcki, Pasoliniego i Primo Levięgo). W latach 2006–2012 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Rzymie. *Terremoto*, jego reportaż z Nursji, niewielkiego miasteczka zniszczonego przez trzęsienie ziemi jesienią 2016 roku, został w tym roku nominowany do Nagrody Nike.

**TEMAT MIESIĄCA:
ZE ZMARŁYMI CZY BEZ**

Jarosław Mikołajewski: **S. 1**
Żywi są dłużnikami zmarłych, zmarli nie mogą pamiętać żywych. Aż wypali się ludzkie pamiętanie krzywdy własnej i cudzej.



KRAKÓW MÓWI

Kobieta, która wie **S. 28**
 z Ewą Bielecką/Marta Gruszecka
Edukacja, głupcze! **S. 40**
 Jerzy Hausner i Mateusz Zmyślony

LUdzie, Miejsca, Wydarzenia

Czyste krakowskie podwórko **S. 12**
 Sylwia Pyzik
Medycyna jest sztuką (prof. Julian Dutka) **S. 18**
 Magda Oberc
Warszawianka, która pokochała Kraków **S. 26**
 Krystyna Zachwatowicz-Wajda
Anita Dolly Panek: z Kazimierza do Brazylii i z powrotem **S. 50**
 Katarzyna T. Nowak
GAP – fundacja na miarę Krakowa **S. 56**
 Tomasz Wojtas
Miasta czasów pandemii: bezpieczeństwo w chwili niepewności **S. 58**
Kronika kulturalna **S. 87, 89**
Krakowski łącznik **S. 90**
Kraków (Główny) **S. 91**
Linia A-B **S. 92**

ESEJ

Mój niezwykły Tata **S. 70**
 Łucja Mróz-Raynoch

REKOMENDACJE:

Ewa Lipska jest Kotem **S. 24**
 Magda Huzarska-Szumiec
Debiut piękny i nostalgiczny **S. 38**
 Witold Bereś
Foty Balbiny **S. 54**
 Ewa Kozakiewiczowa
Czysta sztuka, czyli Mróz **S. 60**
 Witold Bereś
Z Krakowa do ECM **S. 61**
 Krzysztof Burnetko
Ciekawe czasy i zwykli ludzie **S. 62**
 Ewa Danowska

OBYWATELE KRAKOWA

Biznes na miarę współczesności (Kasia i Zosia Pilitowskie) **S. 8**
 Sylwia Pyzik

KRAKÓW. NIEODKRYTY

Scena Berlin **S. 25**
 Marta Gruszecka

PORTRETY

Portrety 2020 (listopad) **S. 23**

HISTORIA

Kalendarium krakowskie: listopad 1920 **S. 63**
 Krzysztof Jakubowski

FOTO-RETRO

Pogrzeb Czepca z Wesela **S. 10**
 Krzysztof Jakubowski

TEATR

Teatr w czasach zarazy **S. 33**
 Magda Huzarska-Szumiec
Cicho jak w Sieradzu **S. 66**
 Paweł Głowacki

FILM

Rzecz o Januszu Majewskim **S. 74**
 Maria Malatyńska
Tematy do odstąpienia (Wojciech Jerzy Has) **S. 78**
 Łukasz Maciejewski

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka **S. 84**
Moja krakowska książka miesiąca **S. 88**
 Janusz M. Paluch

GALERIA „KRAKOWA”

Andrzej Nowakowski **S. 46**
 Magda Huzarska-Szumiec

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIECLE **S. 5**
 Ewa Lipska
OKIEM BERESIA **S. 6**
 Witold Bereś
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI **S. 7**
 Krzysztof Burnetko
SMOCZE JAJO **S. 80**
 Mieczysław Czuma
POZA KRAKOWEM **S. 82**
 Magdalena Miśka-Jackowska
BEDEKER KRAKOWSKI **S. 83**
 Iga Dzieciuchowicz
LUBIĘ LUBIĆ **S. 96**
 Agnieszka Kosińska

OKŁADKA

Fot. Andrzej Nowakowski

Gramatyka polityki

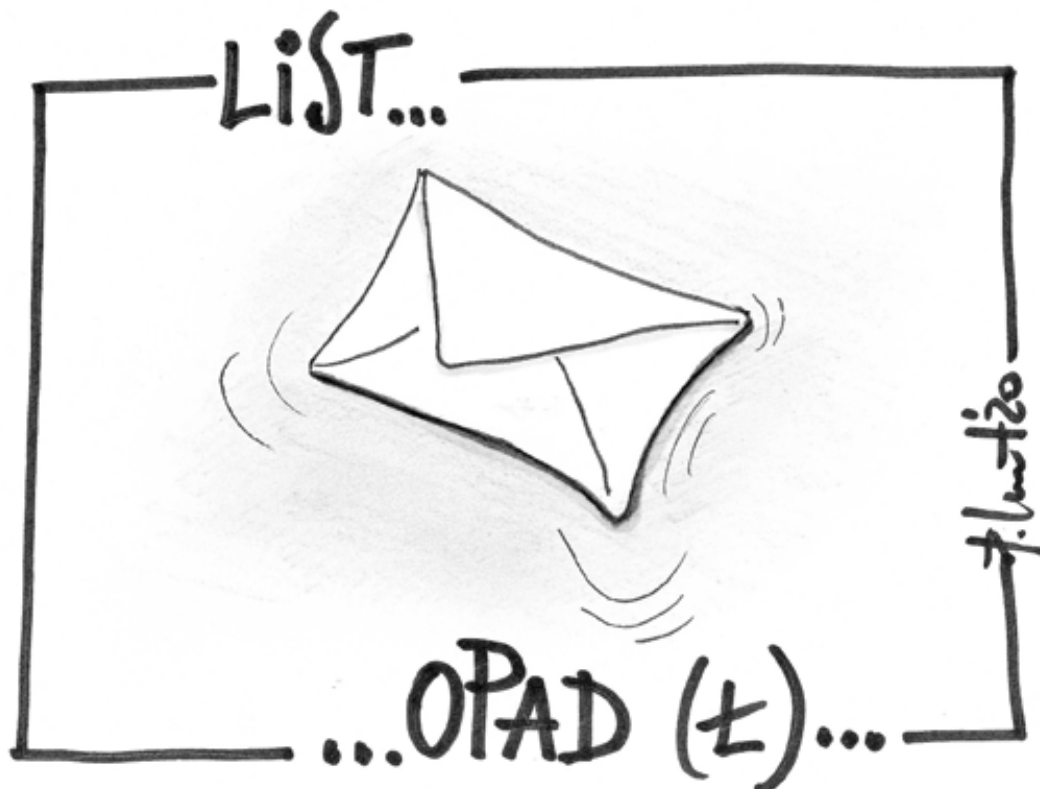
Tekst: Ewa Lipska

Podobno lęk przed ministrem sprawiedliwości jest tak wielki, że przestano jego nazwisko odmieniać. Na wszelki **przypadek**. Gdyby **komu (czemu), o kim (o czym)**

się mówi, było z **kimś (z czymś)** nie po drodze. Czasem miejscowy **Wołacz** może być na **Celowniku** i nie pomoże mu nawet wysoko postawiony **Narzędnik**.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Blachut

Listopad

Tekst: Witold Beres

Jak to się stało, że po pięciu ćwiartkach wieku, w roku 1918, wychyłała z nicości wolna Polska? I jakie z tego wnioski wypływają dla nas dzisiaj?

1795–1918. 123 lata przerwy w istnieniu państwa. To oznacza, że jesienią 1918 roku wolność odzyskuje pokolenie, w którym najstarsi członkowie rodzin nigdy nie widzieli niepodległej Polski. Dość powiedzieć, że Piotr Paweł Piłsudski, dziadek Józefa, urodził się w roku upadku Rzeczypospolitej – 1795, a zmarł jeszcze przed urodzeniem się wnuka.

Jeden z wielkich „Tygodnika Powszechnego”, pisarz Antoni Gołubiew mówił: „Zawsze jest inaczej”. Mnie jednak bliżej do Pascalowskiego stwierdzenia, że gdyby „nos Kleopatry był krótszy, inne byłyby losy świata”.

I nagle, w ciągu niespełna roku, te trzy części nie tylko uzyskują niepodległość, ale się scalają i powstaje państwo – lepsze czy gorsze, ale zdolne do obrony granic i odbudowy gospodarki.

Jak to tego doszło? Przecież pomimo udziału Polaków w elitach wszystkich zaborów, pomimo wysiłku militarnego Polska i Polacy byli drugorzędnym podmiotem w wielkim konflikcie 1914–1918. Ba, walki prowadzone przez polskie oddziały tak naprawdę były jedynie potyczkami, a do jesieni 1918 roku skala zaangażowania narodu w walkę o Niepodległą nie była porażająca.

A jednak jesienią 1918 roku, jak śpiewano, „ni z tego, ni owego, była Polska na pierwszym”.

Tak, tak, wiemy... Mozolna praca u podstaw w Wielkopolsce. Zachowanie kulturowych imponderabiliów w Krakowie. Śmiałe działania polityczne w Warszawie. No i krew przelana i atrament niechnący, i Bohaterowie.

Tyle że bohaterowie stuprocentowymi bohaterami nie byli. Nie było też czarno-biało. I sam diabeł nie wiedział, jak to się skończy.

A czy wypływa z tego jakaś lekcja dla nas dzisiaj? Oby nie.

Brodaty Marks gdzieś przypomina Hegla, że historia lubi się powtarzać. I komentuje: „Zapomniał dodać: za pierwszym razem jako tragedia, za drugim jako farsa”. Jeden z wielkich „Tygodnika Powszechnego”, pisarz, miłośnik historii Antoni Gołubiew mówił z kolei: „Zawsze jest inaczej”. Mnie jednak najbliższe do Pascalowskiego stwierdzenia, że gdyby „nos Kleopatry był krótszy, inne byłyby losy świata”.

*

Profesor Jacek Majchrowski przeprowadził kiedyś kwerendę – jesienią 1918 roku powstało ponad osiemdziesiąt (tak, osiemdziesiąt!) inicjatyw, które ogłaszały wszem i wobec niepodległość regionu, a za nim – całej Polski. Owszem, przebił się Piłsud-

ski, jakoś zaistniał Kraków, swoją legendę ma powstanie wielkopolskie (skuteczne – choć niejedyne, bo zwycięstwem też zakończyło się *de facto* trzecie powstanie śląskie). Ale poza tym? Kto wie o Rzeczypospolitej Ostrowskiej w Wielkopolsce czy Republice Zakopiańskiej? A ich istnienie warto sobie uzmysłowić, by wiedzieć, jaka skala emocji towarzyszyła budowaniu Niepodległej.

Bo żeby zrozumieć walkę Polaków o niepodległość, trzeba umieścić ją w szerszym kontekście – postawy całego kraju, historii wojskowości, polityki i kultury na terenie trzech zaborów, Europy, a nawet świata.

Zawsze historia, która dzieje się na naszych oczach, jest wypadkową tysięcy drobnych historyjek, chaosu, pomyłek, a nade wszystko – przypadku. Często bardzo, bardzo ludzkiego...

Ludzka perspektywa jest bowiem inna. Owszem niesiemy swoje doświadczenie, swoją historię, przeczytaną czy napisaną, ale maszerujemy, nie mając najmniejszego pojęcia, co z tego wyniknie, i mając niewielki wpływ na kształt rzeczy przyszłych. To są setki obrazków, mgieł, które pojedynczo biorąc, bywają ciekawe, wzruszające czy nawet mądre, ale cały obraz ułożą z nich inni.

I to dopiero po wielu, wielu latach...

*

Refleksja nad tamtymi czasami ma jednak jeszcze jeden kontekst.

Jerzy Giedroyc, twórca „Kultury”, mawiał, że Polską rządzą dwie trumny – Piłsudskiego i Dmowskiego. Nie wierzyłem w to. Ale dziś trzeba przyznać rację Księciu z Maisons-Laffitte: te trumny nadal rządzą. Choć niektórzy nie wiedzą, kto naprawdę w nich leży i do kogo się tak naprawdę odwołują.

Ten czas sprzed stu lat, ciężkie polskie miesiące okresu 1918–1920, jakże przypominają atmosferą, temperaturą sporów, a nie stanem gospodarki, nie mówiąc o dramaturgii wydarzeń – dzisiejsze polskie właśnie.

Dlatego mówiąc o niepodległości, warto pamiętać o wolności. I zadawać sobie, za księdzem Tischnerem, pytanie: „Jak przekonać innych do wolności?”.

I byłaby to tylko intelektualna gimnastyka, gdyby nie to, że gdy wolność w II RP ograniczono, to dwadzieścia lat po konferencji w Wersalu polskie granice znowu stanęły w ogniu.

Zatem: jak zdobyć wolność i jej nie stracić?



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Szara eminencja Mieczysław Pszon

Tekst: Krzysztof Burnetko

Przedwojenny endek, który potem zasłużył się w zbliżeniu z Niemcami i Żydami. Skazany na śmierć za stalinizmu, a w wolnej Polsce oskarżony o współpracę z PRL-owską bezpieką. Mistrz politycznego myślenia i dowcipnego dystansu. W „Tygodniku Powszechnym” każdy marzył, by usłyszeć od Niego: „gnoju jeden”. Zmarł ćwierć wieku temu.

Mieczysław Pszon. Rocznik 1915. Na studiach (polonistyka UJ) aktywista nacjonalistycznej Młodzieży Wszechpolskiej i Stronnictwa Narodowego. W czasie wojny konspiruje w szeregach ugrupowań skrajnej prawicy – Narodowej Organizacji Wojskowej (włączonej z czasem do Armii Krajowej) i w SN. W 1945 roku władze Polski Podziemnej mianują go delegatem rządu emigracyjnego na Małopolskę. W 1947 trafia do więzienia – z najcięższym oskarżeniem: szpiegostwa. W domu zostaje żona i dwaj mali synkowie. Wyrok: najwyższy. W celi śmierci spędza osiem miesięcy, każdego dnia czekając na egzekucję. W końcu KS zamieniają mu na dożywocie. Siedzi w najcięższych więzieniach osiem lat. Dopiero na fali odwilży wypuszczają go dla podratowania nadwerężonego gruźlicą zdrowia. Jedzie do ukochanego Zakopanego.

Po Październiku 1956 zaczyna pracę w administracji „Tygodnika Powszechnego”. W 1961 roku wchodzi do redakcji, by wkrótce zostać jednym z zastępców Jerzego Turowicza. Zaczyna zajmować się jakże trudnym po wojnie pojednaniem między Polakami i Niemcami. Jeździ do Niemiec zarówno Zachodnich, jak i Wschodnich. Poznaje ludzi. Zwłaszcza z kręgów organizacji katolickich: Centralnego Komitetu Katolików, ruchu Pax Christi, Akcji Znaków Pokuty. Ale też ewangelików i niewierzących. Zaprasza ich do Polski, pokazuje Auschwitz, Kraków, Zakopane. Goście żartują, że dla Niemców najlepszy adres w Polsce to „Mieczysław Pszon”.

Kiedy z Witoldem Beresiem nagrywaliśmy jego wspomnienia, mówił: „Sam się dziwię, jak ja – przed wojną zwolennik Narodowej Demokracji, partii, która mogłaby być antyniemiecką – stałem się orędownikiem przyjaźni polsko-niemieckiej. Skąd ten romans? Narodził się podczas wojny. Chociaż kontakty między Polakami a Niemcami były, rzecz jasna, ograniczone, okazało się, że można było spotkać przyzwoitych Niemców. Ale czas na takie przewartościowania miałem dopiero siedząc w pudle. W celi, w której siedziałem z KS i potem parę miesięcy po zmianie wyroku, było może ze 30 Niemców. Znajdowali się w trudnej sytuacji, bo żaden nie mówił po polsku. Więc sporządzałem im odwołania od wyroków itd. Oni przeważnie mieli czapę. (...) Zaraz po wojnie odrzucaliśmy jakąkolwiek ideę współpracy z Niemcami – tak na płaszczyźnie osobistej, jak i państwowej. Doszedłem jednak do wniosku, że sytuacja uległa całkowitej zmianie: zagrożenie ze strony Niemców przestało być aktualne. Trzeba więc wyzwolić się z uprzedzeń. (...) Uzasadniałem to sobie także tak, że doktryną – wedle której Niemiec to najgorszy wróg – można, jak rzadko czym, usprawiedliwiać wasalną przynależność Polski do Związku

Radzieckiego. Doktryna taka mogła być instrumentem zniewolenia komunistycznego, a nie elementem sensownej polityki polskiej”.

Nie inaczej było po 1989. Pszon, przez premiera Tadeusza Mazowieckiego powołany na pełnomocnika rządu do rozmów na temat traktatu polsko-niemieckiego, wykazał się talentem w prowadzonych w ekspresowym tempie negocjacjach. Z redaktora przerodził się w dyplomatę. Symbolem było porzucenie wysłużonej marynarki w jodełkę na rzecz czarnego garnituru.

*

Po jego śmierci Jerzy Turowicz napisał: „Był człowiekiem odważnym i prawym, obdarzonym tym, co się określa mianem *moral integrity*. Nigdy nie zrobił ani nie napisał niczego, czego musiałby się wstydzić. (...) Był człowiekiem skromnym, zawsze stojącym z boku (...) obdarzonym wielkim poczuciem humoru. (...) W zespolu »Tygodnika« On był jednym z najwierniejszych”.

Jerzy Pilch dodał: „Rola Pszona polegała i na tym, że wszystkim nowo przyjętym dziennikarzom udzielał on nominacji. Mogłeś pisać do »Tygodnika«, mogłeś być w »Tygodniku«, mogłeś mieć etat w, mogłeś figurować w stopce, ale dopóki Mieczysław Pszon nie zwrócił się do ciebie per »gnoju jeden« – nie byłeś w »Tygodniku«. Tylko On, ze swoją charyzmą, wewnętrzną siłą i niebywałym poczuciem humoru mógł wchodzić aż na tak wysokie szczeble duchowej swobody... Co tu zresztą gadać. Kochaliśmy Go i On nas kochał”.

*

Mieliśmy z Beresiem to szczęście, że pracując wtedy w „Tygodniku”, mogliśmy dzień w dzień obserwować Pana Mietka w akcji. Nasza kanciapa znajdowała się *vis-à-vis* gabinetu wicenaczelnych. Podслуchiwaliśmy więc, jak u schyłku PRL wyklócał się z cenzurą, przekomarzał z Ziutą Hannelową, dyskutował z Krzysztofem Kozłowskim czy rozmaitymi, nie tylko niemieckimi gośćmi. Od czasu do czasu sami wpraszaaliśmy się o coś się poradzić czy zapytać. Choćby o to, jak przed wojną wyglądały stosunki polsko-żydowskie na granicy Kazimierza i Krakowa – na Stradomiu czy Dietla.

Zawsze też chętnie przyjmowaliśmy w depozyt (zwykle nieoddawalny) liczne butelki brandy, które dostawał prezencie.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Biznes na miarę współczesności

Tekst: Sylwia Pyzik Zdjęcie: Kapim Krajewski

Kasia i Zosia Pilitowskie – mama i córka, lodowa góra i ogień, restauratorki, kucharki, organizatorki, właścicielki baru śniadaniowego Ranny Ptaszek, autorki książki kucharskiej, aktywistki. Poznajcie historię twórczyni przedniej śniadaniowni w Krakowie.

O siem lat temu Bart Suder, chłopak Kasi, wówczas pracownik dużej korporacji, wyjechał na kilka miesięcy z misją pomocy do Afryki. Gdy wrócił, podjął bezkompromisową decyzję – nie wraca do reklamowego kieratu, zamiast tego buduje miejsce w świecie i robi humus. – Zabawną stroną tego było to, że Bart nie umie gotować. Za to robi najlepszy humus na świecie! – opowiada z uśmiechem Kasia Pilitowska. Tak powstał Hummus Amamamusi – niewielki, wegańsko-wegetariański, rodzinny lokal przy ul. Meiselsa. Niewielki, bo właśnie takie lubią – jak same opowiadają: „rzadko tracą gości z oczu”. Wierzą, że skrócenie dystansu między kucharzem a gościem wprowadza rodzaj intymności, dlatego w ich restauracjach nie ma obsługi kelnerskiej. W menu można znaleźć 24 smaki hummusu, także sezonowe i takie, które stanowią ukłon w stronę lokalnych produktów. Są i śniadania na słodko i słono, w wersji wegańskiej lub wegetariańskiej.

*

Wnętrze lokalu jest odzwierciedleniem ich rodzinnej kuchni. Wystrój został zaprojektowany, by przypominał to, co jest im bliskie – jest więc taka sama niebieska ściana czy drewniany blat. Tę domową atmosferę doceniają także goście, niektórzy są z nimi od samego początku. Nawet w czasie naszej rozmowy wita się kilka osób. Zresztą tu granica pomiędzy gościem a znajomym jest bardzo trudna do uchwycenia – w powietrzu daje się wyczuć bliskość i naturalną swobodę.

*

W przeszłości Zosia pracowała w miejscach, które funkcjonowały w nocy, przez co „nie miała czasu na życie”. Mama i córka postanowiły więc stworzyć coś, co umożliwiłoby pracę Zosi w bardziej unormowanych godzinach. Z tej ludzkiej i przyziemnej potrzeby, powstał koncept świeży, oryginalny, a nawet jak na krakowskie podwórko innowacyjny. Śniadaniownia Ranny Ptaszek umożliwia zjedzenie śniadania codziennie aż do 16.00. W lokalu króluje szakszuka, ale także wspinała kanapki.

*

O wyjątkowości jedzenia, które serwują Pilitowskie decyduje także inspiracyjny mix. Królują smaki Bliżniego i Dalekiego Wschodu, ale z domieszką ro-

dzinnych tradycji kulinarnych, które sięgają kuchni prababci Zosi. Koncepty na nowe dania są wypracowywane w podróżach i w domu, w dzień i w nocy. Swoimi doświadczeniami Pilitowskie dzielą się nie

Goście, którzy wspierają bary, a bary, które wspierają okolicznych producentów albo importerów, tworzą łańcuch. Jeśli zostanie przerwany, to któreś z tych ogniw przestanie istnieć

tylko na talerzu. Wydały już autorską książkę kucharską o znamiennym tytule *Jajko*, a w drodze jest kolejna – ich fani już zacierają ręce.

Choć kulinarne inspiracje odnajdują na całym świecie, to produktów, dostawców i producentów poszukują najbliżej, jak się da. Nic w tym dziwnego, to właśnie Kasia siedem lat temu wraz z przyjaciółką Magdą Wójcik zorganizowała pierwszy festiwal kulinarny Najedzeni Fest! Dziś ceni wszystkie znajomości, które się w związku z nim nawiązały – może dzięki nim zapewniać najlepszą jakość produktów i wspierać sprawdzone, lokalne biznesy. – Goście, którzy wspierają bary, a bary, które wspierają okolicznych producentów albo importerów, tworzą łańcuch. Jeśli zostanie przerwany, to któreś z tych ogniw przestanie istnieć – podkreśla Kasia Pilitowska.

*

Obie są perfekcjonistkami, zanim zjedzą – tu poprawią, tu przestawią, trzy działania zaplanują. W swojej pracy wskazują jedną wadę – trudno jest im określić, kiedy mają czas wolny... muszą to wcześniej zgłosić, zaplanować, a najlepiej – wyjechać w siną dal. Poza tym zdradziły mi pewien sekret: w gastronomii wszystkie sprzęty psują w niedzielę rano i to na raz. W tym wszystkim nieoceniona jest rola Barta, oazy spokoju, którego ponoć denerwuje tylko to, że tak mało osób jeździ na rowerach i wszędzie pchają się samochodami. Jak wdzięcznie określiła to Kasia, razem tworzą „idealny trójkołowy wózek, który może nie jedzie zbyt szybko, ale do celu”.



Sylwia Pyzik – dziennikarka i filolożka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chętniej słucha, niż mówi – pisanie uznaje za naturalny kompromis.



Pogrzeb Czepca z Wesela

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: z archiwum autora

Wydarzeniami smutnymi, choć doniosłymi dla egzystencji lokalnych społeczności, były od zawsze uroczystości pogrzebowe.

Ceremonia żałobna rozpoczynała się zazwyczaj w domu zmarłego. Później, gdy trumna mijała próg, należało ją trzy razy pochylić. To na wszelki wypadek, aby dusza po śmierci nie wracała... Prowadzony przez proboszcza parafii kondukt udawał się następnie do kościoła na nabożeństwo, a stamtąd na miejsce wiecznego spoczynku. Obyczaj ten przetrwał po dziś dzień i kultywowany bywa jeszcze niekiedy na polskiej wsi.

Nie inaczej bywało w Bronowicach aż do lat 60. ubiegłego stulecia, czego dowodem jest zamieszczona tu fotografia, wykonana 17 listopada 1934 roku. Dokumentuje ona po-

grzeb Błażeja Czepca, jednej z ważnych postaci słynnego wesela Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny, uwiecznionego w dramacie Stanisława Wyspiańskiego. Czepiec, zamężny gospodarz i pisarz gminny, był wujem panny młodej.

Na ujęciu widać tłumny kondukt zmierzający od strony Bronowic Małych (tam mieszkał) do kościoła położonego tuż obok – u zbiegu dzisiejszych ulic Pasternik i Ojcowskiej – służącego wiernym zarówno z Wielkich, jak i Małych Bronowic. Po opuszczeniu świątyni kondukt będzie miał do przejścia jeszcze około kilometra (niestety, lekko pod



górej) do miejsca pochówku na cmentarzu Bronowickim.

W tle zwraca uwagę mijana przez załobników, otoczona parkanem, nieistniejąca dziś budowla. To ukończona w 1907 roku, ale rozbudowana w następnej dekadzie siedziba księdza rektora bronowickiej parafii, pełniąca później funkcję plebanii. W czasach PRL-u efektowna, niekonwencjonalna stylistycznie willa, mieściła mieszkania kwaterekowe, z wolna popadając w ruinę. Nikt nie upomniał się o opuszczony, zniszczony budynek, który wrócił do franciszkanów-reformatów i ostatecznie został w 2005 roku rozebrany. Jego miejsce zajął (w 2016 roku) przeszklony biurowiec.

Warto jeszcze przyjrzeć się drodze przemierzanej przez kondukt, nazwanej później ulicą Radzikowskiego. W 1934 roku miała, jak widać, charakter średniowiecznego traktu, rozdzielającego przez stulecia Bronowice Wielkie od Małych. Niespełna dwa lata później rozpoczęła się jej gruntowna przebudowa.

Wygodną, na miarę czasów, liczącą 65 km szosę do Katowic ukończono w styczniu 1937 roku. Ulicę unowocześniono dopiero w latach 90. ubiegłego wieku, budując dwa pasma. W latach 2010–2011 fragment drogi biegnący bliżej centrum po raz kolejny przebudowano i poszerzono. Wiązało się to z ukończeniem budowy estakady i tunelu w okolicy ronda Ofiar Katynia.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Czyste krakowskie podwórko

Tekst: Sylwia Pyzik Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

W 2018 roku statystyczny krakowianin wyprodukował 472 kilogramy odpadów. Ważę 53 kg, co oznaczałoby, że w ciągu tamtego roku wyrzuciłam prawie 9 razy więcej śmieci, niż sama ważę. To dużo, a tendencja, gdy chodzi o odpady, jest wzrastająca.

W pewien sposób ten rok będzie jednak nieco lepszy: studenci przez znaczną jego część byli obecni w mieście jedynie duchem, a turyści wyparowali. Śmieci jest więc mniej, choć nie tyle, ile można się spodziewać. Swoje zrobił bowiem szal pandemicyznych zakupów.

Dobry wybór

Od kwietnia 2019 roku selektywne zbieranie odpadów komunalnych odbywa się według nowych zasad. Obecnie segreguje się pięć frakcji: papier i tekturę, szkło, metal i tworzywa sztuczne, bioodpady oraz pozostałe odpady komunalne. – W tym momencie krakowianie wciąż mają wybór: mogą segregować lub nie. Jeśli ktoś złożył deklarację segregacji, a tego nie robi, to mamy specjalny zespół kontroli, który sprawdza jakość tego działania. Gdy zaobserwujemy nieprawidłowość, to staramy się wyjaśnić, jak to ma być zrobione i dlaczego. Jeśli jest to działanie powtarzalne i umyślne, zajmuje się tym straż miejska – wyjaśnia Piotr Odorczyk, rzecznik prasowy MPO Kraków.

Nowe pojemniki w domach krakowian to jednak nie tylko kwestia wyboru mieszkańców czy miejskie wytyczne. – Jest to przepis narzucony przez rząd, do którego dostosowują się wszystkie gminy, a wynika wprost z dyrektywy unijnej. Są to więc ogólnoeuropejskie standardy – zauważa rzecznik.

Segregacja – i co dalej?

W 2018 roku z frakcji zbieranych selektywnie, a więc tych, które wydzielamy w czasie segregacji, udało się wykorzystać ponownie 42 proc. odpadów. To sporo, ale wciąż mniej niż połowa. – W to rozliczenie nie są włączone odpady zielone, choć je również zbieramy selektywnie. Gdyby brać je pod uwagę w statystykach – jak robi się to na przykład w Niemczech, to wskaźnik mógłby być znacznie wyższy – podkreśla Piotr Odorczyk.

Składujemy niewiele

– W Krakowie mamy najnowocześniejsze instalacje do przetwarzania odpadów. Wię-

cej, jesteśmy jedynym miastem w Polsce, które ma takie systemy na własność. Wynika to z decyzji, które swego czasu podjęło miasto, żeby zainwestować w takie instalacje – i to pomimo że panował wówczas trend, żeby działania takie zlecać na zewnątrz. Dzięki temu koszty przetwarzania śmieci są w Krakowie znacznie niższe niż w innych miastach – wyjaśnia Piotr Odorczyk. Rzecznik MPO ma na myśli sortownię połączoną z kompostownią, sortownię do odpadów zbieranych selektywnie, spalarnię odpadów, kompostownię kontenerową i nowoczesne składowisko.

Na dodatek Kraków jest miastem, które składa bardzo mało odpadów: – W zasadzie mieścimy się w granicach błędu statystycz-

Kraków ma najnowocześniejsze instalacje do przetwarzania odpadów. Więcej, jest jedynym miastem w Polsce, które ma takie systemy na własność. Inni korzystają z firm zewnętrznych. Dzięki temu koszty przetwarzania są znacznie niższe niż w przypadku innych miast.

nego – składujemy między 2 a 3 procent, są to odpady wyłącznie przetworzone, których w żaden sposób nie da się ponownie wykorzystać – podkreśla przedstawiciel MPO.

Recykling nie jest jedyną odpowiedzią

Kluczem do uporania się z jednym z największych wyzwań naszych czasów nie jest jednak wyłącznie recykling. Wbrew pozorom największa zmiana może dokonać się na poziomie mentalnym. Coraz większą popularnością cieszy się ruch zero waste, czyli styl życia, w którym ludzie, ze względu na dobro środowiska, ograniczają produkcję odpadów do niezbędnego minimum.

– Przez wiele lat interesowałam się recyklingiem, jednak w hierarchii postępowania

nia z odpadami jest on dopiero na czwartym miejscu w tak zwanym 5R, czyli piramidzie wartości *zero waste*: refuse, reduce, reuse, recycle and rot, czyli: odmawiaj, ograniczaj, używaj ponownie, segreguj i przetwarzaj oraz kompostuj – wyjaśnia Joanna Kądziołka, organizatorka pierwszego w Polsce Festiwalu Zero Waste. – *Zero waste* jest bliski minimalizmowi, choć walczymy przeciw o wielkie rzeczy. Nie chodzi tylko o to, żeby chodzić z własną siatką czy kubkiem, choć to oczywiście też jest bardzo ważne, lecz żeby spróbować analizować, jaki mamy wpływ na środowisko. Postawmy sprawę jasno – żeby być w 100 procentach *zero waste*, należałoby wyprowadzić się do lasu i chodzić w jednym ubraniu przez całe życie – wtedy rzeczywiście da się żyć, nie generując odpadów. Dla mnie kluczowe jest jednak, by maksymalnie je ograniczyć – konsumować tyle, ile naprawdę potrzebujemy, bez kompulsywnych zakupów ubrań raz na tydzień czy wymiany telefonu na nowy model, gdy sieć komórkowa kusi nas promocją. Świadomość krakowian w tym zakresie jest wciąż niewystarczająca – przekonuje Joanna Kądziołka.

Wzór jest bliżej, niż myślimy

Dla ruchu *zero waste* oprócz ważnej zmiany w świadomości istotne są także rozwiązania systemowe, a najważniejszym z nich – funkcjonowanie gospodarki w obiegu zamkniętym. W dużym skrócie chodzi o to, by raz wydrukowany materiał cyrkulacyjnie funk-

Obecnie stężenia średnioroczne pyłu zawieszzonego na większości stacji pomiarowych w Krakowie ustabilizowały się w granicach poziomu dopuszczalnego.

cjonował w zamkniętym obiegu. Jest wiele pomysłów, jak to osiągnąć. Joanna Kądziołka wyjaśnia: – W zeszłym roku jako Polskie Stowarzyszenie *Zero Waste* robiliśmy kampanię tłumaczącą, o co chodzi w systemie kaucyjnym. Wtedy jeszcze Polacy niewiele na ten temat wiedzieli. Teraz w ministerstwie są opracowywane projekty dotyczące zarówno systemu kaucyjnego, jak i rozszerzonej odpowiedzialności producenta. Braliśmy udział w konsultacjach, reprezentując stronę społeczną. Lobby producentów jest duże, dla nich to będą spore koszty. Ale – co najważniejsze – wreszcie będą ponosić odpowiedzialność za opakowania, które wprowadzają na rynek. W tym momencie mamy dobry przykład 11 krajów, gdzie obowiązuje system kaucyjny, są to między innymi Litwa, Estonia, Słowacja i Niemcy. Wzorując się na ich doświadczeniach, dochodzimy do wniosku, że taki system powinien obowiązywać na wszystkie opako-

wania do napojów. W większych punktach, jak galerie handlowe, znajdowałyby się automaty, a w innych miejscach prowadzona byłaby zbiórka ręczna, przy kasach. To ważne, bo wiele tych odpadów opakowaniowych ląduje w lasach, rowach, rzekach. W takim systemie na każdą butelkę nałożona jest kaucja, mniej więcej na poziomie 10 eurocentów, czyli około 50 groszy. To daje motywację, żeby zamiast butelkę spalić czy wyrzucić w krzaki, zwrócić ją do systemu. Robiliśmy badania na próbie tysiąca osób i wynika z nich, że około 88 proc. Polaków popiera wprowadzenie systemu kaucyjnego. Ludzie to znają, pamiętają jeszcze, jak mleko było dostarczane przez mleczarzy, i jak butelki były zwracane. W Berlinie też wyjaśniano nam, że ludziom wcale nie sprawia to problemu: po prostu, idąc do sklepu, zabierają butelki. Istotne jest także, że w tym momencie to my ponosimy koszty odbioru i recyklingu materiałów, a powinni je ponosić producenci, i na tym w skrócie polega wspomniana Rozszerzona Odpowiedzialność Producenta.

Krakowianie nie czekają na rządowe decyzje

Potrzebę segregacji odpadów i związanej z tym edukacji dostrzegają także mieszkańcy. Ogólnomiejski projekt *Śmieciomaty z nagrodami* był w gronie zwycięzców budżetu obywatelskiego 2019, dzięki czemu doczekał się realizacji. Z początkiem września w mieście stanęły trzy recyklomaty, do których można zwrócić puszki i plastikowe butelki. Za oddane śmieci za pośrednictwem aplikacji mobilnej można otrzymać punkty, a następnie wymienić je na nagrody (bilet do kina, teatru, zniżki na komunikację miejską czy inne miejskie usługi). Akcja potrwa przez okrągły rok. Szacunkowy koszt przedsięwzięcia to 300 tys. złotych. – Jest to pomysł mieszkańców, którzy w ten sposób chcą promować segregację odpadów, ale przypomnę, że każdy krakowianin może taką butelkę czy puszkę wyrzucić do swojego kosza na segregowane odpady – zauważa rzecznik MPO.

W młodych siła

Specjaliści wskazują, że niezależnie od metod, które uznamy za priorytetowe, najważniejsze jest rozwijanie świadomości ekologicznej. – Świadomość rośnie najszybciej wśród dzieci. Widzę po znajomych, że często są besztani przez swoje pociechy. To one uczą rodziców, co mają robić. To dobry znak – zauważa Joanna Kądziołka. Także miasto wśród swoich priorytetów związanych z edukacją stawia na najmłodszych. – Łącznie mamy 8 programów edukacyjnych, przez które przechodzi w ciągu roku mniej więcej 10 tys. dzieci, współpracujemy ze wszystkimi szkołami w Krakowie. Na tym skupiamy działania, jeśli chodzi o podnoszenie świadomości recyklingowej, bo to daje najlepsze, długofalowe efekty – zapewnia Piotr Odorczyk.



Emisyjne kotły – precz

Drugim, jeszcze bardziej skomplikowanym problemem, jest kwestia krakowskiego powietrza, o którym powoli zaczynają już krążyć miejskie legendy. Gdy premierowi Mateuszowi Morawieckiemu wymusnęło się, że zrobił w tej kwestii „nic lub prawie nic”, musiał się bardzo gimnastykować w wyjaśnieniach i sprostowaniach. Osiągnięcie wymaganych standardów jakości powietrza od wielu lat jest jednym z priorytetów władz Krakowa.

Miasto w walce o czyste powietrze skupia się na dwóch kwestiach: ograniczeniu emisji powierzchniowych (likwidacja palenisk węglowych, kontrole związane z zakazem spalania odpadów w piecach i ograniczenie spalania pozostałości roślinnych na powierzchni ziemi) oraz komunikacyjnych (poprawa organizacji ruchu w mieście, regularne mycie i poprawa stanu nawierzchni dróg, rozwój komunikacji publicznej na przykład przez zakup autobusów elektrycznych, zasilanych gazem, a także takich, które spełniają normy Euro 6, kontrole emisji pojazdów oraz

rozwój infrastruktury rowerowej). W Krakowie od 1 września 2019 roku obowiązuje zakaz stosowania paliw stałych. W 2017 roku Sejmik Województwa Małopolskiego podjął uchwałę, w efekcie której do 2023 roku

Dotąd miasto ograniczyło tak zwaną niską emisję (między innymi od 1995 zlikwidowano 45 038 palenisk węglowych). Teraz zamierza skupić się na ograniczaniu tak zwanej emisji liniowej, a więc tej, która związana jest z komunikacją i transportem.

z terenu Małopolski powinny zostać wyeliminowane wszystkie kotły niespełniające norm emisji.

– Efektem tych działań jest spadek wielkości stężeń zanieczyszczeń w powietrzu oraz liczby dni z przekroczeniami norm w stosunku

NIK chwali

Najwyższa Izba Kontroli oceniła, że w okresie od 1 stycznia 2014 do 30 czerwca 2017 Gmina Miejska Kraków „podjęła adekwatne do rangi problemu i prawidłowo ukierunkowane działania naprawcze mające na celu osiągnięcie wymaganej jakości powietrza na terenie miasta”, a dodatkowo, według NIK, „obecna skala działań stwarza – jako jedynej jednostce w Małopolsce – możliwość osiągnięcia założonych rezultatów (efektów ekologicznych) w roku końcowym realizacji głównego programu naprawczego dla województwa małopolskiego”.

*

Apel Krakowskiego Alarmu Smogowego

Pod koniec września radni Sejmiku Województwa Małopolskiego przegłosowali kilka istotnych poprawek do programu ochrony powietrza dla regionu na najbliższe trzy lata. Szczególnie ważną zmianą jest zakaz finansowania z publicznych środków zakupu kotłów węglowych, który zacznie obowiązywać już od stycznia 2021 roku. Małopolska jest pierwszym województwem w Polsce, które wprowadziło taki przepis. „Brawo dla radnych sejmiku województwa za głosowanie ponad podziałami i nieugięcie się przed lobby!” – skomentował Krakowski Alarm Smogowy na Facebooku. Ta pionierska i skuteczna organizacja ostrzegała przed próbami osłabienia programu w głośnej kampanii społecznej. Na ulicach Krakowa stanęły wówczas billboardy

o bezkompromisowym przekazie: „Czy Sejmik Województwa Małopolskiego uratuje życie 1500 Małopolan?”. Działania organizacji, a także zdrowy rozsądek radnych sprawiły, że Małopolska przyjęła ambitny Program Ochrony Powietrza – poprawki zakładają także, że w każdej gminie zatrudniony zostanie ekodoradca, którego zadaniem będzie między innymi pomoc w wypełnianiu wniosków o dofinansowanie na wymianę pieców. Gminy będą także musiały co pół roku przypominać mieszkańcom o obowiązku wymiany wysokoemisyjnych kotłów do 2022 roku. Przegłosowano także poprawkę, która zakłada zakaz używania kominków w czasie pierwszego stopnia zanieczyszczenia powietrza (wcześniejsze propozycje zakładały wprowadzenie zakazu dopiero podczas drugiego i trzeciego stopnia). „Nie możemy powiedzieć, że łatwo poszło. Ale też, gdyby osiem lat temu – kiedy zaczynaliśmy od powieszenia plakatów w Krakowie – ktoś powiedział nam, że dziś będziemy w takim miejscu, to chyba byśmy nie uwierzyli. Do tego, żeby powietrze było czyste, oczywiście sporo jeszcze brakuje. Tak że dlatego, że trzeba naprawiać wieloletnie zaniedbania, co jest trudne i długotrwałe. Ale z każdą taką decyzją zbliżamy się do tego coraz bardziej. Dziś się więc cieszymy i dziękujemy za Waszą pomoc, bez której nic nie byłoby możliwe. A od jutra idziemy dalej. Kluczową sprawą jest teraz dla nas powietrze w krakowskim obwarzanku”.

do lat poprzednich. Dane dotyczące poziomów stężeń średniorocznych pyłu zawieszonego w latach 2011–2019 wykazują trend spadkowy i obecnie stężenia średnioroczne pyłu zawieszonego na większości stacji pomiarowych ustabilizowało się w granicach poziomu dopuszczalnego. Ocena jakości powietrza za rok 2019 wykazała, że stężenie średnioroczne pyłu zawieszonego PM10 na siedmiu spośród ośmiu stacji monitoringowych wskazywało wartości zgodne z normą – podkreśla inspektor Małgorzata Tabaszewska z biura prasowego UM. Równocześnie w latach 2006–2019 odnotowano spadek liczby dni z przekroczeniami dopuszczalnych norm średniodobowych ze 157 do 68 dni (stacja Bujaka) czy z 249 do 125 dni (stacja al. Krasińskiego). Należy jednak zauważyć, że w tej kwestii jest jeszcze wiele do zrobienia – dopuszczalna liczba dni z przekroczeniami stężeń pyłu PM10 to tylko 35 dni w roku.

Co dalej?

Walka o czyste powietrze to proces długotrwały. Dotychczas nacisk ze strony miasta

położony był na ograniczenie tak zwanej niskiej emisji (tu rzeczywiście mamy się czym pochwalić – w okresie od 1995–2019 roku zlikwidowano łącznie 45 038 palenisk węglowych). Teraz miasto zamierza skupić się na działaniach związanych z ograniczeniem tak zwanej emisji liniowej, a więc tej, która bezpośrednio związana jest z komunikacją i transportem.

*

Czyli jednak nie walka z wiatrakami?

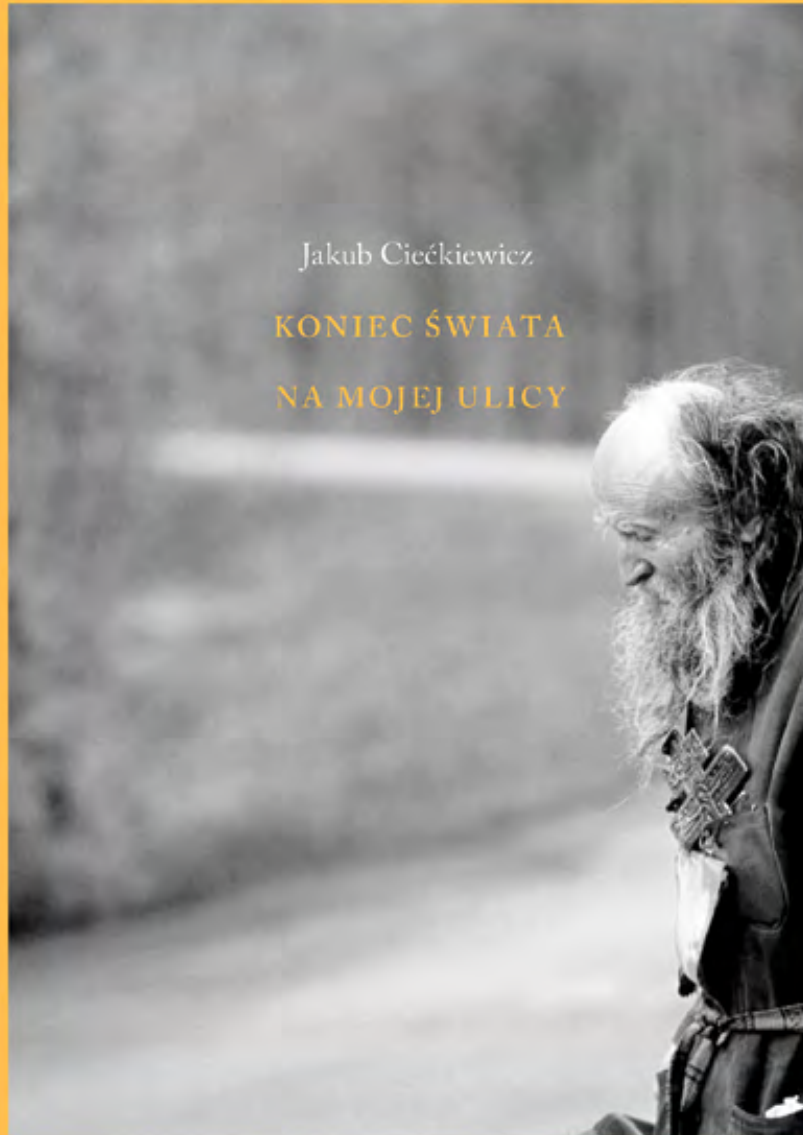
Będzie lżej?

Dużo zależy od decyzji zapadających poza naszym miastem.



Sylwia Pyzik – dziennikarka i filozofka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chętniej słucha, niż mówi – pisanie uznaje za naturalny kompromis.

Józef Baran i Adam Ziemianin polecają:



Kraków Ciećkiewicza


A S T E R I A



Prof. Julian Dutka – konsultant wojewódzki z zakresu ortopedii i traumatologii. Studia medyczne ukończył w 1972 roku i podjął pracę w Klinice Ortopedii Akademii Medycznej w Krakowie. Zawsze marzył o chirurgii, ale starsi lekarze doradzili, by zainteresował się wadami wrodzonymi narządu ruchu. W 1983 roku uzyskał stopień doktora, a w 1990 roku został ordynatorem Oddziału Chirurgii Urazowej w Szpitalu im. Żeromskiego, gdzie

przez lata przekształcał ten oddział w profesjonalny ośrodek specjalizujący się w ortopedii i traumatologii. Prezes Sekcji Kolana Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego i Traumatologicznego. Prezes Małopolskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego i Traumatologicznego w latach 1996–2000. Założyciel i prezes zarządu Fundacji Leczenia Urazów i Schorzeń Narządu Ruchu.

Medycyna jest sztuką

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcia: Jan Zych

30 lat temu zawód ortopedy kojarzył się głównie z zakładaniem gipsów i niewygodnych gorsetów, które unieruchamiały człowieka na wiele miesięcy. Dziś ortopedia i traumatologia to dziedzina śmiało korzystająca z nowych technologii: tytanowe i porcelanowe endoprotezy bioder, biomateriały stosowane przy zwyrodnieniach kręgosłupa i małoinwazyjne metody operacji artroskopowych, które pozwalają cieszyć się sprawnością nawet w podeszłym wieku.

Z profesorem Julianem Dutką trudno się umówić: stale jest na bloku operacyjnym lub prowadzi konsultacje. Kiedy docieram do Szpitala Specjalistycznego im. Stefana Żeromskiego w Krakowie, gdzie profesor Dutka od 30 lat jest ordynatorem oddziału Chirurgii Ortopedyczno-Urazowej, zbliża się południe. Profesor właśnie skończył drugą operację. Energicznie wchodzi do gabinetu, którego ściany zdobią egzotyczne maski i charakterystyczne obrazy w barwach czerwieni i czerni. – To moja najnowsza pasja – uśmiecha się profesor. – Byłem w Papui-Nowej Gwinei i na Madagaskarze, gdzie pracowałem charytatywnie. W tych krajach dopiero widać bezkres potrzeb medycznych – tak wielu ludzi cierpi na wady wrodzone, gruźlicę, trąd, nieleczone przez lata zwichnięcia stawu biodrowego, stany zapalne kości. Pacjentów w takim stanie w ogóle nie widzimy w Polsce. W tym roku znów miałem polecieć do Papui i na Madagaskar, ale pandemia pokrzyżowała te plany...

Dziś medycyna zamyka się w wąskich specjalizacjach. Nawet w zakresie ortopedii i traumatologii są lekarze, którzy wyspecjalizowali się w leczeniu wyłącznie wad kręgosłupa albo wad stopy czy urazów sportowych. – Ja w życiu zawodowym zajmowałem się całym wachlarzem schorzeń: od wad wrodzonych przez nowotwory po zmiany zwyrodnieniowe i ta wiedza bardzo przydaje się podczas mojej pracy w tych odległych krajach – przyznaje prof. Dutka.

Technologia w medycynie

Tymczasem w szpitalu im. Żeromskiego codziennie na dwóch salach operacyjnych zespoły ortopedów wykonują po kilka zabiegów rekonstrukcyjnych, poprawiając jakość życia ponad 2 tys. osób rocznie. Największą grupę stanowią cierpiący na choroby zwyrodnieniowe stawów biodrowych i kolanowych. Prof. Dutka jest niezrównanym autorytetem w dziedzinie alloplastyki, czyli operacji polegającej na założeniu endoprotez, która musi zastąpić zmieniony wiekiem i chorobami staw. Profesor przyznaje, że chociaż natura jest niedoścignionym wzorem, to w ostatnich latach nastąpił w tej dziedzinie ogromny postęp i udaje się wyprodukować coraz doskonalsze endoprotezy. Można nawet wykonać endoprotezę na indywidualne zamówienie,

przygotowaną na wzór anatomii pacjenta (tzw. *custom-made*).

Na oddziale leczeni są także pacjenci z nowotworami i po różnego rodzaju powikłaniach chorób reumatycznych. Sporą grupę stanowią osoby z urazami stanu kolanowego: uszkodzeniami łąkotki, więzadeł, złamaniami śródstawowymi. – Medycyna ogromnie zmieniła się w ostatnich latach: stosuje się nowe materiały biomedyczne, zmieniło się instrumentarium operacyjne, które pozwala dziś na zabiegi małoinwazyjne, ale wszystko to sprawia, że niekiedy moi koledzy zbyt szybko podejmują decyzje o operacji, pomijając zachowawcze metody leczenia – wyjaśnia

Prof. Julian Dutka: Lekarze, na których spoczywa największy ciężar odpowiedzialności i którzy mają największe kompetencje do tego, by podejmować decyzje terapeutyczne, w dzisiejszym systemie mają najmniej do powiedzenia w sprawach medycznych. Procedury dyktują nam, jak mamy działać, medycyna została ogromnie zbiurokratyzowana, z czym nie mogę się pogodzić, bo zawsze uważałem, że jest ona sztuką, a każda sztuka potrzebuje wolności.

profesor. – Dzisiejsza medycyna jest bardzo zdehumanizowana. Owszem, nowe technologie są ważne i ułatwiają nam pracę, ale i tak najważniejszy zawsze powinien być kontakt z pacjentem, rozmowa, obserwacja i indywidualne podejście.

Walka o każdy centymetr

Do gabinetu wchodzi asystent, by skonsultować wyniki tomografii jednego z pacjentów. Chodzi o młodego mężczyznę, który w pracy doznał ciężkich obrażeń nóg. Został przejechany przez wózek widłowy i trafił do szpitala w bardzo ciężkim stanie. Noga została niemal całkowicie zmiażdżona – trzeba ją



było amputować poniżej kolana. Jednak doszło do rozległej martwicy skóry, więc nadal toczy się dramatyczna walka o jej uratowanie. – Przecież to młody chłopak, jeśli amputujemy mu kończynę powyżej kolana, będzie skazany na poruszanie się o kulach, jeśli jednak uda się utrzymać obecny stan, będziemy mogli dobrać odpowiednią protezę i pacjent będzie miał dużo większy komfort życia: będzie poruszał się w miarę sprawnie – wyjaśnia profesor, kiedy idziemy na oddział. Sale są przestronne i jasne, z dużymi oknami wychodzącymi na ogród. Łóżko pana Norberta znajduje się pośrodku trzyosobowej sali. Mężczyzna ma przykrytą nogę po amputacji przezroczystym żelowym kompre-

sem, spod którego widać bandaż nasączony w niektórych miejscach krwią. Z kroplówki miarowo kapią silne leki przeciwbólowe. – Po wypadku byłem cały czas przytomny. Ból był rozdzierający... Czekałem na pogotowie 12 minut. A mnie się wydawało, że to wieczność... – opowiada powoli zmęczonym głosem. – Pewnie w innym szpitalu od razu odcięliby mi tę nogę u samej góry, a tutaj walczą o każdy centymetr. Jestem im za to bardzo wdzięczny... – głos mężczyzny załamuje się. Pacjent z sąsiedniego łóżka wstaje, by poprawić mu poduszkę. – To silny facet, da radę! – Nie wiem, czy zwraca się do mnie, czy raczej do pana Norberta, który powoli się uspokoja i opowiada o wsparciu rodziny, przyjaciół,



współtowarzyszy ze szpitalnej sali i personelu medycznego. Przez ostatnie dni regularnie przewożony był do komory hiperbarycznej w szpitalu im. Rydygiera. Najczęściej terapię tę stosuje się w przypadku oparzeń, ale także jest skuteczna po amputacji kończyn, ponieważ tlenoterapia przyspiesza gojenie ran i zapobiega niedokrwieniu mięśni. Jeśli uda się zahamować martwicę, czekają go przeszczepy skóry, a później rehabilitacja, dobranie protezy i nauka chodzenia. Wiele miesięcy walki o powrót do zdrowia.

Samotność

W sąsiedniej sali pielęgniarka podaje leki starszemu panu. – Przewróciłem się, jadąc

na rowerze, i złamałem biodro – opowiada pan Wiesław. Przeszedł operację tydzień temu i niedługo zostanie wypisany do domu. – Już jest wszystko dobrze, ale jak ja tam wrócić, jak nie ma już mojej żony? – Staruszek wyciera drżącą dłonią spływające po policzkach łzy. – Umarła trzy miesiące temu. Wylew miała. Po pierwszym wylewie wszystko przy niej robiłem, opiekowałem się nią dobrze. A potem przyszedł drugi wylew i już nie dało się jej uratować... Taka dobra żona... 65 lat byliśmy małżeństwem...

Pan Wiesław ma dwóch synów, ale nie chce obarczać ich swoimi problemami. Chce być samodzielny. I dzięki operacji biodra niedługo będzie. Ale jak poradzi sobie z samotnością? Profesor Dutka przyznaje, że często na oddziale obserwuje smutnych, samotnych ludzi. Ta alienacja dotyka starszych ludzi w różny sposób. Osoby, które przez lata były aktywne zawodowo, cieszyły się powszechnym szacunkiem, miały swoje pasje, z powodu chorób i zniedołężnienia, stają się zależne od innych. Nagle starość odsuwa ich na marginesie społeczeństwa. Niekiedy dość wyraźnie widać zainteresowanie rodziny stanem chorego do momentu przepisania przez staruszkę aktu własności domu lub ziemi, a potem krewni przestają o nim pamiętać. – Zdarza się, że zakończyliśmy leczenie i możemy wypisać pacjenta do domu, a rodzina wymusza na nas, by zatrzymać go jeszcze tydzień lub dwa w szpitalu, bo jadą na wakacje albo mają inne plany – opowiada prof. Dutka. – To są przykre sytuacje i jestem wówczas stanowczy: obowiązek opieki nad chorym spoczywa na rodzinie. Zwłaszcza w chorobie, w chwili słabości, ten starszy człowiek potrzebuje uwagi i troski.

Ta izolacja jeszcze pogłębiła się w okresie pandemii. Rodzina ze względów bezpieczeństwa ogranicza kontakty, dziadkowie miesiącami nie widują wnuków. Pobyt w szpitalu w takim momencie jest jeszcze trudniejszy, bo nie ma odwiedzin. – Niektórych ta sytuacja mobilizuje, bo chcą szybciej znaleźć się już w domu, a inni odwrotnie: źle czują się w szpitalu, popadają w nostalgię, zamykają się w sobie – opowiada pielęgniarka, pani Krystyna. – Dawniej pacjenci przebywali w naszym oddziale długo, teraz właściwie po tygodniu są wypisywani do domu, więc musimy szybko postawić ich na nogi, a do tego potrzebna jest odpowiednia motywacja.

Stoimy w długim korytarzu w oddziale kobiecym, a rozmowę ciągle ktoś nam przerywa: nadeszła pora obiadowa, sanitariuszka dopytuje o dietę dla pacjentki z cukrzycą, dzwoni telefon, pielęgniarz przywozi nowego pacjenta po operacji i pyta, na którą salę go zawieźć, młody lekarz dopytuje o pacjenta. – Zwykła szpitalna krzątanka – kwituje moje zdziwienie tym chaosem pani Krystyna. – To oddział zabiegowy, cały czas coś się dzieje, jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

Małymi krokami do zdrowia

Obok nas drobna blondynka w średnim wieku stawia niepewne kroki wsparta na aluminiowym balkoniku na kółkach. Pod ramię trzyma ją rehabilitantka, która cierpliwie instruuje jak stawiać stopę, jak oddychać i jak zawracać. Chora ma przymocowany do nogi plastikowy pojemnik, do którego cienką rurką sphywa żółto-czerwona wydzielina. – Nie sądziłam, że będzie to tak trudne – wzdycha pani Bożena, która wczoraj przeszła operację wszczępienia endoprotezy biodra. Z wielką ulgą wraca do łóżka. Już od 17 lat odczuwała dolegliwości bólowe. Prawdopodobnie miała wrodzoną dysplazję, która nie została zauważona w dzieciństwie i w efekcie doszło

Prof. Julian Dutka: Dziś medycyna się dehumanizuje, wszyscy ekscytują się robotami i nowymi technologiami, ale jeśli w niej zabraknie pierwiastka ludzkiego, nawet ta nowoczesna medycyna nie będzie dobrze funkcjonować.

do uszkodzenia stawu biodrowego w dość młodym wieku. Rehabilitantka pokazuje zestaw ćwiczeń izometrycznych, które można wykonywać, leżąc w łóżku, przestrzega, by nie krzyżować kolan, pokazuje jak wzmocnić ramiona – będą potrzebne, kiedy pani Bożena zacznie poruszać się o kulach. – Rehabilitacja jest ustalana przez lekarza indywidualnie dla każdego pacjenta – wyjaśnia rehabilitantka, pani Alicja. – Wszystko zależy od tego, jaka endoproteza jest wszczępiena: cementowa czy hybrydowa, wymieniona jest tylko panewka czy także głowa kości udowej. Pani Alicja daje jeszcze kilka porad i biegnie do kolejnych pacjentów.

– Ostatnie miesiące już nigdzie nie wychodziłam, nawet do kościoła, tak bolało mnie to kolano – wzdycha 78-letnia pani Stefania z Rybnika. Przeszła kilka dni temu operację. Ma elegancką, starannie ułożoną fryzurę i pogodny, czarne oczy. – Marzę, żeby znów swobodnie się poruszać. Przecież jestem zupełnie zdrowa, tylko ta noga... Ale teraz już będzie dobrze. Muszę szybko wrócić do sprawności, bo muszę pomagać córce i wnukom, jestem im przecież potrzebna.

Zaraz panie z sąsiednich łóżek wymieniają się informacjami, ile mają lat, a ile dzieci i wnuków. Najstarsza na sali jest pani Konstancja – ma 81 lat. Wszystkie liczą na szybki powrót do zdrowia. To niesamowite, jak pozytywne nastawienie i świadomość bycia potrzebnym motywuje do walki ze słabościami i zniechęceniem. Właśnie te aspekty zainteresowały zespół profesora Dutki, który koordynuje program naukowy studentów psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego

badających oczekiwania pacjenta wobec zabiegu i jego poziom satysfakcji po operacji. Okazuje się, że ocena psychologiczna dokonana na podstawie ankiet, ale także sposobu chodzenia i sylwetki, pozwala przewidzieć, jak pacjent będzie się zachowywał po operacji, jak będzie znosił ból, czy będzie usatysfakcjonowany efektem zabiegu i jak szybko wróci do sprawności. – Dziś ludzie mają ogromne oczekiwania wobec medycyny, uważają, że można wszystko zoperować i człowiek będzie jak nowy. Tymczasem każda operacja jest dodatkowym urazem i nie zawsze jej efekt będzie taki, jak oczekuje pacjent – wyjaśnia prof. Dutka.

Praca zespołowa

Zbliża się godzina 15, więc lekarze zaczynają gromadzić się na popołudniową odprawę. Wracają z poradni i bloku operacyjnego. W oddziale pracuje siedmiu lekarzy specjalistów, dwóch rehabilitantów i 24 pielęgniarki. Oddział jest też głównym ośrodkiem szkoleniowym dla młodych lekarzy. Tutaj szkoli się kilkunastu rezydentów. Profesor przyznaje, że oni są również ważnym elementem zespołu i wiele od nich wymaga – tak jak od wszystkich członków zespołu. Specjalizacja z ortopedii i traumatologii trwa sześć lat i kończy się trudnym egzaminem końcowym. Jednak wszyscy wychowankowie profesora Dutki cenią się jako znakomici specjaliści. Profesor podkreśla, że zawsze stara się wpoić młodym lekarzom, że medycyna zabiegowa jest sztuką i nie wystarczy się nauczyć zawodu. Żeby go po mistrzowsku uprawiać, trzeba mieć wyobraźnię, zręczność, pasję i być całkowicie oddanym swej pracy.

– Dziś wszyscy ekscytują się statystykami, robotami i nowatorskimi operacjami, a dla mnie najbardziej emocjonujące były operacje, które być może z medycznego punktu widzenia nie były niezwykle, ale dla pacjenta stanowiły ogromny przełom w jego życiu – opowiada prof. Dutka. – Pamiętam, jak zdecydowałem się wydłużyć udo u kobiety z wrodzoną łamliwością kości. U takich pacjentów każda operacja jest ryzykowna, a proces wydłużania kości w ogóle jest trudny i długotrwały. Jednak efekt i szczęście tej kobiety to było coś, co będę zawsze pamiętał. Właśnie te emocje są w moim zawodzie najpiękniejsze.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiec, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

PORTRETY 2020 (listopad)

Opracował Witold Bereś



„Wiosna i lato 1943 roku, które Kowalska spędza w Warszawie, wypełnione są codziennymi sprawami – poszukiwaniem możliwości zarobku, składaniem wizyt, przygotowywaniem przeprowadzki do Warszawy oraz pisaniem listów do pozostawionego we Lwowie męża. Co innego jednak stanowi istotę tych dni – najważniejsze jest zauroczenie trzydziestodwuletniej Anny pięćdziesięcioletnią Marią. Rodzi się miłość”.

Sylwia Chwedorczyk z Instytutu Badań Literackich PAN jest pasjonatką listów Anny Kowalskiej i Marii Dąbrowskiej. Jej książka opowiada nie tylko o życiu literackim przedwojennego Lwowa, o czasach wojny w Warszawie i o powojennym Wrocławiu. Ani nawet głównie o Dąbrowskiej.

Zasługą autorki jest wydobywanie z cienia wspaniałej pisarki Anki Kowalskiej, autorytetu dla Andrzejewskiego, Broniewskiego, Iwazkiewicza, Parandowskiego, Słonimskiego czy Hartwig.

Kina Dunin pisze: „Nazwać związek Marii Dąbrowskiej i Anny Kowalskiej burzliwym, to nic nie powiedzieć. Czasami wydaje się, że ich miłość to głównie męka i udręka. Ale też namiętność, oddanie, wzajemne fascynacje, intelektualne wpływy, przyjaźń”.

Ta książka nie tylko opisuje te relacje w pełni i kompetentnie, ale i nie wstydydzi się emocji, uczuć.

Sylwia Chwedorczyk, *Kowalska. Ta od Dąbrowskiej*, Marginesy, Warszawa 2020.



„Przepraszam pana, jaka jest dzisiaj zupa?” – pyta jakaś zażywna paniusia Stefana Kisielewskiego w stołówce w Domu Literatów przy Krupniczej 22, gdzieś w połowie lat 60. ubiegłego wieku. – Jaka? – pyta lekko zamglony Kisielewski. – Chujowa, proszę pani, chujowa”.

Ten film pierwszy raz był oglądany (na 60. Krakowskim Festiwalu Filmowym) w czasie pandemii, a więc w momencie skrajnie niekorzystnym – a jednak zdążył obrosnąć legendą.

To opowieść o legendarnym krakowskim Domu Literatów w niepozornej kamienicy przy ul. Krupniczej 22. Tu po II wojnie światowej mieszkali pod jednym dachem wybitni polscy twórcy i intelektualiści – przez pół wieku, od roku 1945 do 1996 *locum* znalazło tam 101 pisarzy, od Andrzejewskiego przez Kisielewskiego po Szymborską. Tu powstawały *Kartote-*

ka Różewicza, *Policja* Mrożka oraz *Popiół i diament* Andrzejewskiego.

Reżyser filmu wraz z dwoma jego współtwórcami, Janem Polewką i Jerzym Kisielewskim, synami niegdysiejszych mieszkańców, buduje alegorię Krakowa jako Piemontu polskiej kultury. I coś, co wydawałoby się, musi być skazane na nudę: jedno wnętrze, kilka rozmów – nagle wciąga widza.

Jak to powiedziała producentka Aneta Zagórska: „Chociaż wszyscy miotani byli wiatrami historii, a wielu z nich dzieliły głębokie różnice, wszyscy żyli (z)godnie pod jednym dachem”.

Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana, reżyseria: Marek Gajczak; producent: Kraków Film Klaster; koproducenti: Barton Film, Krakowskie Biuro Festiwalowe, Kraków Film Commission, Telewizja Polska SA, Muzeum Historii Polski, Kraków – Miasto Literatury.



Zaczęło się od dwóch tomów rozmów z filozofem *Czas ciekawy, czas niespokojny*. Teraz na ich podstawie – ale także na podstawie udostępnionego przez rodzinę prof. Leszka Kołakowskiego bogatego archiwum domowego, zawierającego między innymi wspomnienia żony Tamary – Zbigniew Mentzel opisał pasjonujące życie autora *Głównych nurtów marksizmu* i innych analiz historyczno-filozoficznych, esejów politycznych klasy i znaczenia *Tez o nadziei i beznadziejności*, a wreszcie tomów dotyczących współczesnej cywilizacji, kultury i filozofii religii *Czy diabeł może być zbawiony* i *Jeśli Boga nie ma*.

Jako że Kołakowski był nie tylko komentatorem, ale i aktywnym uczestnikiem życia publicznego powojennej Polski, dostajemy też obraz rodzimej inteligencji, jej postaw oraz polityczno-etycznych (ale też towarzyskich) dylematów. A że z czasem, zwłaszcza po pozostaniu na Zachodzie, stał się cenionym myślicielem globalnego już formatu (symbolem profesura na prestiżowym All Souls College Uniwersytetu w Oxfordzie), dochodzi do tego relacja dotycząca wielkich sporów intelektualnych ostatnich dekad.

Zbigniew Mentzel, *Kołakowski. Czytanie świata. Biografia*, Znak, Kraków 2020.



Ewa Lipska jest Kotem

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Ilustracja: Sebastian Kudas

Kocia trzynastka, czyli Skotland Yard Ewy Lipskiej to obowiązkowa lektura dla tych, którzy cenią sobie nie tylko przewrotną frazę, ale też niestandardowe myślenie i niezależność. Tak jak Koty.

Zawsze podejrzewałam, że Ewa Lipska jest kotem. Ale teraz, po przeczytaniu jej najnowszego tomu *Kocia trzynastka, czyli Skotland Yard*, nie mam już żadnych wątpliwości. Nie trzeba być detektywem ze Skotland Yardu i przykładać lupy do tych wierszy, by mieć pewność, że trzymał na nich łapę gość o długich wąsach. Nie będę usiłowała zachowywać paritetów i próbować udowodniać, że musnęła je także swoim ogonem kotka, bo autorka nie pozostawia wątpliwości, pisząc o Kocie i to przez duże „K”.

Kot, którym jest Ewa Lipska, miewa oczywiście kobiece przymioty i potrafi być istic buduarowym stworzeniem, jak w *Medytacjach o Kocie*: „Wtorek, amorek, różowy podwieczorek, z renesansową wizją świata...”. Ale przeważenie to twarde z niego facet, prawdziwy Kot Szkot: „Z miski wypija whisky i jest cały celtycki”. Taki oto Kot z wyżyn swojego indywidualizmu i niezależności patrzy na ludzi. I ten niezbyt udany twór go niezmiennie zadziwia. A zadziwia go do tego stopnia, że raz po raz postanawia włożyć na siebie jego skórę. Jednak taka zabawa przynosi mu niewesołą refleksję, ba, może doprowadzić nawet do depresji Kota, gdyż: „Nie mieści się w głowie Kota ludzka głupota”.

No bo weźmy na ten przykład ekologię. Jakie myślenie stworzenie podcina gałąź, na której siedzi, niszcząc planetę i dobrowolnie faszerując się konserwantami. Bardzo to Kota martwi. Ale też, co tu kryć, ten świat dwunogich istot czasami go fascynuje. Jego wrodzone lenistwo i miłość do przeciągania się na

kanapie predestynują go nawet do tego, by został pośłem. Ponieważ od czasu do czasu lubi włożyć czapkę niewidkę, w służbach specjalnych też mógłby spróbować sił. Jego inteligencja bierze na szczęście górę nad przyziemnymi fantazjami, więc idzie po rozum do głowy, pozostając przy tym, co Kotu przystoi. Wraca spokojnie do zajęć Kota Konesera, który „woli politykę z oddali, występując na scenie w La Scali...”.

Dopiero wtedy świat wpada znowu na właściwe tory. Bo to nie może być tak, że „Człowiek przebiegł drogę Kotu, ludzkość czeka na Godotów”, jak pisze w jednym z najważniejszych wierszy w tomiku Lipska. Jego lektura utwierdziła mnie w przekonaniu, że kiedyś, tak jak poetka, przejdę na kocią stronę mocy. Jeżeli wam takie myśli również chodzą po głowie, wskakujcie pod ciepły koc, bierzcie do ręki kubek z gorącą herbatą i czytajcie mądre, piękne, przewrotne wiersze. Koniecznie delektując się też dołączonymi do nich fantastycznymi rysunkami Sebastiana Kudasa.

Niech Kot będzie z wami.

Ewa Lipska *Kocia trzynastka, czyli Skotland Yard*, rys. Sebastian Kudas, wydawnictwo Austeria, Kraków 2020.

„Kraków” jest patronem medialnym książki.

Panu Sebastianowi Kudasowi dziękujemy za umożliwienie publikacji ilustracji z tomiku.



Totalna wolność artystyczna

Tekst i zdjęcie: Marta Gruszecka

Scena Berlin? Co ma wspólnego stolica Niemiec z piwnicą na krakowskim Kazimierzu?

Berlin to miasto otwarte na ludzi, inność i przygody. Lekcję z tolerancji odrobił ponad trzy dekady temu, kiedy runął mur dzielący Zachód od Wschodu, dobrobyt od Peweksu i techno hedonistów od zbudowanych punków. Dziś jest tygłem wielu subkultur, wizji świata i orientacji seksualnych, których rząd nie traktuje jako złowrogą ideologię, a po prostu jak ludzi. Idąc berlińską ulicą z kolorowymi włosami albo z tęcza flagą, nie trzeba obawiać się agresji. Chyba że obok przechodzi akurat grupka polskich patriotów w koszulkach z symbolem powstania warszawskiego...

Nazwę najmłodszej krakowskiej sceny wyrosłej pod skrzydłami Teatru Nowego Proxima wybrano drogą konkursu. W czasie pandemii, bo właśnie wtedy trupa Piotra Siekluckiego pieczołowicie znosiła fotele z poprzedniej siedziby przy Gazowej i zmieniała klubowy (wcześniej działał tutaj klub Serce) wystrój na bardziej nonszalancki, a dyrektor poprosił krakowską publiczność o pomysły. Długo wygrywała Pandemia, na szczęście po chwilowym brylowaniu w koszulce lidera znokautowała ją Scena Berlin, kojarząca się znacznie lepiej. Zamyśłem dyrektora Siekluckiego było stworzenie podziemia kulturalnego dla dorosłych, które, podobnie jak niemiecka stolica, otwarte jest na wszystko. – To będzie przestrzeń totalnej wolności artystycznej! – zapewniał, a wszyscy ci, którzy chcieli zadebiutować, pokazać się światu po długiej przerwie albo przekroczyć jakieś granice, zaczęli odliczać dni do wielkiego otwarcia.

Obietnica złożona przez Siekluckiego rzeczywiście nie była słowem rzuconym na wiatr. „Scena

Berlin” działa od początku września. Przy ulicy Krakowskiej 41 mile widziani są artyści, którzy dopiero zaczynają, miłośnicy rewii drag queen, których inne teatry wypraszają, improwizatorzy nieprzewidywalni do tego stopnia, że może lepiej zagrać repertuarowego Hamleta niż zapraszać jakichś tam komików, oraz widzowie, tyle że raczej 18 plus. Na inaugurację kulturalnego podziemia zabrzmiały piosenki Kurta Cobaina. Trudno być pewnym, czy to dobra wróżba, niemniej Dominikowi Rybiałkowi, młodemu wokaliście, który nieśmiertelne klasyki wykonał, można śmiało przybić za nie piątkę.

Co dalej? Oferta Sceny Berlin jest śmiała – rewia drag queen *Show Must Go On*, sztuka o Jacku Kaczmarskim (*Muzeum. Lekcja historii Jacka Kaczmarskiego*) i spektakle *Impro KRK*, czyli gry i sceny wykorzystujące techniki improwizacyjne Keitha Johnstone’a.

Goście Sceny Berlin nie muszą siedzieć o wodzie i gumach do żucia. Berlińskie menu zawiera kilka drinków, choćby aperol spritz, który wypijemy za 20 zł i w dodatku będziemy zachwycać się hojnością barmana, kraftowe piwa (od 12 zł) czy napoje bezalkoholowe.

Scena Berlin jest czynna w weekendy od godz. 18. Około godz. 19 rozpoczynają się przedstawienia albo koncerty, po których można zostać i dyskutować do rana. Teatralny bar działa bowiem do ostatniego gościa.

Scena Berlin, ul. Krakowska 41. Szczegóły na stronie teatrnowy.com.pl.

Warszawianka, która pokochała Kraków

Tekst: Krystyna Zachwatowicz-Wajda Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Słowo Krystyny Zachwatowicz-Wajdy po otrzymaniu medalu „Za Mądrość Obywatelską” 21 września w krakowskim muzeum Manggha.

Szanowni Państwo, drodzy Przyjaciele,

Przede wszystkim jestem głęboko i stanowczo przekonana, że moja postawa, którą tak uhonorowaliście – pomiędzy naprawdę zasłużonymi – powinna być normą naszego postępowania i taką normą była zawsze dla mnie.

Skończyłam w maju 90 lat, ale na szczęście nie mam jeszcze sklerozy, więc pamiętam całe moje życie. Pamiętam dobrze, komu zawdzięczam to wszystko, co spowodowało, że żyłam tak, a nie inaczej. Pozwólcie, że wymienię te osoby.

Nie jest przecież moją zasługą, że miałam szczęście urodzić się jako córka architektów – Marii i Jana Zachwatowiczów – tak oddanych swojej pracy. W domu nigdy nie słyszałam rozmowy o karierze, pieniądzach czy znajomościach.

To z zachwytu Krakowem przeniosłam się tutaj na stałe w roku 1950. I od tej chwili – stara warszawianka staram się być dobrą krakowianką.

W domu rodziców mojego Ojca też takie rozmowy były nie do pomyślenia. Dziadek już nie pracował – był emerytowanym kolejarzem, a babcię zapamiętałam jako najlepszą gospodynię w domu – mój wzór, kiedy po latach taki dom starałam się zrobić dla Andrzeja, z konfiturami – jak ona.

Takim ciepłym domem był też dom mojego dziadka Witolda Chodźki, ojca mojej Matki, lekarza, wieloletniego w dwudziestoleciu ministra zdrowia, wielkiego społecznika. Dopiero jako dorosła osoba dowiedziałam się, że aktywnie działał w polskiej masonerii.

Jestem pewna, że atmosfera tych domów była dla wychowania mnie najważniejsza.

Od wybuchu wojny w 1939 roku już wiele rozumiałam i domyślałam się działań mojej

Ojca w konspiracji. Wszystkiego dowiedziałam się oczywiście po wojnie – że był członkiem Delegatury Rządu Londyńskiego na Kraj, że wykładał na nielegalnych kursach Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, gdzie znajdowała się – oczywiście konspiracyjna – wytwórnia fałszywych dokumentów, że miał udział w Żegocie.

W czasie niemieckiej okupacji, w 1943 roku, Rodzice zgodzili się, żebym zapisała się do tajnego harcerstwa, a w czasie Powstania na mój udział w służbach pomocniczych AK. Dopiero po wojnie zrozumiałam, że naprawdę bohaterką Powstania była moja wspaniała Matka (a nie ja – teraz niesłusznie tak nazywana) – przez 63 dni czekała na Ojca i mój powrót do domu każdego wieczora.

Po wojnie dzięki mojemu Ojcu zobaczyłam, co znaczy służba dla idei. Poświęcił całe życie odbudowie – nie tylko Warszawy – z ruin wojny. Był niezwykłym, pracowitym, mądrym człowiekiem. Jego śmierć była dla mnie wielkim ciosem. Był dla mnie niedościgłym wzorem.

Takim wzorem był dla mnie zawsze Andrzej Wajda, którego żoną miałam szczęście być przez 43 lata. Takim szczęściem było też 45 lat naszej wspólnej pracy. Najważniejsze lata mego życia. Z nim przeżyłam smutne lata komuny, niezapomniany rok „Solidarności”, wstrętny czas stanu wojennego i pierwsze lata niepodległości.

Nie mogę nie wspomnieć jeszcze mojego profesora Karola Frycza, który nauczył mnie najważniejszych zasad pracy scenografa, dzięki czemu przepracowałam w teatrach przeszło 50 lat bez żadnych konfliktów z moimi pracownikami.

No i oczywiście Piotra Skrzyneckiego, naszego przyjaciela – ikony życia bezinteresownego. Joannie Ronikier, naszej przyjaciółce, wspaniałej pisarce, zawdzięczam, że mnie – nieśmiałą wielbicielek Piwnicy – Piotrowi do kabaretu poleciła.



Najważniejsze w naszych wspólnych inicjatywach jest to, że trwają – oddane w dobre ręce. Najważniejsza – krakowska Manggha jest w najlepszych rękach Bogny Dziechciaruk-Maj i całego świetnego zespołu. Warszawską Szkołę Andrzeja prowadzi niezawodnie Wojtek Marczewski. Działanie Pawilonu Józefa Czapskiego, wzniesionego naszym wspólnym staraniem, zależy teraz oczywiście tylko od siły jego kierownika Agnieszki Kosińskiej i krakowskiego Muzeum Narodowego. Zaczęła teraz też intensywnie funkcjonować, po latach od zbudowania Muzeum Manggha – nasza Fundacja Kyoto-Kraków, dzięki zaangażowaniu Urszuli Lalourny, jej nowemu sekretarzowi.

Może zdążę doprowadzić jeszcze do powołania Muzeum Olgi Boznańskiej – to jest zależne tylko od dobrej woli naszej Akademii Sztuk Pięknych, jej rektora profesora Andrzeja Bednarczyka i władz Miasta.

Jestem najgłębiej przekonana, że moje życie, które zechcieliście tak uhonorować, zawdzięcza tę nagrodę jeszcze wielu wspaniałym moim przyjaciołom i współpracownikom. I na pewno miastu Kraków. To z zachwytu miastem przenieśli się tutaj na stałe w roku 1950. I od tej chwili – stara warszawianka – staram się być dobrą krakowianką.

Dziękujemy laureatce za przekazanie wystąpienia.



Kobieta, która wie

Rozmawiała Marta Gruszecka Zdjęcia: Alicja Rzepa / za wiedzą i zgodą Ewy Bieleckiej

Ewa Bielecka, prezeska Stowarzyszenia „Na Rzecz Rozwoju”: Przez wiele lat unikałam słowa „feminizm”, bo często kojarzono go z przesadzonymi działaniami, które nie miały niczego wspólnego z jego prawdziwą definicją. Kiedy uświadomiłam sobie, że ta negatywna narracja jest celowa, zaczęłam czuć się z nim dobrze. Przecież każda pracująca kobieta to właściwie feministka.

Do pokoju, w którym rozmawiamy, raz po raz zaglądają koty. Żaden nie zbliża się jednak na tyle, bym mogła przyjrzeć mu się z bliska. Z ich strony to zapewne tylko chęć „wywęszenia” gościa i upewnienia się, czy z ich opiekunką wszystko w porządku. Ot, kocia czujność.

Marta Gruszecka: Koty nie przyjaźnią się z byle kim, same wybierają sobie dobrych ludzi. Czuje Pani z nimi wyjątkową więź?

Ewa Bielecka: Mieszkam z kotami od ponad dwudziestu lat. Moją pierwszą kotką była bura Klara – najmądrzejsza kocica, jaką poznałam. Przeżyłyśmy razem kilkanaście pięknych lat. To Klara nauczyła mnie kociego języka i kocich emocji. Poznałyśmy się przypadkiem – chociaż po tylu latach z kotami wiem, że w ich zachowaniu nie ma zbiegów okoliczności – w moim garażu. Pierwszy dzień naszej znajomości Klara spędziła właśnie tam. Nazajutrz wpuściłam ją do domu, a kolejnego dnia spała już na moim łóżku. Klara asystowała w czynnościach domowych, reagowała na moje zmiany nastrojów, wspierała mruzeniem w trudnych chwilach. W dniu swojego porodu nie odstępowała mnie na krok, tak jakby chciała, żebym była jej położną. Ufała mi – potomstwo Klary, Fifi i Boni, przyszło na świat w mojej sypialni.

Kocie rodzeństwo wspierało w żałobie po odejściu Klary?

Do dziś nie mogę się z tym pogodzić, byliśmy bardzo związane emocjonalnie... Boni, córka Klary, ma 16 lat i mieszka ze mną do dziś. Jest biało-czarna, jej brat – czarno-biały Fifi – odszedł dwa lata temu. Boni jest nieco płochliwa, więcej odwagi ma Mimi, kocica, która dołączyła do nas przed dekadą. Chadza własnymi ścieżkami, lubi spędzać czas w ogrodzie, ale na kolację zawsze wraca do domu. Nie boi się Azy, siedmioletniej suczki, która trafiła do mnie z adopcji. Ba, czasem da jej się nawet powąchać! Dziewczyny dobrze się dogadują, ale wolą nie wchodzić sobie w drogę. Czuję niezwykłą więź z moimi zwierzętami, dlatego wiem, że kiedy wychodziłam do pracy rano i wracałam z niej późnym wieczorem, były

niepocieszone. Okres kwarantanny zdecydowanie nas zbliżył.

Przez 25 lat działalności Stowarzyszenia „Na Rzecz Rozwoju”, którego jest Pani prezesem, rzeczywiście dużo się działo. Organizujecie koncerty, wystawy czy pokazy filmowe, zapraszacie dzieci na wakacyjne wyjazdy, tworzycie konferencje, na których podkreślacie rolę kobiet w życiu społecznym i publicznym. *Spiritus movens* wszystkich

Kobiety, sędziowie, osoby LGBT – nieważne. Trzeba wspierać wszystkich, którzy są poddawani represjom.

aktywności jest Pani. Tak dobrym organizatorem może być tylko ktoś, kto od dziecka ma świetny kontakt z ludźmi i potrafi mobilizować ich do działania. Była Pani przewodniczącą klasy?

W szkole podstawowej i średniej nie. Wtedy zupełnie nie miałam na to czasu – byłam zawodową pływaczką, a to bardzo absorbujący sport. Na mój plan dnia składały się lekcje w szkole i treningi na basenie. Często wyjeżdżałam na zawody pływackie, które odbywały się w polskich miastach, ale też za granicą, w dawnej Czechosłowacji, na Węgrzech czy w NRD. Pływałam żabką, potem awansowałam do sekcji kraulistek TS Wisły Kraków. Dopiero na studiach poczułam, że dobrze czuję się w roli liderki i zostałam przewodniczącą roku. Te studenckie doświadczenia przydały się w późniejszej działalności.

Przed powołaniem Stowarzyszenia była Pani radną, zajmowała się inwestycjami gminy i nieruchomościami. Ale to działalność społeczną postawiła Pani na pierwszym miejscu.

Zdecydowała o tym chyba potrzeba serca. Uwielbiam kontakt z ludźmi, mam pomysły, które potrafię realizować, jestem aktywna na wielu płaszczyznach. Powołałam Stowarzyszenie, by móc pomagać innym,

a przy okazji rozwijać się, realizować siebie i swoje pasje. Od 1994 roku prężnie działamy społecznie i charytatywnie, stworzyliśmy od podstaw kilka ważnych dla Krakowa projektów. „Najpiękniejszy Dzień Lata”, akcja organizowana przez nas od dwudziestu lat, ma przybliżyć dzieciom i młodzieży z Małopolski historię swojego regionu. W każde wakacje zapraszamy uczestników spoza Krakowa na wyprawę do królewskiego miasta. Grafik dnia jest napięty – dzieci odwiedzają krakowskie muzea, między innymi Muzeum Lotnictwa Polskiego, Muzeum Archeologiczne czy Muzeum Narodowe, zaliczają kąpiel w Parku Wodnym, płyną statkiem po Wiśle, oglądają filmy w Multikinie albo kinie Kijów, poznają historię obwarzanka... Dziś oferta edukacyjna Krakowa jest bogata, można spędzić tutaj dzień pełen wrażeń. Dwie dekady temu mało kto jednak organizował takie wycieczki. Być może to my daliśmy innym impuls do działania... Z „Najpiękniejszego Dnia

Rolą każdego samorządu powinno być zapewnienie wsparcia kobietom doświadczonym przemocą domową, organizowanie im pomocy psychologicznej, bezpiecznych schronień oraz miejsc do pracy.

Lata” wyrósł projekt „Królewskie Wakacje”. Zaadresowaliśmy go do młodych mieszkańców Krakowa, którzy lato spędzają w mieście. Postanowiliśmy zapewnić dzieciom i młodzieży różnorodne zajęcia łączące rozrywkę z edukacją. Tak, by nawet mimo niemożliwości odbycia dalekich wakacyjnych podróży miały co wspominać. Zaprosiliśmy dzieci na pikniki, spacerować po Ogrodzie Doświadczeń im. Stanisława Lema, zwiedziliśmy wiele muzeów, zorganizowaliśmy warsztaty i występy artystyczne. Przez ostatnie dwadzieścia lat pod opiekę Stowarzyszenia trafiło prawie 26 tysięcy dzieci!

A jeszcze więcej kobiet zdało sobie dzięki Pani sprawę, że ich głos liczy się w przestrzeni publicznej. To dzięki konferencji Kobieta – Wiedza – Władza, którą Stowarzyszenie organizuje od 2014 roku, zawsze 8 marca. Pomyśl na nią wziął się z mojego zainteresowania historią... wiedźmy, czyli tej, która wie. Postanowiłam odczarować pejoratywne znaczenie tego słowa i podkreślić, że wiedźmy w czasach przedchrześcijańskich były przecież wielkimi autorytetami w lokalnych społecznościach. To one potrafiły leczyć, znały się na ziołach i astrologii, przewidywały pogodę. Tymczasem kultura chrześcijańska i kościelni hierarchowie za nic mieli kobiecą wiedzę – tak zresztą mają do dziś – i zaczęli tworzyć narrację, która wiedźmy „rzuciła na stos”. Tak mądre i doświadczone kobiety!

Ma Pani jakąś swoją wiedźmę? Kobieta, której wiedza i doświadczenie szczególnie Pani imponuje?

Poszukiwania na temat wiedźm zaczęłam u dr Anny Olszewskiej z Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie. Dzięki niej trafiłam na wybitną literaturę, która pokazuje losy wiedźm w ciągu wieków. Po lekturze zdałam sobie sprawę, że moją idealną wiedźmą będzie Małgorzata Walewska. To znakomita mezzosopranistka i aktorka, a przede wszystkim niesamowicie inteligentna kobieta z silnym charakterem. Znamy się z Małgorzatą od dawna, bardzo mi imponuje. Dlatego nad wyborem głównej śpiewaczki do koncertu *Wiedźmy*, kolejnego wydarzenia organizowanego przez Stowarzyszenie, nie zastanawiałam się ani chwili. Muzyczne spotkanie z „Wiedźmą” odbyło się w 2014 roku w Operze Krakowskiej i było jednym z czterech punktów programu konferencji Kobieta – Wiedza – Władza. Zdecydowałam się na koncert operowy, bo opera jest moją pasją, często wyjeżdżam w różne miejsca specjalnie „za spektaklem” albo „za artystą”. Odwiedziłam między innymi La Scallę, Metropolitan Opera, Operę Narodową w Berlinie, oglądam każdą premierę Opery Krakowskiej, mam karnet do Filharmonii... To właśnie miłość do opery spłotła moje losy z Małgorzatą.

Koncertowi towarzyszyła również wystawa *Wiedza – Władza* w Sukiennicach oraz pasmo filmowe *Być kobietą*. W kolejnych latach zaprosiliśmy gości między innymi na pokaz filmu *Metropolis* Fritza Langa z muzyką napisaną przez Abła Korzeniowskiego wykonaną pod batutą jego brata Andrzeja Korzeniowskiego (Centrum Kongresowe ICE), nocne zwiedzanie wystawy *Modna i już. Moda w PRL* w Muzeum Narodowym w Krakowie oraz widowisko *Modna przez wieki* Baletu Dworskiego Cracovia Danza.

Pierwszą, historyczną edycję konferencji pod hasłem Społeczna rola kobiet na przestrzeni wieków odwiedził sam premier Donald Tusk.

Jego wizyta była dla wszystkich dużą niespodzianką. Konferencji patronowała ówczesna wicepremier Elżbieta Bieńkowska, dlatego zakładałam, że jeżeli rzeczywiście odwiedzi nas ktoś z Kancelarii Premiera, będzie to właśnie pani wicepremier. Tymczasem, dzień przed konferencją do Krakowa przyjechali funkcjonariusze BOR-u z misją przygotowania Gmachu Głównego Muzeum Narodowego w Krakowie – bo właśnie tam miała odbyć się konferencja – na wizytę Donalda Tuska. To była miła wizyta – z okazji Dnia Kobiet premier przywiózł organizatorce i uczestniczce tulipany, zaś dzięki jego obecności konferencję transmitowały wszystkie telewizje, pisały o niej portale i gazety.

Zna Pani Donalda Tuska prywatnie?

Tak, poznałam go w czasach, gdy byłam członkiem Unii Wolności. Ale na tym na-



sza znajomość się zakończyła, bo szybko odeszłam z polityki. Obserwuję jednak jego działalność z obywatelskiego punktu widzenia. To świetny polityk – cenię Tuska nie tylko za to, czego dokonał w Polsce, ale przede wszystkim za działalność międzynarodową. I uwielbiam jego wpisy na Twitterze. Donald Tusk to mistrz ciętej riposty.

Podobnie jak śp. prof. Jerzy Vetulani, wybitny naukowiec i neurobiolog oraz wielce sympatyczny człowiek, którego wykłady były stałym punktem programu trzech konferencji Kobieta – Wiedza – Władza.

Poznałam prof. Vetulaniego podczas wyborów na prezydenta Krakowa w 2002 roku, w których oboje startowaliśmy. Potem zetknęliśmy się dopiero kilkanaście lat później właśnie przy okazji konferencji. Zapropnowałam, by wygłosił dla nas wykład. Zgodził się i zdecydował, że opowie o różnicach w mózgu kobiety i mężczyzny. Prof. Vetulani był znany jako niezły figlarz, dlatego poprosiłam go, by przesłał mi prezentację, jaką

przygotował w ramach wykładu. Była znakomita, ale niektóre rzeczy musiałam ocenzurować ☺. Zapamiętałam profesora jako cudownego i serdecznego człowieka ze złośliwym poczuciem humoru – takim, jakie uwielbiam. **Od debiutu konferencji na krakowskiej mapie kulturalnej minęło sześć lat. Już wtedy zaproszeni na nią goście podkreślali rolę kobiet w dyskursie publicznym, przekonywali, jak ważny jest ich głos, wiedza i doświadczenie. Wizyta premiera Tuska świadczyła o chęci dialogu z kobietami, a także była symbolem równości płci i politycznych parytetów. Z czym mamy do czynienia kilka lat później? Kobiety muszą wychodzić na ulicę w obronie podstawowych praw, a władza zamiast partnerstwa chce wprowadzić patriariat. Co Pani na to?**

Umiejętności funkcjonowania w przestrzeni publicznej mężczyźni wypracowywali sobie przez ostatnie tysiąc lat. Dawniej polowali i walczyli, później zdobywali władzę i uczyli się rządzenia, logistyki, wystąpienia publicz-

nych... Kobiety są aktywne dopiero od stu lat, mimo to muszą nieustannie udowadniać swoją wartość, więcej pracować, być ekspertkami zarówno w swojej dziedzinie, jak i przykładowymi opiekunkami ogniska domowego. Prof. Vetulani przekonywał, że mózg mężczyzny wyewoluował z mózgu kobiety. Jak zatem płęć żeńska może być mniej inteligentna lub gorzej przygotowana do pełnienia określonych funkcji publicznych? Kobiety po prostu jeszcze się uczą. Nie mają za sobą tysiąca lat doświadczenia, a zaledwie sto. Przewrotnie, fatalna polityka władzy spowodowała, że Polki dojrzały mentalnie i coraz częściej myślą o swoich prawach. PiS przy wsparciu Kościoła usiłuje zagonić kobiety do kuchni i rodzenia dzieci, jakoby była to ich jedyna funkcja w życiu. Owszem, macierzyństwo jest bardzo ważnym etapem dla każdej kobiety – sama mam 24-letniego syna i pamiętam okres oczekiwania na niego, narodziny, potem wychowanie. Ale to bezczelne i agresyw-

Kobiety najczęściej angażują się w życie publiczne nie tyle z powodu ambicji politycznych, ile przede wszystkim z potrzeby publicznego działania.

ne zachowanie władzy, nie tylko w stosunku do kobiet, ale też demokracji i praw obywatelskich, to katastrofa. Takie rzeczy, jak wypowiedzenie konwencji stambulskiej, nie mają prawa dziać się w demokratycznym kraju! Jestem oburzona obecną polityką i daję temu wyraz, biorąc udział w marszach i protestach, ostatnio na przykład pod krakowskim sądem w obronie Beaty Morawiec. Kobiety, sędziowie, osoby LGBT – nieważne. Trzeba wspierać wszystkich, którzy są poddawani represjom.

Czuje się Pani feministką?

Przez wiele lat unikałam tego słowa. Wynikało to z przypisanego mu pejoratywnego znaczenia. Feminizm kojarzono z przesadzonymi działaniami, które często nie miały niczego wspólnego z jego prawdziwą definicją. Kiedy uświadomiłam sobie, że ta negatywna narracja jest celowa, zaczęłam czuć się z nim dobrze. Przecież każda pracująca kobieta to właściwie feministka.

Gdyby kiedyś znowu zdecydowała się Pani na udział w wyborach i została prezydentem Krakowa – na jakie prawa pod Pani rządami mogłyby liczyć kobiety?

Przede wszystkim nie zamierzam wracać do polityki. Uważam jednak, że rolą każdego samorządu i prezydenta powinno być zapewnienie wsparcia kobietom doświadczonym przemocą domową, organizowanie im pomocy psychologicznej, bezpiecznych schronień oraz miejsc do pracy. Z pozycji prezydenta można też apelować do władz wyższego stop-

nia, by oprawcy byli natychmiast karani. I koniecznie pomagać organizacjom społecznym, których zadaniem jest niesienie pomocy kobietom doświadczonym przemocą.

Mojej kampanii w 2002 roku towarzyszyło powstanie strony internetowej, na której szczegółowo opisałam, dlaczego warto głosić na kobietę. Choć od tego czasu minęło osiemnaście lat, nie usunęłam tego tekstu do dziś. Dlaczego? Bo pomimo upływu lat, przemian społecznych oraz zmian w mentalności kobiet i ich sposobie myślenia, niemal wszystko jest tam aktualne. Kobiety powinny mieć stworzone warunki do wolności wyboru w sprawie drogi życiowej, planowania kariery i życia rodzinnego.

Obecnie ta wolność ma charakter jedynie deklaracyjny. Podkreślałam wtedy, że kobiety wykształcone, przygotowane do pracy zawodowej nie mogą realizować swych planów. Kobiety są konkretne i najlepiej rozumieją potrzeby swoje i rodzin. Tylko szeroka reprezentacja kobiet w samorządzie zapewni ich uwzględnianie. Kobiety najczęściej angażują się w życie publiczne nie tyle z powodu ambicji politycznych, ile przede wszystkim z potrzeby publicznego działania, czego sama jestem przykładem. Jak zresztą i tego, że mimo moich licznych aktywności posiadam szczęśliwą rodzinę.

Czy w czasie pandemii znalazła Pani dla siebie więcej czasu?

Zdecydowanie. Stowarzyszenie nie mogło działać na taką skalę, jak dotychczas. Spotkania, koncerty i wystawy odwołano, dzieci zamiast pojechać na wycieczkę, musiały zostać w domach. Na początku zupełnie nie mogłam się odnaleźć – praca to moja pasja i odpoczynek, nie umiem żyć bez kalendarza. Po czasie, zdałam sobie jednak sprawę, że to dobra okazja, by nadrobić zaległości z rodziną, wreszcie pomieszkać w domu, zwierzakami, ogrodem... Tegoroczne surfinie źle zniosły kapryśną aurę lata.

Od lat mieszka Pani w domu pod Krakowem.

Widzi Pani siebie w jakimś innym miejscu?

Kraków to moje miasto, jestem krakowianką z urodzenia i wyboru. Wszystkie działania Stowarzyszenia skupiają się wokół niego, bo uważam, że to najlepsze miasto na świecie. Nie chciałabym mieszkać gdzieś indziej. Może w Kazimierzu Dolnym albo Rzymie, w których jestem zakochana... Ale nie – Kraków jest mój i już.



Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

Teatr w czasach zarazy, czyli wyznania nałogowca

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Nie ukrywajmy, jesteśmy nałogowcami. I to zarówno ci, którzy uwielbiają rozsiąść się na widowni i czekać, aż zgaśnie światło, by zanurzyć się w stworzone przez artystów światy, jak i ci, dla których życie bez sceny i oklasków traci wszelki smak. W czasie lockdownu czuliśmy się wszyscy jak na głodzie.

Kiedy więc tylko zniesiono obostrzenia, aktorzy Krzucili się do pracy, którą przerwała parę miesięcy wcześniej pandemia, a widzowie, jeszcze nieśmiało, ale jednak, wybierali się na pierwsze premiery w Teatrze Ludowym (*Solaris*) i Teatrze Barakah (*Inni ludzie*). Ich wysyp nastąpił jednak po wakacjach. Przyjrzyjmy się, jak wygląda sztuka sceniczna w czasach zarazy.

Zmieniło się sporo, do czego przyczynił się obowiązujący w instytucjach kultury reżim sanitarny. Już nie wbiegamy beztrudno do teatrów, by rzucić w szatni płaszcz i witać się ze znajomymi. Teraz szczerze zamaskowani i zdezynfekowani podpisujemy oświadczenia, zapewniając, że nie mamy objawów choroby, i nastawiamy czoło, by zmierzono nam temperaturę. Co tu kryć, nastrój trochę siada, tym bardziej że nie możemy już na widowni wymienić z sąsiadem uwag na temat oglądanego spektaklu (a są tacy, którzy to lubili), bo siedzimy co drugi fotel

(trzymanie się za rękę też w tej sytuacji nie wchodzi w grę). Na szczęście pozostaje sama czysta sztuka i niespotykana energia, jaka płynie ze wszystkich bez wyjątku scen krakowskich teatrów i od stęsknionych za graniem aktorów. I to jest pozytywny aspekt sytuacji, w której obecnie się znaleźliśmy.

Teatr im. J. Słowackiego: *Jedzonko* i *Ludwiczek, czyli młodziaki w akcji*

Najwięcej energii mają dzieci, więc może dlatego najnowsze tytuły przedstawień w „Słowackim” operują zdrobnieniami. Ale nie czepiajmy się, dyrekcja sceny od początku stawia na młodość, ponosząc czasami związane z tym konsekwencje. Jednak *Jedzonko* to interesujący spektakl, poruszający istotne, dotyczące nas wszystkich problemy.

Bo co tak naprawdę zajmuje *nomen omen* konsumpcyjne społeczeństwo jak nie jedzenie? O czym



Lidia Bogaczówna i Feliks Szajner w *Jedzonku* / fot. Bartek Barczyk (reprodukcja za zgodą Teatru im. Juliusza Słowackiego)

najczęściej rozmawiamy przy stole, racząc się coraz wymyślniejszymi daniami? Odkąd nie musimy, jak nasi rodzice, stać w kolejkach i zdobywać ochłapów, przykładamy coraz większą wagę do tego, co ląduje na naszym talerzu. Większość z nas wyznaje przecież filozofię jedzenia wyłącznie zdrowych produktów. Według niej jeżeli już musimy jeść mięso, powinno ono pochodzić tylko od szczęśliwych zwierząt i nie wpływać na zanieczyszczenie klimatu.

Katarzyna Szyngiera na szczęście nie mówi o tym wszystkim w sposób typowy dla moralizującego teatru zaangażowanego, co mogłoby przyprawić widzów o niestrawność. Przyjęła formę inteligentnej rewii, trzymanej w ryzach przez ramy sztuki obyczajowej, którą stanowi kolacja wydana na cześć 90-letniego seniora rodu (Feliks Szajnert). Jego córka (Lidia Bogaczówna) przygotowuje z tej okazji ucztę, której punktem kulminacyjnym ma być wołowina Kobe pochodząca od specjalnie hodowanych japońskich krów. Zrobione z nich steki kosztują, bagatela, 2 tys. zł za kilogram. Do tego trzeba jeszcze dobrać odpowiednie, podkreślające ich smak wino, o którym na scenie opowie ze znanstwem domowa sommelierka (Katarzyna Zawisłak-Dolny).

I nie byłoby w tej pokpiwającej z naszego snobstwa komedii pewnie nic szczególnego, gdyby w końcu do głosu nie doszedł rzeczony dziadek, który nagle przerywa konsumpcyjną orgię, mogącą skojarzyć się z filmem *Wielkie żarcie*, i zaczyna snuć wspomnienia o Wielkim Głodzie na Ukrainie, którego był świadkiem. To mocny kontrast do tego, co się do tej pory wydarzyło. Jego monolog wprowadził na scenę taki nie-

pokój, że już trudno było o beztronski uśmiech na widok szalejącej w balonie Ziemi (Agnieszka Kościelniak), wkurzonej na ludzi za jej dewastację, czy ogromnej truskawki (Maciej Pesta), której gejowsko przegięty monolog na temat naszej hipokryzji, dotyczącej mutacji genetycznych, kończył spektakl.

Warto go skosztować, zanim odczuje się pewien rodzaj niestrawności na widok *Ludwiczka*, który może wyprowadzić z równowagi co wrażliwszych widzów. Niepokój mój wywołała już przedpremierowa wypowiedź jednego z reżyserów na temat Ludwika van Beethovena (nad godzinnym dziełem pracowało ich dwóch, Daniel Malchar i Rafał Szumski), którą cytuję za „Dziennikiem Polskim”: „Głuchy kompozytor – i to nie byle jaki – to igraszka natury. Świat na pewno by się nim dziś zainteresował, może nie przez wzgląd na jego dzieła, ale postać”. Pozwolę sobie nie zgodzić się z tym stwierdzeniem, gdyż żyją jeszcze na tej ziemi ludzie, których interesuje Beethoven właśnie ze względu na jego genialne utwory. Nie cytowałabym tego zdania, gdyby nie znalazło ono rzeczywiste rozwinięcia w samym spektaklu.

Otóż wchodzącą na widowie publicznosc wita świetnie śpiewająca i pełna seksapilu Ewelina Cassette, jakby wyciągnięta z przedwojennego berlińskiego kabaretu. Słyszemy dźwięki najpopularniejszego utworu kompozytora, czyli *Dla Elizy*, tak przearanżowanego, że trudno go momentami rozpoznać. Ale pasuje on do tezy, że dziś Beethoven byłby autorem muzyki do reklam i innych komercyjnych projektów. Popierają ją dodatkowo filmy wyświetlane na bocznym ekranie i męcząca melodyjka dzwonka przy wejściu.



Karolina Kazon w *Ludwiczku* / fot. Bartek Barczyk (reprodukcja za zgodą Teatru im. Juliusza Słowackiego)

Punktem kulminacyjnym spektaklu jest spotkanie dwóch geniuszy, Mozarta i Beethovena. W interpretacji twórców *Ludwiczka* wygląda ono jak spotkanie gwiazdy rocka z debiutantem z prowincji. Czy gdyby Mozart żył dziś, byłby bożyszczem tłumów? Możliwe, choć raczej nie w stylu Zenka Martyniuka. Gwiazdą pop też by pewnie nie został, bo jednak jego muzyka obracała się w nieco innych rejonach. Za jego życia była, owszem, doceniana, ale przez wyrefinowaną publiczność, słuchającą go w pałacach, a nie wśród uprawnych pól.

Jest w tym spektaklu kilka ładnych plastycznie scen, szczególnie tych wyświetlanych na ekranie. Zapamiętam Ludwika siedzącego przy dziecięcym pianinie, któremu przygląda się rozkoszny brzdąc. Rysujący się w spojrzeniu Daniela Malchara smutek, zapowiadający tragedię, jaka dotknie kompozytora, robi wrażenie. Po spektaklu wrzuciłam do odtwarzacza płytę, na której *Koncert potrójny* Beethovena grają Anne-Sophie Mutter, Yo-Yo Ma oraz Daniel Barenboim i zrobiłam to w pełni świadomie, a nie – tak, jak sugerują autorzy przedstawienia – dzięki podpowiedzi YouTube.

Stary Teatr: Kochana Wisełko, Najdroższy Zbyszku, czyli korespondencyjny romans stulecia

Gdyby dzisiaj żyli Wisława Szymborska i Zbigniew Herbert, raczej nie korzystałoby z wygenerowanej komputerowo playlisty. Ba, pewnie by też do siebie nie pisali maili, bo jednak tak dowcipna, inteligentna, ale też pełna wzajemnej troski wymiana myśli aż prosi się o papier listowy, do którego można dokle-

ić nie tylko znaczek, ale też kolaż. I właśnie tak wyśmakowany, pełen humoru oraz czułości jest grany w Starym Teatrze spektakl Mikołaja Grabowskiego *Kochana Wisełko, Najdroższy Zbyszku*, którego scenariusz powstał na podstawie wydanej dwa lata temu korespondencji poetów. Przybrała ona formę błyskotliwego flirtu, który na scenie prowadzą Katarzyna Krzanowska i Jacek Romanowski.

Już na początku aktorzy zastrzegają, że nie będą udawać granych przez siebie postaci. W przymglonym niebieskim świetle są bardziej duchami, zjawami z przeszłości, których przyjaźń rozwija się w ciągu kilkudziesięciu lat. Poznajemy ich, kiedy to ona jako redaktorka działu poezji „Życia Literackiego” prosi kolegę po piórze o przysłanie nowych wierszy. Z czasem ich relacja nabierze coraz bardziej intymnego charakteru, z domieszką purnonsensu, który tak uwielbiała Szymborska.

Ten sceniczny świat budowany jest prostymi środkami, bez żadnych udziwnień i efektów specjalnych. Wszystko jest w rękach dwójki aktorów, między którymi przepływa niewidzialna energia. Nawet wtedy, kiedy ona, już jako laureatka Nagrody Nobla, dostaje od niego chłodny telegram: „Serdeczne gratulacje”, w którym możemy dostrzec jeszcze gorsze uczucie niż tylko cień zazdrości. Opuszczając teatr, wciąż miałam pod powiekami obraz Katarzyny Krzanowskiej i Jacka Romanowskiego, którzy jako dwójka starych ludzi idą, podtrzymując się nawzajem. Tak jak Szymborska z Herbertem podtrzymywali się na duchu przez całe życie, w którego tle toczyła się niepasująca do nich, prząsna historia.



Katarzyna Krzanowska i Jacek Romanowski w *Kochana Wisełko, Najdroższy Zbyszku* / fot. Ryszard Kornecki (reprodukcja za zgodą Teatru im. Juliusza Słowackiego)

**Teatr Nowy Proxima: Kazik,
ja tylko żartowałem, czyli cztery dekady
życia w podzielonym murem kraju**

Do szarych, ponurych czasów PRL-u cofa nas też spektakl Piotra Siekluckiego *Kazik, ja tylko żartowałem*. Grający w nim główną rolę reżyser śpiewa między innymi piosenkę Kazika Staszewskiego i Kultu z 1988 roku *Mój dom murem podzielony*. Na scenie Teatru Nowego Proxima brzmi ona, jakby powstała przed chwilą, jakby opisywała naszą obecną rzeczywistość, Polskę, w której są „podzielone murem schody / po lewej stronie łazienka / po prawej stronie kuchenka”.

W zasadzie cztery ostatnie dekady z życia w kraju nad Wisłą można świetnie opowiedzieć samymi piosenkami Kultu. Szczególnie, gdy wykonują je pełni energii Piotr Sieklucki i Katarzyna Chlebny. Jednak reżyser przedstawienia nie do końca zaufał Kazikowi i zdecydował się połączyć jego utwory z tekstem Ziemowita Szčerka. Wykorzystując przewrotną frazę znanego pisarza i dziennikarza, główny bohater Staszek, mieniający się kolegą Staszewskiego, opowiada o życiu w PRL-owskim bloku, o próbach zrobienia kariery w zespole rockowym i o tym, co stało się później, gdy nadszedł czas transformacji, kiedy trzeba było handlować kasetami VHS pod Pałacem Kultury i na berlińskim chodniku, a Wałęsa jednak nie dał obiecanych 100 milionów.

Staszek razem z żoną Mariolką postanawia więc zrobić skok na kasę, czego scenicznym efektem jest finałowe wykonanie weselnego *Białego misia*. Łączy się ono z konsekwentnie przeprowadzoną tezą

Szczerka, że dzisiejsza miłość narodu do – jak mówi się w spektaklu – rocka ludowego, ma swoje korzenie w komunistycznej przeszłości, kiedy to zdeologizowany folklor został skutecznie narodowi obrzydzony. Wraz z nadejściem wolności tęsknotę za nim zaczęło zaspokajać disco polo, które wciąż żyje i ma się świetnie choćby w osobie Zenka Martyniuka, królującego na ekranach rządowej telewizji. Bo suwerenowi to się zwyczajnie należy. Kto zna teksty Szčerka, nie będzie tą diagnozą zaskoczony. Jednak publicystyczny charakter jego wywodu nie do końca przekłada się na formę dramatyczną. Ale i tak warto wybrać się do Teatru Nowego Proxima, bo mówią tam o rzeczach ważnych, a zaśpiewana na bis piosenka Kazika *Polska* brzmi z podwójną siłą w kraju murem podzielonym.

**Teatr STU: Ci, co mnie niosą, czyli
Mroźek przypomniany**

Siłą, jaką wciąż ma w sobie opowiadanie Sławomira Mroźka *Ci, co mnie niosą*, przypomniał Teatr STU. Wybór odważny w czasach, w których teksty tego autora zostały zepchnięte na margines i raczej nie pojawiają się na naszych scenach. Reżyser przedstawienia Artur „Baron” Więcek postanowił dać temu odpór i poszukać w tym balansującym na granicy fabularnej abstrakcji opowiadaniu rzeczy, które dotyczą każdego wrażliwego człowieka niezależnie od kontekstu i czasu.

Bo sytuacja, w jakiej znalazł się główny bohater spektaklu (Zbigniew Kaleta), z założenia jest zagadkowa. Jacyś Oni go nieśli, a teraz położyli na ziemi



Piotr Sieklucki w *Kazik, ja tylko żartowałem* / fot. Małgorzata Fatalska (reprodukcja za zgodą Teatru Nowego Proxima)

i zniknęli. To, że był niesiony, nadawało sens jego egzystencji. Stan niesienia wbrew pozorom porywał go do działania, tworzenia. Teraz wylądował na ziemi, w jakimś obcym mu miejscu – obcym w każdym sensie, przede wszystkim jednak kulturowym. Od razu widać, że On nie pasuje do wsi, do której trafił. Jego inność symbolizują choćby kolorowe skarpetki, w których Kaleta maszeruje po scenie. I to, że spotkana nauczycielka (Magdalena Walach), z którą wda się w romans, każe włożyć mu buty, nie zmienia faktu, że cały czas będzie czuł na stopach ich odróżniający go od reszty wzór. One będą przypominały mu o chronicznym nieprzystosowaniu, którego nie jest w stanie ukoić nawet miłość kobiety. Nie da się go udomowić, choć na chwilę rzeczywiście wejdzie w rolę chłopca, co to napić się musi, a i do domu będzie go trzeba przynieść. Jednak dojdzie tu tylko do pozornego stanu niesienia, który nie ukoji dojmującego smutku i tęsknoty za czymś, co bohatera niegdyś niosło.

Zbigniew Kaleta dręczący go niepokój wyraża w sposób najpełniejszy i najbliższy Mroźkowi, gdy dociera do niego, że jego cierpnie można było określić mianem depresji. Ale co to za straszne słowo! Czy Słowacki napisałby zamiast „Smutno mi, Boże” – „Mam depresję, Boże”? Gorzko-śmieszne stwierdzenie, lecz nie wywołało ono wesołości na widowisku. Może dlatego, że w Teatrze STU widok publiczności w maseczkach jest jeszcze bardziej dojmujący niż gdzie indziej.

Dzieje się tak pewnie ze względu na kształt sceny, którą widzowie otaczają, patrząc na siebie nawzajem.

Już nie wbiegamy beztrzesko do teatrów, by rzucić w szatni płaszcz i witać się ze znajomymi. Teraz szczerze zamaskowani i zdezynfekowani podpisujemy oświadczenia, zapewniając, że nie mamy objawów choroby, i nadstawiamy czoło, by zmierzono nam temperaturę. Co tu krzyć, nastrój trochę siada.

Przez to trudno im zapomnieć o sytuacji, w jakiej się znaleźli. A może zdają sobie sprawę, że w nowym, pandemicznym świecie, podobnie jak bohater sztuki, będą jeszcze długo tkwili w stanie zawieszenia.

Na szczęście te pandemiczne lęki wciąż może ukoić teatr. Nie dajmy obrzydliwemu wirusowi zabrać sobie wrażeń, których nie zastąpi żaden spektakl *online*. Idźmy, jak na nałogowców przystało – i jeśli się bezpiecznie da – najeść się smakowitego *Jedzonka*, nie zgodzić się z *Ludwiczką*, wzruszyć i uśmiechnąć się na widok *Kochanej Wisełki*, *Najdroższego Zbyszka*, zaśpiewać z Siekluckim Kazikiem... i dać się ponieść *Tym, co mnie niosą*.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



Zbigniew W. Kaleta w *Ci, co mnie niosą...* / fot.: Piotr Kubica (reprodukcja za zgodą Sceny STU)



Debiut piękny i nostalgiczny

Tekst: Witold Beres Zdjęcie: Wiesław Majka (za życzliwą zgodą autora)

Gdy-wszy-scy-uma-rną, to dom sta-nie się pu-sty – wykrzykuje w tańcu moja czterolet-nia wnuczka Małgosia.

„Uśmiecham się...

Tak, jestem już stary i na tyle mądry, że nie wiem, jak żyć.

Ważne jest światło, wszystkie frakcje rozłożone na paletach pajęczyn, rozbłyśki słońca w rzece, zapach łąki i taniec ważki... to wszystko jest ważne.

Także skrzywienie okna na strychu, malwy w ogródku, stary patefon, chomąto, pachnące skórą siodło po przodkach...

Tyle już wiem, a więc zostanę zbawiony”.

Ta książka zachwyca. Najpierw – szatą graficzną. To, co wydawca i autor (bo wiem o ich wspólnej pracy) z książką zrobili, absolutnie kwalifikuje się do wszelkich nagród edytorskich – i nie byłoby tego bez znakomitych fotografii autorstwa samego Ciećkiewicza (bo i fotograf to utalentowany). Mało tego – książka nie tylko jest po prostu piękna, ale wzięcie jej do ręki oznacza, że już zaczyna żyć innym, swoim życiem. Jakby pulsowała, namawiała: czytaj, ciesz się mną, smakuj!

Więc zanurzasz się w nią w dowolnym miejscu i od razu płyniesz, unosisz się na fali wspomnień, ewokacja pcha cię w krainę mitów dzieciństwa, duchy stają jako żywe, a przeszłość staje się teraźniejszością, realnością. Poetycka proza miesza się tu z wierszem, a reporterski zapis – z nostalgią.

Ciećkiewicz mieszkał (mieszka?) w starym, rodzinnym, wielopokoleniowym domu na Olszy i codziennie miał perspektywę spoglądania w mijające losy rodziny. Stąd historyczne zdjęcia przeplatają się z dowcipnie napisanym obrazem ze śmierci 105-letniego patriarchy rodu, któremu przypinają order od cesarza Franciszka Józefa i od Gomułki. Stąd straszliwe panoptikum lokalnych postaci okrutnych (oprawcy rodzinnego pana Mecha) przekładane jest wzruszającą opowieścią o rowerze.

„Największym walorem tej znakomitej prozopoezji jest jej świeży, jędrny język, oryginalna metaforyka, niezwykła ekspresyjność, a także swoista rytmika i obrazowość. Humor miesza się z nostalgią, dramatyzm z komizmem” – tak wybitny poeta Józef Baran zachwyca się językiem Ciećkiewicza i porównuje ten tekst do tekstów Schulza

Nie wiem, czy akurat Schulz. Wydaje się, że takie porównanie może być zbyt wielkim ciężarem i krępować. Bo Ciećkiewicz jest samoswój, jest osobisty i idzie swoją drogą.

Ten nastrojowy tom to debiut. Bożeż Ty mój – ale jakże niezwykły!

Szczerze zazdroszczę.

Jakub Ciećkiewicz, *Koniec świata na mojej ulicy*, Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2020.



Fot. Andrzej Nowakowski, z albumu *Czas. Rynek w Krakowie*

Edukacja, głupcze!

Rozmawiają Jerzy Hausner i Mateusz Zmyślony Zdjęcia: Łukasz Świerczyzna oraz archiwum OEES/za zgodą organizatorów

O tym, jakie wyzwania czekają nas w nowej, postpandemicznej rzeczywistości, jak zachować równowagę między globalizacją a lokalnością, czym są laboratoria życia i czy obecnie możemy powiedzieć, że mamy do czynienia z wielką osobliwością, rozmawiają ojcowie przedsięwzięcia Open Eyes Economy.

Mateusz Zmyślony: Zaczęliśmy 6 lat temu... Pytanie brzmi, gdzie jesteśmy dziś z naszym Open Eyes Economy?

Jerzy Hausner: Myślę, że ciągle jesteśmy na początku jakiejś drogi, która nie ma ściśle ustalonego przebiegu. Raczej mamy wyznaczone stacje na tej drodze. Każda nasza stacja jest szczytem, bo od początku tak postanowiliśmy nazywać nasze listopadowe wydarzenia – *summit*. Dochodzimy na ten szczyt, rozglądamy się i zastanawiamy się, jaki ma być kolejny.

Ta metafora górską jest bardzo atrakcyjna, ale po wejściu na szczyt trzeba zejść w dolinę. A teraz mam wrażenie, że znikamy w ciemnej, głębokiej dolinie.

Będziemy musieli rozważyć nie tylko to, jaki ma być kolejny szczyt, ale także, czy ta zazwyczaj obierana droga – schodzimy w dolinę i potem wspinamy się ponownie – nie powinna być inna. Formy, które dotychczas rozwinęliśmy poza kongresem, to były głównie seminaria, konferencje – spotkania. Nazwaliśmy je Open Eyes Economy on Tour. To wszystko się sprawdzało – ludzie potrzebowali kontaktu, rozmowy. Potrzebowali się policzyć i poczuć rodzaj wewnętrznej siły. Jest nas niemało, możemy dzisiaj wspólnie skoncentrować się na dwóch innych działaniach. Po pierwsze, na poszukiwaniu rozwiązań, a po drugie – na ich wdrażaniu. Będziemy poszukiwali kontaktu z ludźmi, którzy chcą działać, a nie tylko mówić o działaniu. Niedawno miałem rozmowę z Grzegorzem Chłopiczkiem, który stara się znaleźć pomysły na Beskid Niski, subregion mieszczący się na terenie dwóch województw. Nie można go całkowicie wydzielić jako rezerwatu, mieszkają tam ludzie i należy wziąć pod uwagę ich potrzeby. Ich działalność musi być jednak ograniczona, ponieważ to płuco potrzebne jest tym dwóm województwom i całej Polsce. Potrzebne także w skali globalnej, bo musimy takie ekosystemy chronić. Zastanówmy się, jakie rodzaje działalności będą w tym pomocne.

Zauważyłem, że w twoich wypowiedziach pojawia się często sformułowanie „rewolucja przemysłowa 4.0”. Ja z kolei promuję tezę, że mamy teraz do czynienia z wielką osobliwością – *singularity*. Uważam, że to jest zupełnie nowe zjawisko, zestaw zda-

zeń związany z rewolucją cyfrową podrasowany przez pandemię, która pokazała wiele nowych zjawisk i otworzyła oczy na nowe aspekty rzeczywistości.

Posługuję się pojęciem rewolucji 4.0 nie dlatego, że jestem jego współautorem, tylko dlatego, że wielu ludzi zastanawia się nad nim w kontekście obecnej zmiany technologicznej. Rewolucja przemysłowa 4.0 oznacza, że to jest czwarta rewolucja i można ją opisywać jako kolejny wielki skok technologiczny. Takie technologiczne przełomy posuwały działalność wytwórczą do przodu. Teraz to wiąże się z zastosowaniem takich rozwiązań jak sztuczna inteligencja, robotyka – to elementy zmieniające relację między człowiekiem a maszyną. Trudno bagatelizować tę dyskusję, bo ona jest powszechna i nas dotyczy. Nie zaprzeczam pojawieniu się zmiany technologicznej, a w konsekwencji społecznej, natomiast tak jak w przypadku rewolucji przemysłowych 1., 2. i 3. pojawia się problem, na czym polega różnica między tymi przełomami? Nie tylko na tym, że mamy teraz intensywniejszą komunikację. Także na tym, że żyjemy w świecie, który się zglobalizował. Kontynenty nie są już odrębnymi światami połączonymi pomostem. Teraz cokolwiek dzieje się w jakiejś części świata, będzie miało szybko wpływ na zdarzenia na całej planecie. Nie występuje przy tym opóźnienie, a więc nie ma czasu na adaptację. Dawniej opóźnienie pozwalało zapanować nad różnymi zjawiskami. My tego czasu na przestawienie nie mamy.

Osobliwością jest też to, że w jednym czasie nakłada się na siebie tyle rodzajów zagrożeń. Ludzkość może sobie nie poradzić z takim spiętrzeniem problemów. Dużo mówi się o tych związanych z klimatem, ale nie zapominajmy też o nowych rodzajach broni czy migracjach. Tych zagrożeń jest bardzo wiele i one się wzajemnie wzmacniają.

Jak na to wszystko reagować? Jeden z narzucających się sposobów myślenia to stworzenie globalnej władzy, by próbowała nad tym zapanować. To jednak niebezpieczne urojeństwo. Jeśli miałyby istnieć onnipotentne władze, możemy obawiać się, czy nie powstanie jakiś układ bipolarny. Z jednej strony będzie do wyboru American Way Of Life, z drugiej Chinese Way Of Life. Ale to będzie wybór



Jerzy Hausner – profesor nauk ekonomicznych, w latach 2001–2005 poseł na Sejm oraz minister w rządach Leszka Millera i Marka Belki, a także wiceprezes Rady Ministrów i członek Rady Polityki Pieniężnej w kadencji 2010–2016, tworzył plan naprawy finansów publicznych (tzw. plan Hausnera), który w większości nie doczekał się realizacji. Autor wielu publikacji i laureat cenionych ważnych wyróżnień.



Mateusz Zmyślony – ekspert komunikacji społecznej i marketingu, założyciel Grupy społecznej i marketingu ESKADRA, jednej z czołowych na polskim rynku, niezależnych firm zajmujących się reklamą. Pionier marketingu miejsc w Polsce, autor kilkudziesięciu strategii marek, miast i regionów oraz projektów z zakresu marketingu wielkich wydarzeń (m.in. UEFA EURO 2012, EXPO 2022). Laureat ponad 20 profesjonalnych nagród w konkursach krajowych i międzynarodowych, w tym trzech światowych Globe Awards. Wspólnie z prof. Jerzym Hausnerem współautor koncepcji Open Eyes Economy i współorganizator corocznego Open Eyes Economy Summit w krakowskim ICE.

między dżumą a cholera. Czy nad czymś takim można zyskać kontrolę?

To mnie przekonuje, bo osobliwości (*singularity*) definiowałem z perspektywy pewnych zdarzeń. Składnikiem osobliwości jest globalizacja sama w sobie. Pierwszy raz odczuliśmy to w pełni. I rzeczywiście, jeżeli określimy, że problem stanowi globalizacja nieodseparowana od innych elementów wielkiej zmiany, to nie sposób go rozwiązać bez pomocy jakiejś władzy.

To jest jedna możliwość. Druga jest taka, żeby zostawić to spontanicznym siłom – wrócić do naszej odrębności, przywrócić świat sprzed globalizacji.

Utopia!

To jest urojenie nierealizowalne. Pytanie brzmi: w jaki sposób możemy, nieprzekreślając globalizacji, budować w systemie globalnym względnie niezależne moduły? Od-

wołując się do naszej terminologii – co zrobić, żeby były wyspy, żeby tworzyły archipelagi, ale by ich przetrwanie nie zależało od przynależności do jednego wielkiego kontynentu czy układu globalnego.

A nie jest tak, że tą wszechwładzą albo zaczątkiem archipelagu porządkującego cały globus mogą okazać się korporacje?

Nie wierzę w to, bo korporacje mają to do siebie, że się pożerają. Stają się potężne, ale przestają być twórcze. Nie pomogą nam w znajdowaniu rozwiązań, a my musimy szukać dziesiątków różnych sposobów dopasowanych do specyfiki miejsca i kultury. Dla mnie podstawą jest poszukiwanie spirali rozwojowych w najbliższym otoczeniu, na przykład regionalnej suwerenności żywnościowej. Jeżeli myślimy o żywności w kategoriach globalnych, to zmierzamy w kierunku uprzedmiotawiania, scentralizowanej redystrybucji,

ujednociania standardów itd. To wszystko są ścieżki prowadzące ku przepaści. Ważne jest myślenie o tym, jak upodmiotowić wspólnotę lokalną w zakresie podstawowych potrzeb: energetycznych, technologicznych i żywnościowych. Ich zaspokajanie nie musi być skomercjalizowane i poddane rynkowemu regułom, choć nie wyklucza to obecności na rynku. To wszystko wymaga ponownej refleksji. I nie chodzi tylko o wymyślanie jakiejś nowej spółdzielczości, aczkolwiek nie odżegnuję się od organicznej spółdzielczości. Powinniśmy starać się, by wspólnoty lokalne miały różne narzędzia

chów dostaw, zwłaszcza produktów strategicznych, ich uniezależnienie od zagranicy. Odwróciłbym to rozumowanie. Nie zacząłbym od tego, jak unarodowić globalizację i sieci. Zastanowiłbym się raczej, jak umocować tę podstawową formę naszej organizacji życia zbiorowego jaką jest lokalność. A dopiero po tej refleksji rozpocząłbym myślenie, co wspólnota ma do zaoferowania innym i co powinna dostarczać jej władza zwierzchnia. **Słuchając tego, zrozumiałem, że istnieje jeden gracz, który ma starożytny wręcz monopol na dowodzenie społecznością lokal-**



Dzięki pandemii dostrzeżliśmy, że straciliśmy kontrolę nad globalizacją w wielu dziedzinach. (Mateusz Zmyślony)

dzia. Jednym narzędziem jest gmina, innym jest szkoła, która może być wykorzystana. **Ta suwerenność lokalna wiąże się z częścią deglobalizacją.** Między innymi wskutek pandemii dostrzeżliśmy, że straciliśmy kontrolę nad globalizacją w wielu dziedzinach. Nie wiem, czy pamiętasz naszą ostatnią dyskusję na żywo w Łodzi przed pandemią. Przewidywałem wtedy, że jedną z pierwszych reakcji dużych graczy, zwłaszcza rządów, będzie próba nacjonalizacji jak największej liczby gałęzi przemysłu i skrócenia łańcu-

na. Ludzie w polskich realiach spotykają się głównie w kościele.

Nie neguję, że Kościół mógłby taką rolę odegrać. Pod jednym warunkiem – że parafia nie byłaby miejscem, gdzie chodziłoby tylko o dyscyplinowanie religijności, ale także o kształtowanie więzi społecznych. Natomiast do tego celu nie musi służyć parafia i faktycznie temu nie służy.

Musimy sobie zadać pytanie, kto może społeczność lokalną organizować, tak by działała skutecznie, i dać jej szansę spotkania się. Współcześnie taki system można stworzyć wokół szkoły czy domu kultury, choć do tego drugiego nie każdy przyjdzie.

Zależy, co ten dom będzie oferował. Pamiętam miesiące spędzone na stypendium w tak zwanej Wielkiej Kopenhadze, która jest po-

dzielona na osobne gminy, świetnie skomunikowane. To wzorzec komunikacji publicznej. Każda z tych gmin jest małym światem dla siebie. Ich mieszkańcy nie muszą jechać daleko, żeby załatwić życiowo ważne dla nich sprawy. W Danii zawsze imponowało mi, prawdopodobnie podobnie jest we wszystkich krajach skandynawskich, że w gminie jest centrum sportowe, ale nie jest to obiekt tylko dla członków klubu sportowego, lecz miejsce, gdzie całe rodziny mogą zaspokajać swoje potrzeby rekreacyjne i społeczne. **Wpadnę Ci w słowo i zilustruję to jeszcze inaczej. Piszę tekst o edukacji, o szkole jako**

koleniowa. Może być na to miejsce w szkole, klubie sportowym czy domu kultury. Ponadto istnieją tradycyjne urządzenia takie jak sołectwo. Dzisiaj jest to zebranie wiejskie, które animuje tak naprawdę gmina, gdy chce o coś zapytać mieszkańców. Ale kiedyś sołectwo było czymś więcej, było pewną formą zorganizowania wspólnoty. Te wszystkie urządzenia, zarówno tradycyjne, jak i nowoczesne można połączyć, by z myślenia o rynku i skali przestawić się na myślenie o poprawie jakości życia. To jest fundament. Spójrzmy teraz na inną tendencję, z którą Europa boryka się od dawna. 40 proc. miast



budynku, o architekturze i wnętrzu. Trafiłem na fantastyczny koncept z Finlandii. Zbudowali tam szkołę z założeniem, że ma to być multifunkcyjny obiekt dla całej społeczności lokalnej. Po lekcjach szkoła się nie zamyka, złazi się do niej wtedy całe miasto i odbywają się w niej wszelkiej maści spotkania, zajęcia, joga, wymiany książek, ubrań, dyskusje, narady. W budynku życie kipi także w weekend na rozmaitych wspólnotowych kiermaszach. Przychodzą na nie prawie wszyscy mieszkańcy.

To dobry przykład. Szkoła, której podstawową funkcją jest edukacja dzieci i młodzieży, może być jednocześnie urządzeniem wspólnotowym łączącym pokolenia. W funkcjonowanie opisywanej przez Ciebie instytucji wdrukowana została solidarność międzypo-

Teraz cokolwiek dzieje się w jakiejś części świata, będzie miało szybko wpływ na zdarzenia na całej planecie. Nie występuje przy tym opóźnienie, a więc nie ma czasu na adaptację. (Jerzy Hausner)

w Europie się kurczy. W Polsce depopulacja miast także jest faktem. Czy mamy wierzyć w to, że w odpowiedzi na ten stan rzeczy zcentralizowana władza odpowiednio zorganizuje nam państwo, połączy lub podzieli gminy? A co z tkanką społeczną i mieszkańcami? Jaki proces powinny przechodzić? Spirale upadku, zastoju, regresu i kurczenia się

trzeba przekształcić w spiralę rozwoju. Czy to się uda? To zależy od tego, czy rozpoznamy dotychczas lekceważone, marginalizowane, niewykorzystywane zasoby, którymi dysponują społeczności.

Open Eyes Economy powinno właśnie na tym się teraz skupiać. Pokazywać ludziom, że mogą poradzić sobie ze swoimi problemami, że zgodnie z zasadą pomocniczości mają prawo domagać się od władzy warunków do działania. Z jednej strony konieczne jest respektowanie ich suwerenności, a z drugiej wspomaganie ich zdolności do działania, choć społeczeństwo musi polegać przede wszystkim na tym, co samo potrafi.

Wydaje się, że wyłaniają się dwa wnioski. W wymiarze międzynarodowym powinniśmy zaplanować częściową deglobalizację, a w wymiarze lokalnym dążyć do wzrostu znaczenia małych społeczności.

A w nawiązaniu do kurczących się miast mam kolejny przykład z Finlandii. W jednej z gmin znacznie malała populacja, receptą na to również okazała się szkoła. W tej chwili w tej gminie 60 proc. mieszkańców to imigranci, osiedlili się w niej na zaproszenie władz. Zafascynowała mnie otwartość w rozwiązywaniu nowych problemów. W szkole (podstawowej), do której uczęszczać miały także dzieci imigrantów, pierwszym językiem wykładowym ma być fiński. Większość uczniów w ogóle go nie znała albo dopiero zaczynała się go uczyć. Wzięto to pod uwagę przy projektowaniu budynku. Jedno skrzydło było przeznaczone dla tych, którzy mówią po fińsku od urodzenia, drugie dla osób mówiących w innych językach. Przestrzeń łącząca obie części została pomysłana tak, by sprzyjać integracji. I choć dzieci mówiły w aż 32 językach, to miały prawo wybrać jako pierwszy swój język ojczysty, jako drugi obowiązkowy fiński, a oprócz tego program zakładał naukę trzeciego języka. Rozmach przedsięwzięcia jest godny podziwu, bo ta obietnica została zrealizowana, ściągnięto po prostu nauczycieli z 32 krajów świata. Co to w praktyce oznacza? Że trzeci język do nauki w szkole podstawowej można wybrać z listy liczącej 34 pozycji. Dla mnie to niesamowite, że wszystko to wynika z pomysłu na to, co zrobić, żeby gmina się nie kurczyła. Odpowiedzią na trendy demograficzne w krajach bogatszych są migracje. Zawsze byłem zdania, że to pozytywne zjawisko, pod warunkiem że poprawnie przeprowadzi się procesy integracyjne.

Czym jest taka szkoła i rozwiązania w niej zastosowane? Nazwałbym ją żywym laboratorium życia. Lokalna społeczność rozwiązuje w nim swój życiowy problem, wybrała konkretny sposób postępowania. A kim jesteś ty, kiedy to opisujesz? Jesteś obserwatorem laboratorium życia. Nie działasz za tych ludzi. Opisujesz to, co zrobili, i starasz się przekazać ich doświadczenie, przybliżasz je innym. Sta-

rasz się także objaśnić logikę poszukiwania rozwiązania. Mieszkańcy tej gminy są uczestnikami, ty jesteś obserwatorem.

A czym ma być Open Eyes Economy? Ma łączyć uczestników i obserwatorów. Musimy być poszukiwaczami laboratoriów życia, łączyć innych obserwatorów z uczestnikami, żeby doświadczenie nie było transferowane mechanicznie z jednego punktu do innego, ale pomagało zrozumieć, że możesz być samodzielny.

W Finlandii znalazłem jeszcze inne inspiracje możliwe do przełożenia na polskie realia. Ten przykład wiąże się z naszą starą dyskusją o kapitałach miękkich i długofalowej przewadze konkurencyjnej kogoś o bardzo rozległym know-how. Oto jedna ze szkół wpadła na genialny pomysł – oprócz zwykłego nauczania przez nauczycieli realizowany jest w niej proces nazywany treningiem. Uczestniczą w nim dzieci od 7. roku życia, jest to trening „na nauczycieli”. U podstaw tego leży założenie, że duża liczba absolwentów tej szkoły będzie chciała, gdy dorośnie, zostać nauczycielami. Dlatego szkolenie na nauczycieli rozpoczyna się od 7. roku życia. Taki fiński nauczyciel będzie po prostu niepokonany, najlepszy.

W ramach Fundacji GAP opublikowaliśmy raport *Poza horyzont: kurs na edukację. Przyszłość systemu kształtowania kompetencji w Polsce*. Poruszamy w nim wiele zagadnień związanych z wspomnianymi przez ciebie przykładami. Operujemy oczywiście na poziomie ogólnym, ale co do zasady podział na tych, którzy przekazują wiedzę, i tych, którzy ją przyjmują, jest błędem. Szkoła zorganizowana wyłącznie transmisyjnie odczuwa samodzielności, a uczy podległości.

Open Eyes Economy musi też generować wiedzę ogólną i poszerzać ramy myślowe, które sami zaproponowaliśmy. Z drugiej strony, zmierzamy do odszukiwania obserwatoriów i laboratoriów życia.

Fantastyczne jest to, że spontanicznie doszliśmy do cudownego hasła „Edukacja, głupcze”. Skoro kończymy na oświacie, to wskazujemy to, co rzeczywiście może być najbardziej istotne po pandemii i wielkiej osobliwości oraz co należy obserwować i zmieniać na lepsze. *Resumé* to trzy spostrzeżenia: czeka nas częściowa deglobalizacja, rosnąca niezależność lokalnej społeczności, samorządu i najmniejszych komórek społeczeństwa obywatelskiego oraz położenie nacisku na edukację. Kto to robi, ten odnajdzie się w przyszłości.



Fot. Andrzej Nowakowski, z albumu *Czas. Rynek w Krakowie*



Gdy kościół Mariacki spiera się z Wieżą Ratuszową

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Album fotograficzny *Czas. Rynek w Krakowie* to prywatna opowieść Andrzeja Nowakowskiego o średniowiecznej przestrzeni, która została dana czasowi.

Wykładowca historii literatury na Uniwersytecie Jagiellońskim, który dostrzega źdźbło trawy wyrastające z omszałych murów krakowskiej kamienicy. Niedzisiejszy prezes Polskiej Izby Książki klęczący nad żeliwnymi kratami kanalizacyjnymi, po których chodzimy, nie zauważając wyrytych na nich herbów miasta. Pierwszy dyrektor Instytutu Książki, który nie może oprzeć się naciśnięciu migawki aparatu fotograficznego, gdy widzi idącą koło Głowy Mitoraja zjawiskową kobietę. Szef wydawnictwa Universitas sterujący dronem, dzięki któremu może robić zdjęcia pokazujące, jak kościół Mariacki spiera się z Wieżą Ratuszową, a obydwie budowle stają się metaforą tego, co boskie i cesarskie. Efektem takich fascynacji Andrzeja Nowakowskiego jest album *Czas. Rynek w Krakowie*.

– Ja w zasadzie nie lubię fotografować – słyszę na początku rozmowy, co wydaje się dziwne, kiedy patrzy się na stos albumów autorstwa fotografa. – Bardziej interesuje mnie malowanie fotografią, wyciąganie istoty zdjęcia, późniejsza jego obróbka. Obiektyw jest dla mnie tylko narzędziem, jak pędzel dla malarza. Najważniejsze jest wydobycie z fotografii atmosfery, nastroju... Z wykształcenia jestem „młodopolaninem”, więc wszystko co jest tajemniczą mgłą, zakłóceniem konturu, rozmyciem, uznaję za bliskie.

Dlatego w albumie nie brakuje melancholijnych kadrów, którym sprzyjał czas pandemii. Fotograf dzięki niej miał szansę spojrzeć na zupełnie pustą, pozbawioną ludzi płytę Rynku. – Wtedy zrozumiałem, że przestrzeń tego miejsca dana jest czasowi. To, jak będzie wyglądał mój album, odkryłem dopiero, kiedy uświadomiłem sobie, że *genius loci* tkwi tu w niezmiennej od stuleci przestrzeni.

Perspektywa, jaką odsłania Rynek, zachwycała Nowakowskiego, kiedy pierwszy raz stanął u wylotu ul. Szewskiej, przyjechawszy do Krakowa z Mielca ze szkolną wycieczką. Nie wiedział wtedy jeszcze, że będzie to jego miasto, które w przyszłości uwieczni na swoich wymakowanych zdjęciach. Choć fotografowanie miał we krwi. Jego dziadek prowadził w Wejherowie zakład Foto Matejko. Przed śmiercią przekazał wnukowi swój sprzęt, który on zabrał ze sobą na studia polonistyczne do Krakowa. Kiedy się przeprowadzał z akademika do domu asystenta, ktoś połakomił się na profesjonalne aparaty. – Po tej kradzieży postanowiłem, że nigdy nie będę robił zdjęć – wspomina.

Postanowienie złamał, gdy pojawiła się fotografia cyfrowa. No i przyszedł do niego wymarzony temat, w osobie Sławomira Mrożka. – Oczywiście, że to nie on do mnie przyszedł. Musiałem się namęczyć, żeby

namówić go do pozowania. Ilekroć do niego dzwoniłem, ugiwały się przede mną ze strachu nogi. Kiedyś zapytałem go przez telefon, czy możemy umówić się o 4.30 rano na Błoniach, bo wtedy jest najlepsze światło. Po chwili usłyszałem w słuchawce: „Proszę poczekać, sprawdzę w kalendarzu”. Trwało to dość długo, a ja czekałem z sercem na ramieniu. W końcu usłyszałem ponury głos: „Mam chwilowo wolny termin” – śmieje się fotograf, któremu udało się uchwycić sylwetkę pisarza oddalającą się od obiektywu i znikającą we mgle rozciągającej się wokół Błoni.

Mrożek nie był łatwym modelem. Wydobycie prawdy o nim wymagało ekwilibrystyki. – Po wydaniu albumu z jego zdjęciami, zrezygnowałem na jakiś czas z robienia portretów, gdyż wymaga to przekroczenia granicy intymności, którą nie wszyscy chcą przekraczać – twierdzi Andrzej Nowakowski. Dlatego kolejny album ułożył ze zdjęć cmentarza żydowskiego przy ul. Miodowej. Tu nikogo nie musiał namawiać do pozowania. Wystarczyła przejmująca cisza grobów, w których są pochowani ludzie tworzący dużą część historii Europy.

Historii światowej sztuki dotknął, gdy postanowił sfotografować ołtarz Wita Stwosza. – To był problem, bo musiałem robić to z dźwigu, a mam lęk wysokości. Kiedy jednak znalazłem się na górze, zapomniałem o strachu. Zobaczyłem coś niewiarygodnego. Ołtarz z każdej strony jest inny, absolutnie dopełniony kompozycyjnie. No i te patrzące na mnie z bliska postaci. Choć tego z dołu nie widać, wszystkie mają zęza. A palce Matki Boskiej Zasypiającej, które z oddali wyglądają normalnie, są wielkości ręki – zdradza fotograf, który w przyszłości ma zamiar pokazać wszystkie detale ukryte w innym wyjątkowym dziele sztuki, jakim jest *Melancholia* Jacka Malczewskiego.

Andrzej Nowakowski jest autorem wielu albumów fotograficznych, między innymi *Gołębnik. Polonistyka. Uniwersytet Jagielloński, Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego. Sfery i cienie, Skarb. Kopalnia soli „Wieliczka”, Poza horyzontem zdarzeń. Auschwitz, Sąd. Sąd ostateczny Hansa Memlinga*.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Odpowiada Andrzej Nowakowski

Kraków ma sens, bo...?

Bo czasami jest to zaczarowane miasto. Niestety, zbyt rzadko...

Gdyby miał Pan wybrać jedno miejsce w Krakowie, do którego chciałby Pan zabrać ukochaną osobę, byłby to...?

Środek Błoni o poranku i... we mgle.

Czy Kraków wciąż Pana czymś zaskakuje?

O tak! Tym, że turystycznie dziczeje w paskudny sposób.

A czego Pan w nim nie lubi?

Brodu.

Czy jest jakaś cecha, którą krakowianie różnią się od mieszkańców innych miast?

Nie! Krakowianie są tacy sami jak wszyscy inni.

Gdyby mógł Pan zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?

Brakuje mi cierpliwości i to mi dokucza.

Jak określiłby Pan obecny stan swojego umysłu?

To trudne... Przemijam. Mam dojmującą tego świadomość.

Jaki jest Pana ulubiony malarz?

Giorgio de Chirico.

Jaki jest Pana ulubiony kompozytor?

Igor Strawiński.

Jaki jest Pana ulubiony pisarz?

Jest ich zbyt wielu, żebym wyróżnił tego jednego. Ale... Bolesław Leśmian nade wszystko!

Jaki dźwięk Pan kocha?

Dźwięk trąbki w bezbrzeżnej ciszy.

Jakiego dźwięku Pan nienawidzi?

Trzasku zgniatanych plastikowych butelek.

Kim (lub czym) chciałbym Pan być, gdyby nie był tym, kim jest?

Wyobraźnia nic mi nie podpowiada w tym względzie.

W jakich czasach historycznych chciałby Pan żyć?

Nie wiem. Każdy czas ma swoje „plusy dodatnie i plusy ujemne”.

Jaką postać historyczną chciałby Pan poznać?

Arystotelesa!!!

Co by Pan powiedział tej postaci o naszych czasach?

Zadałbym tylko jedno pytanie, którego nie wyjawię...



Tematy polsko-węgierskie

Tekst: Witold Bereś Ilustracja: Węgierskie klejnoty koronne – licencja Wikimedia Commons

„W czasie zamieszek w 2006 roku Ágnes pachniała Black Cashmere Donny Karan. To kamień filozoficzny zapachu – powiedziała, gdy wwąchiwałem się w jej korzenno-kaszmirową szyję i uświadamiałem sobie, że od kiedy pamiętam czy też od kiedy zacząłem ją wąchać, zwracać uwagę na zapach jej ciała, nie ten naturalny, ale ten stworzony przez żele pod prysznic, dezodoranty, pudry i perfumy, zawsze pachniała zmysłowo, pociągająco, sensualnie i seksualnie, ale jednocześnie jakby ponad swój wiek. (...) Gdy teraz myślę o tych zapachach, to zdaje mi się, że zawsze wybierała perfumy o woniach wieczornych, jesiennych, nieco mrocznych. Ale szybko się jej Black Cashmere znudził, rozwiął się jak gaz łzawiący na budapeszteńskich ulicach, przegoniony przez jesienny wiatr”.

Sonnenberg, ostatnia powieść Krzysztofa Vargi, odnosi się do Węgier, ale i się do nich nie odnosi. Jak wiadomo Varga (rocznik 1968) ma papiery na pisanie o tematach węgierskich – syn Polki i Węgra, a i pisarz doskonały. Wśród wielu jego tytułów ocierających się o największe nagrody literackie (i zdobywających je czasami), jest też trylogia eseistyczna, którą kocham nadzwyczaj: *Gulasz z turula* (2009), *Czardasz z mangalicą* (2014) i *Langosz w jurcie* (2016).

Turul to nazwa mitycznego ptaka, który miał przeprowadzić Madziarów na Węgry – dziś jest symbolem dla węgierskiej prawicy. Mangalica to rasa węgierskiej świni hodowana od XIX wieku w różnych odmianach. Miejska legenda prawi, jakoby jej mięso nie zawierało cholesterolu. Langosz to sprawa najprostsza – płaski, drożdżowy placek.

W mych żyłach i węgierska krew – acz rozcieńczona – płynie (por. nazwisko), więc Węgry równie kocham, co nienawidzę. I widzę, że ten pozornie kuchenny przewodnik jest w gruncie rzeczy przewodnikiem po mrocznej duszy środkowoeuropejskiej, pełnej kompleksów, smutków i fobii. Że węgierskich? Ale czy nie odnajdujemy w polskich zachowaniach

tych samych kompleksów? Tak jak byśmy pisali o szaszłyku z orła bielika, pieczeni z podhalańskiego psa i oscypku w funkcji wibratora. Varga: „Tylko serbskie umiłowanie kłęski jest większe niż węgierskie, a węgierskie większe niż polskie, a polskie jest ogromne” (*Czardasz z mangalicą*).

Ta powieść jest gatunkowo innym porządkiem, ale jednak doskonałym zwieńczeniem wspomnianej trylogii. Rzecz to niełatwa, bo wymaga skupienia – ale to skupienie oddaje. Jest rozpięta między Wielkim Miastem Środkowej Europy, seksem, smutkiem i nostalgia, a ambicjami młodej generacji typowej dla tej części kontynentu. Z jej obsesyjną niechęcią do sąsiadów, naiwnością w kontaktach z kobietami i twórczą impotencją. Całość ma w sobie wyraźne odniesienia do *Czarodziejskiej Góry* – i to nie tylko przez długie monologi wewnętrzne i filozoficzne rozmowy, ale przede wszystkim – przez kompletny, beznadziejny brak perspektyw tego pokolenia.

Taka opowieść o pokoleniu „ostatnich intelektualistów” XXI wieku.

Krzysztof Varga, *Sonnenberg*, Czarne, Wołowiec 2018.

Z Kazimierza do Brazylii i z powrotem

Wysłuchała Katarzyna T. Nowak Zdjęcie: Ana Cristina Panek (z archiwum bohaterki/za wiedzą i zgodą)

Anita Dolly Panek w 1939 roku wyjechała z Krakowa z rodzicami na wakacje na francuską Rivierę. Powróciła do Krakowa 77 lat później jako biochemiczka i pionierka nauki w Brazylii. Niczego nie żałuje. Oto jej opowieść.

W latach 30. ubiegłego stulecia mała Anita wybrała się z rodzicami, Walerią i Emilem Haubenstock, na francuską Rivierę. Mieli wracać 1 września 1939 roku przez Warszawę, co miało być prezentem urodzinowym dla Anity. Nie wrócili.

Wspomina:

– Wzięliśmy tylko to, co zabiera się na wakacje: letnie ubrania, kostiumy kąpielowe... Wszystko – pieniądze, biżuteria, samochód, nieruchomości, mój ukochany piesek – zostało w Krakowie. Pojechaliśmy przez Niemcy, więc ojciec ostrzegał, byśmy jako Żydzi nie zwracali na siebie uwagi. Czyli żadnej biżuterii. Panował antysemityzm. Mój ojciec zadzwonił do swojej teściowej, która powiedziała, że ta wojna to przejściowa sprawa i trzeba poczekać. Czekaliśmy we Francji jedenaście miesięcy. Staraliśmy się przeżyć. Ja mieszkając w dużym domu, ze znajomą rodziną z Katowic, nauczyłam się robić na drutach, co mi się całe życie przydawało. Rodzina ta była bardzo duża. Mieszkało nas czternaście osób. Nasza trójka plus jedenaście osób Kriegerów z Katowic. Wyjechali potem na Haiti. Ojciec w Paryżu zarabiał, bo mówił po francusku i angielsku. Pomagał Polakom, którzy nie znali języków, załatwiał dokumenty. Ja uczyłam się francuskiego. Chodziłam do szkoły. No i czekaliśmy. Początkowo mieliśmy kontakt z rodziną. Bardzo tęskniliśmy za Polską. Moja matka strasznie nie chciała wyjeżdżać z Europy. Miałam dziewięć lat...

Kiedy do Francji weszli Niemcy uciekliśmy nocą pieszo przez granicę do Hiszpanii. Pamiętam tylko, że razem z nami uciekała kobieta z pieskiem w koszyku. Celnik zapytał, co jest w woreczku obok pieska i pani odparła: mielona kawa. „No dobrze, ale pies nie je kawy”, odparł celnik. Na co ona od-

powiedziała: „Niech je, niech nie je...” i on ją przepuścił. A w woreczku w kawie miała brylanty. My przeszliśmy bez problemów.

Rodzice mieli tylko bransoletkę i zegarek, które natychmiast sprzedali. Było nam ciężko. Utrzymywaliśmy się z zarobków ojca. Miesiąc tam spędziliśmy. Wynajmowaliśmy pokój. Dość duży z wanną. Mama ubierała mnie w ładną sukienkę i chodziłam z ojcem po konsulatach w poszukiwaniu wizy. Dla Żydów były wtedy dwie opcje: Haiti albo Brazylia. Wybraliśmy Brazylię.

Dostaliśmy wizę, ale nie mieliśmy na bilety. Helena Rubinstein była daleką kuzynką mojej matki. W 1940 roku była już milionerką. Wyjechała z ulicy Szerokiej w Krakowie do Australii w XIX wieku i tam, zaskoczona wysuszoną skórą kobiet, stworzyła krem, na którym zrobiła majątek. Miała salony w Europie i w Melbourne. Miała siedem siostr, każdej pomagała. Pożyczyła nam 250 dolarów. W tamtych czasach było to dużo. Starczyło na podróż drugą klasą.

W Brazylii zamieszkaliśmy w pensjonacie razem z innymi uciekinierami. Jeden pokój z łazienką na korytarzu. W pokoju łożko i kanapa. Ja spałam na kanapie. Łazienka była wspólna, na korytarzu. Na dół do jadalni schodziło się na śniadanie. Po dwóch tygodniach zachorowałam na malarię i cierpiałam przez sześć miesięcy. Tak się trzęsłam z gorączki, że mój ojciec siadał na tej kanapie, żeby się nie trzęsła razem ze mną.

Ojciec był prawnikiem, ale nie mógł pracować w zawodzie, bo nie miał czasu nistryfikować egzaminów. Nie stać go było na kapelusz w upały. Zamiast kapelusza nosił tekturową teczkę nad głową. Mama sprzedawała po domach produkty Rubinstein. Raz wróciła zapłakana, bo dali jej na-



piwek, żeby się odczepiła. Potem robiła masażę twarzy w salonie kosmetycznym.

W końcu ojciec zaczął pracować jako wewnętrzny adwokat firmy trzech brylanciarzy z Antwerpii. W końcu został dyrektorem dużej firmy. Przenieśliśmy się do małego, dwupokojowego mieszkania.

Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w pensjonacie, zaczęłam chodzić do tamtejszej szkoły. Była dość blisko, mieściła się w przedszkolu.

Anita Dolly Panek: W Krakowie mieszka też mój wnuk. Ma 29 lat. Jest Brazylijczykiem, ale dziesięć lat temu nagle postanowił, że chce studiować historię na tym samym uniwersytecie co pradziadek. Po polsku mówił tylko „dzień dobry”, więc starałam się wybić mu to z głowy, ale się uparł na Kraków.

Pamiętam, że musiałam się zmieścić w bardzo małych krzeselkach. Uczyłam się portugalskiego, w czym pomagała mi znajomość francuskiego. Zresztą mam łatwość uczenia się języków. Miło wspominałam zwłaszcza drugą brazylijską szkołę – chodziłam do niej dziewięć lat. Byłam zakochana w profesorze matematyki, dlatego dobrze się jej uczyłam. Dzieciństwo w Brazylii było smutne, bo samotne: nie miałam koleżanek, rodzice pracowali. Nie miałam rodziny, kuzynów, nikogo.

*

Różnili się od innych brazylijskich rodzin.

– Byliśmy Europejczykami. Zawsze czułam się Europejką. W latach 40. i 50. ubiegłego wieku w Brazylii nie było wielu ludzi, którzy znali kulturę europejską. Czytałam klasyków. Ojciec był melomanem. Słuchaliśmy dużo muzyki, zwłaszcza barokowej.

Matka dużo czytała, nic nie gotowała. Do tego małego mieszkania rodzice zatrudnili służącą. Maria była z nami trzydzieści lat. Ojciec chciał, bym była samodzielna, więc pokazywał mi kierunki, a wszystko musiałam zrobić sama. Jak czytał ciekawy artykuł w „New Yorkerze”, mówił: na stronie tej i tej jest ciekawy artykuł. Nigdy nie mówił o czym. Miałam sama to sprawdzić.

Słuchało się bardzo dużo muzyki. Ojciec kochał von Karajana. Wprowadził też w moje życie Edith Piaf, The Beatles i Charles'a Aznavoura. Robił dobre drinki z wódki i wiśniówki, a mama czasami piła whisky – zawsze bez lodu, by nie psuć smaku. Nastrój w domu był przyjemny, choć nigdy nie było dużo gości.

*

W 1952 roku Anita Dolly poślubiła Józefa Panka. Przyjechał w 1948 roku z Polski do Brazylii jako uciekinier. Walczył w powstaniu warszawskim. Jego nazwisko jest na murze w muzeum powstania.

– Ciotka wynajmowała pokoje w swoim mieszkaniu i on wynajął taki pokój. Ona mi go przedstawiła. W Brazylii mieszkał do 1985 roku. Potem wrócił do Warszawy. Nasze relacje początkowo były bardzo dobre, ale potem tak się pogorszyły, że wzięliśmy rozwód. Nasza córka miała wtedy dziewięć miesięcy.

Jak zostałam biochemiczką? Trzeba było po szkole wybrać jakiś zawód. Wiedziałam, że musi być międzynarodowy, żeby nie mieć takich problemów, jakie miał ojciec. Nauczyłam się wtedy angielskiego, by – gdyby zaszła taka potrzeba – móc być sekretarką. Ale od dawna fascynował mnie ludzki organizm. Chciałam wiedzieć, jak funkcjonuje. Co to znaczy „metabolizm” itd. Lecz w Brazylii nie było takich studiów. Zdecydowałam się więc na chemię, choć jej nie lubiłam. Na III roku trafiłam wreszcie do działu mikrobiologii i fermentacji – wreszcie mogłam zająć się studiowaniem reakcji żywych komórek. W 1959 roku, dwadzieścia lat po opuszczeniu Europy, wróciłam na kontynent – dzięki stypendium rządu brazylijskiego pojechałam do Paryża, gdzie zaakceptowano pomysł na moją pracę naukową. Wybrałam drożdże jako komórki modelowe do studiów. Po pięciu miesiącach wróciłam ze stypendium i zaczęłam pracę naukową, wykorzystując techniki, których nauczyłam się w Paryżu. Tyle że miałam córkę i bardzo mało zarabiałam. Zwróciłam się do ojca, który już wtedy miał dobre ułożone życie, by mi pożyczył pieniądze na otwarcie laboratorium. Powiedział, że będzie mi płacił miesięczną pensję, pod warunkiem że zostanę na uniwersytecie i będę prowadziła badania.

*

Tak więc dzięki ojcu Anita Dolly Panek zyskała możliwość prowadzenia przez następne pół wieku pracy naukowej. Dzięki niemu też dokonała ważnego odkrycia.

– Pracowaliśmy nad drożdżami, badając oddziaływanie na nie różnych czynników. Stresów. Przykładowo: normalna temperatura drożdży znacznie wzrasta podczas fermentacji – jak w produkcji wina. Ale jak drożdże to wytrzymują? Tworzy się w nich specjalny cukier i on pozwala im przeżyć.

Opublikowałam jakieś 170 prac na ten temat. W 1985 roku zadzwoniono do mnie z Fundacji Rockefellera w USA, by mnie zaprosić na spotkanie biofizyków we Włoszech, którzy pracowali na syntetycznych tkankach. Byli ciekawi wyników mojej pracy, bo miałam najwięcej publikacji na temat tego cukru. Przez pięć dni opowiadałam o tym w pięknym pałacu, który niegdyś należał do Johnny Walkera. Po powrocie nadal pracowałam z żywą komórką i spróbowałam innego rodzaju stresu dla drożdży: mrożenia. Mrożenie powoduje odwodnienie. Z USA sprowadziłam mutacje drożdży, które nie wytwarzały owego cukru. I stwierdziłam, że ten rodzaj drożdży nie wytrzymuje stresu mrożenia, ale jeśli się go zamrozi w roztworze dziesięcioprocentowym tego cukru i potem odmrozi – to wytrzyma. To zostało opublikowane i miało duże zastosowanie w medycynie: w przewożeniu zamrożonej krwi, szczepionek i do przewozu organów do przeszczepu. Dwa lata temu Japończyk dostał Nagrodę Nobla, używając drożdży jako komórki eksperymentalnej.

A mnie przyjęto do trzech akademii nauk: Brazylijskiej, Ameryki Południowej i Trzeciego Świata. Zostałam też uznana w Brazylii za jedną z pionierek nauki w tym kraju.

*

Po 77 latach Anita Dolly Panek zdecydowała się wrócić do Krakowa. Na Kazimierz.

– Uznałam, że zrobiłam już wiele dla kraju, który nas tak mile przyjął. Miałam pięćdziesięciu doktorantów, którzy pracowali na różnych uniwersytetach w Brazylii. Poza tym sytuacja ekonomiczna w ostatnich latach stawała się coraz trudniejsza. Na ulicach zrobiło się niebezpiecznie. Nie mogłam się swobodnie poruszać. Postanowiłam więc,

trochę szaleńczo, w wieku 86 lat przeprowadzić się na stałe do Krakowa.

Kraków jest spokojny, piękny, ludzie mili, życie przyjemne. Lubię młodych ludzi

Anita Dolly Panek: Zostałam uznana za jedną z pionierek nauki w Brazylii.

i korzystanie z życia. Chodzę na koncerty, prowadzę spotkania w Muzeum Galicji z wycieczkami, miałam tu wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim, prowadziłam warsztaty ściegów brazylijskich w Jewish Community Center. A jak jestem w domu, dziergam.

W Krakowie mieszka też mój wnuk. Ma 29 lat. Jest Brazylijczykiem, bo jego ojciec jest Brazylijczykiem. Ale dziesięć lat temu nagle postanowił, że chce studiować historię na tym samym uniwersytecie co pradziadek. Po polsku mówił tylko „dzień dobry”, więc starałam się wybić mu to z głowy, ale się uparł na Kraków.



Katarzyna T. Nowak – dziennikarka i pisarka. Autorka pięciu książek, m.in. *Moja mama czarownica. Opowieści o Dorocie Terakowskiej*. W 2020 roku wyjdzie jej najnowsza książka *Nienasycona*. Współpracowała z „Przekrojem” i „Twoim Stylem”. Mieszka w Krakowie.



Foty Balbiny

Tekst: Ewa Kozakiewiczowa Zdjęcie: z archiwum Olimpii Maciejewskiej

Czytamy: „Strzel fotę! Kotu, miastu, sobie, koleżance, koledze. Komuś, czemuś, komukolwiek, czemukolwiek. Balbina z niedowierzaniem obserwowała przewalające się ulicami miasta tłumy swoich i obcych uzbrojone w cyfrowe aparaty fotograficzne”.

Opowiadania *Balbiny* są jak foty strzelone pośpiesznie, z flesztym lub bez. Trzask. Tort wylądował na twarzy Marianny. Trzask. Trup nie przypominał żywej ciotki, a uparta mucha wędrowała w dół trumny.

Olimpia Maciejewska-Gijbels, autorka *Opowiadań*, kreśli obrazki krótką urywaną kreską, czasem coś podkoloruje... Nic dziwnego, jest przecież szefową galerii sztuki i niejedno już widziała. Sama zorganizowała aż 126 wystaw!

Opowiadania Balbiny debiutują w czasach zarazy, nie mają fabuły ani rzetelnej akcji, a wciągają. O czym są? O niczym. Tak mówi Maciej Prus, literat i współwłaściciel Pięknego Psa. Autorka zaprzecza. Twierdzi, że stworzyła czterdzieści opowieści o życiu, które toczy się płasko i monotonnie: „Monotonnie, nieprzerwanie ciągnie się od narodzin aż do śmierci...”.

To książka z kluczem. Bohaterka, mocno zanurzona w knajpianym życiu Krakowa, mierzy się z jednorodnością czasu. Wszystko się przeplata – codzienność z odświętnością. Tu toczy się prawdziwe życie, poznajemy ludzi, którzy naprawdę istnieją: Prusa, Kiwiego i Świetlickiego. Inni są zakodowani literackim kluczem.

Marcin Świetlicki mówi, że Balbina wku-rza go i zachwyca: „Jest bardzo wyrazista.

A to w postaciach literackich cenimy najbardziej”. Balbina nikogo nie pozostawia obojętnym. Przyjaciółka autorki, zawodowa pisarka pyta: „Wszystko fajnie, fajnie, ale po co ty tam piesz o Jezusie?”. Ale przecież czas opowiadań łączy się z okresem Wielkiego Postu, kiedy Balbina chce uporządkować swoje życie, zastanowić się nad nim i dokonać aktu oczyszczenia. Bez postaci Jezusa pokazać się tego nie da. Wie to autorka, z zawodu religioznawczyni.

Jej opowiadania są jak *selfie* zrobione telefonem. Maciejewska opisuje banalne sytuacje, ale przejmuje się ideami. Podobnie jak Balbina, Olimpia mimo dojrzałego wieku wciąż nie wie, co chciałaby robić w życiu. Dlatego przywołuje obraz ze wspomnień z dzieciństwa: jest pożar, z kłębow dymu wyłania się strażak i mówi: co oni mają robić. Balbina robi wszystko według instrukcji strażaka i w ten sposób ratuje się od złego. „Czo robisz, Balbina?” (imię bohaterki na cześć gąski z dawnej Dobranocki). – Piszę sobie – odpowiada Olimpia, przepraszam, to chyba Balbina...

Olimpia Maciejewska, *Opowiadania Balbiny*, Fundacja Freda Gijbelsa, Kraków 2020, olimpia@post.pl



historyczny szkic lekką kreską



Szkic historyczny o przełomowym dla dziejów Polski i Europy okresie, którego bohaterami są wizjonerzy nowego świata i przedstawiciele starego porządku: agenci tajni i jawni, spiskowcy, mężowie stanu i lokalni politycy, artyści i żołnierze. Osią tej opowieści o budowie Niepodległej jest zabór pruski.

 WYDAWNICTWO
MIEJSKIE
POZNAŃ

patronat
KRAKÓW
MIESIĘCZNIK

publikacja dostępna
na sklep.wmposnania.pl

Fundacja na miarę Krakowa

Tekst: Tomasz Wojtas Zdjęcie: z archiwum/za wiedzą i zgodą Fundacji GAP

Trochę historii... Spotkanie Rady Programowej Open Eyes Economy Summit (OEES) w styczniu 2017 roku było otwarciem kolejnego etapu rozwoju Fundacji GAP. Podczas podsumowania pierwszej edycji Kongresu Ekonomii Wartości, który odbył się w listopadzie 2016 roku, padło wiele wniosków na przyszłość, ale to słowa prezydenta Majchrowskiego przypieczętowały decyzję o tym, że warto kontynuować ruch otwartych oczu, bo przecież „OEES to Kongres na miarę Krakowa”.



Myszę o uczelni jak o kopalni diamentów, którymi są studenci. Pewnie nie wszyscy, ale wielu. Wystarczająco wielu, aby zająć się ich rozwojem i z tego czerpać satysfakcję i siłę. Chciałbym, aby na uniwersytetach rozumiano, że nasza przyszłość zależy przede wszystkim od tego, jak włączymy studentów do wspólnoty. Włączyć możemy ich na dziesiątki sposobów i naszym zadaniem jest, aby je wymyślić. I jeśli tak będzie to zorganizowane i prowadzone na uczelni – uniwersytecie, to na końcu absolwenci będą zdolni do autonomicznego dokonywania wyboru i przyjmowania odpowiedzialności z tego wynikającej, ale jednocześnie do współdziałania z innymi” – tymi słowami Przewodniczącego Rady Fundacji GAP prof. Jerzego Hausnera kieruje się ona od początku istnienia.

Studenci

To dla nich w 2005 roku powstała GAP. To oni od początku jej działalności byli odbiorcą, współtwórcą, a tak naprawdę częścią tej organizacji. Nierzadko stawali się nawet jej długoletnimi pracownikami. Założona

przez pracowników Akademii Ekonomicznej w Krakowie (teraz Uniwersytetu) organizacja pozarządowa współtworzy środowisko związane z Kolegium (kiedyś kierunkiem, a później wydziałem) Gospodarki i Administracji Publicznej (stąd skrót GAP). W ramach swojej działalności Fundacja organizuje przedsięwzięcia, które służą budowaniu świadomej uniwersyteckiej społeczności chociażby przez organizowanie Sympozjów Naukowych GAP. Wyjazd początkowo podobny do rajdu górskiego rozrósł się do renomowanej, rozpoznawalnej w skali kraju konferencji naukowo-gospodarczej, w której dwa razy w roku udział bierze ponad 400 osób. W jej ostatniej, 50. już!, edycji połowę uczestników stanowili studenci! Dzięki wydarzeniu mają oni możliwość spotkać się z przedstawicielami biznesu, instytucji publicznych czy z czołowymi przedstawicielami świata polityki i kultury, mogą zainspirować się, porozmawiać, zgłębić temat, wzajem poznać. Wspaniale jest kształtować młodych ludzi przez ich dobrowolny i chętny udział w różnych projektach – stażach zawodowych, kole naukowym,

uroczystej promocji absolwentów, ale także wieczorach klubowych, wystawach, balach karnawałowych czy innych wydarzeniach kulturalnych.

A skoro o kulturze

W Krakowie fundacja GAP współtworzyła wiele akcji. Ot choćby w 2015 roku, w centrum kampusu Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, wśród akademików i studentów powstał Teatr POP-UP, czyli „znikająca instytucja kultury”. Działał przez miesiąc w sferycznym namiocie, zaraz obok Budynku Głównego UEK, i był propozycją alternatywnej formuły teatru publicznego, który zgromadził na swoich deskach dziesiątki artystów, a wśród nich Michała Borczucha, Ięgę Gańczarczyk, Krystiana Lupe, Olivera Frljića, Wiktora Rubina. Po wykonaniu kilku premier i kilkunastu wystawień, teatr – jak na POP-UP przystało – zniknął, otwierając jednak dyskusję na temat tradycyjnych modeli instytucji artystycznych i wdrażania propozycji alternatywnych. A miało to miejsce dokładnie w 250. rocznicę powstania pierwszego teatru publicznego w Polsce.

Kolejne osiągnięcie to zorganizowanie w Krakowie, przy współpracy z Nowohuckim Centrum Kultury (NCK), pierwszej po latach wystawy prac Zdzisława Beksińskiego, co później dzięki staraniom NCK zaowocowało stałą wystawą artysty w Nowej Hucie. Sama wystawa odbyła się podczas Nowohuckiego Festiwalu Sztuki, a NCK przeżyło oblężenie – w dwa tygodnie wystawę obejrzało 20 tysięcy osób.

GAP-owicze mają na koncie również produkcję wielu płyt muzycznych, w tym połączenie poezji Adama Zagajewskiego z aranżacjami i wykonaniem utworów przez Włodka Pawlika (laureata nagrody Grammy) na płycie *Mów spokojniej*. Czy ktoś słyszał wersje muzyczne wierszy: *Senza Flash*, *Filozofowie*, *W cudzym pięknie*, *Spróbuj opiewać okaleczony świat*, *Miasto*, *Nigdzie*, *Podziemne pociągi*? Warto!

Żeby podkreślić swoje przywiązanie do Krakowa i w sposób szczególny skierować ku niemu uwagę podczas Open Eyes Festiwal w listopadzie 2018 roku, organizatorzy z Fundacji namówili artystę i wyprodukowali wystawę *Fantazje krakowskie Ryszarda Horowitza*. To zestawienie 15 fotografii wykonanych z użyciem techniki cyfrowego przetwarzania zdjęć, charakterystycznej dla Mistrza, przedstawiających Kraków znany i zapomniany. Jeszcze w tym roku wystawa zostanie nieodpłatnie przekazana na rzecz Muzeum Historycznego Miasta Krakowa i zaśnie w odnowionym Pałacu Krzysztofora.

Fundacja GAP realizuje projekty, które kształtują, budują świadomość odbiorców, a także otwierają oczy – wielokrotnie.

Szeroko otwarte oczy

Rok 2020 to rok trudny dla nas wszystkich, a branża spotkań stanęła przed nie lada wy-

zwaniem. Jednak dla Ekonomii Wartości to rok szczególny i wyjątkowy – teraz jak nigdy odczuwamy potrzebę międzyludzkiej solidarności, zdobywamy się na refleksję, co my, ludzie, zrobiliśmy planecie w naszej epoce – antropocenie albo czy nasze miasta mogą odejść od idei wzrostu gospodarczego w kierunku wydajności energetycznej i oszczędzania zasobów materialnych. O tych sprawach toczyć się będzie rozmowa na Open Eyes Economy Summit (16–18 listopada 2020 r.). Tematy wydają się nie tylko aktualne (a może i wyprzedzające), ale przede wszystkim potrzebne nam, naszym miastom, naszej planecie. Kongres łączy doświadczenia wielu lat działalności Fundacji GAP, stąd w programie OEES tak wiele odniesień do ludzi młodych, a także bogactwo wydarzeń kulturalnych. A wszystko to nadal bliskie temu, co dla Fundacji najważniejsze – bo na jakim innym kongresie obok noblisty (w tym przypadku Muhammada Yunusa) stanie student (na przykład krakowskiego uniwersytetu)?

*

Czy to Fundacja na miarę naszego miasta, ocenicie sami.



Tomasz Wojtas – dyrektor OEES i wiceprezes Zarządu Fundacji GAP, absolwent Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie; wcześniej prezes Agencji Artystycznej GAP i producent wydarzeń kulturalnych. W dorobku posiada między innymi produkcję albumów muzycznych *Mów spokojniej* Włodka Pawlika i Adama Zagajewskiego, produkcję spektakli teatralnych: *Chopin bez fortepianu*, *Wszyscy byli odwrócenii*, *Szapocznikow*. *Stan nieważkości* we współpracy z Michałem Zadarą, organizację koncertów Motion Trio i Leszka Możdżera oraz Arianny Savall z formacją Hirundo Maris. Współautor publikacji o dziedzictwie kulturowym rodzinnej miejscowości *Historia pisana pasjami*. *Szalowanie są zawzięci w dobry sposób: jak coś zaczną, to kończą*. Większość czasu poświęca na najważniejsze jak dotąd przedsięwzięcie – kongres Open Eyes Economy Summit.

Bezpieczeństwo w chwili niepewności

Tekst: Agencja Reklamy „Wenecja”/Martyna Nowakowska

W hierarchii potrzeb Abrahama Masłowa, czyli jego słynnej piramidzie, tylko fizjologia stanowi bardziej elementarną potrzebę niż bezpieczeństwo. Trudno więc czerpać satysfakcję z życia, gdy nie możemy przewidzieć, co przyniesie jutro, lub pozostajemy w stanie zagrożenia. Tymczasem trwająca od kilku miesięcy pandemia wzmacnia w nas wrażenie niepewności.

Pogorszeniu ulegają kolejne aspekty życia – zawodowe, finansowe czy zdrowotne. Rośnie liczba zakażeń i ofiar śmiertelnych. Gospodarka spowolniła, wiele osób straciło pracę lub drastycznie obniżyły się ich dochody. Dzieci miotają się między szkołą a nauką zdalną, co utrudnia przyswajanie wiedzy i rodzi stres. Narasta w nas lęk. By powrócić do równowagi, kluczowym elementem powinny być interakcje społeczne – ale jak okazywać sobie wzajemne wsparcie, kiedy odpowiedzialność za drugą jednostkę wiąże się z tym, że cierpią osobiste relacje, a kontakty międzyludzkie powodują więcej strachu niż radości?

Obecna sytuacja spełnia warunki koncepcji traumy kulturowej autorstwa prof. Piotra Sztompki. Oto mamy do czynienia ze zmianą, która, po pierwsze – jest nagła i szybka, po drugie – jest głęboka i dotyka istoty życia społecznego, po trzecie – postrzegamy ją jako narzuconą z zewnątrz, dziejącą się poza nami. Zdaniem Sztompki trauma ta może wpłynąć na trzy sfery życia – biologiczną lub demograficzną (degradacja ludności, zaburzenia psychiczne, wzrost umieralności i głodu), strukturę społeczną (nadszarpnięcie relacji i podważenie hierarchii) oraz kulturę. Jak można dostrzec, pandemia SARS-COV-2 rozprzestrzeniła się już na wszystkie jej poziomy.

Wiele analiz socjologicznych pokazuje, jak przez koronawirusa zmieniły się nasze nawyki. Ważnym powodem jest strach przed zarażeniem, ale nie bez znaczenia jest również niestabilny stan budżetów domowych. Z badania przeprowadzonego na zlecenie grupy KRUK wynika, że 37 proc. Polaków zaczęło dokładnie planować zakupy spożywcze, dzięki czemu marnuje mniej jedzenia. Kolejne 30 proc. zaprzestało zbędnych wydatków, jak zakupy nowych ubrań czy sprzętu elektronicznego, a następne 20 proc. stara się więcej oszczędzać. Ograniczyliśmy też (po części przymusowo) kwoty wydawane na kulturę. Jak wskazuje raport BIG InfoMonitor z wizyt w kinach i teatrach całkowicie zrezygnowało 47 proc. respondentów, a 35 proc. dziś zagląda tam rzadziej niż przed pandemią. Niższą frekwencję odnotowują też galerie handlowe

czy restauracje. Życie towarzyskie przeniosło się do sieci – od stycznia liczba aktywnych użytkowników Facebooka wzrosła o milion, a Instagrama o 600 tysięcy.

Przytoczone sondaże wywołują pytanie: jak pandemia odciska się na życiu miejskim?

By w przestrzeni miejskiej krakowianie czuli się bezpieczniej, urzędnicy zdecydowali o dezynfekowaniu miejsc, w których pojawia się większa liczba osób. I tak poddawane odkażaniu są autobusy, przystanki komunikacji publicznej, chodniki, pętle autobusowe, otoczenia aptek wraz z wejściami czy uliczne kosze na śmieci. Jak potwierdzają naukowcy z Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ, płyn jest całkowicie bezpieczny dla mieszkańców i zwierząt, a dezynfekcja przynosi wymierne efekty – w połowie marca w ponad 40 proc. próbek można było znaleźć materiał genetyczny wirusa, a po odkażeniu miejsc procent ten bardzo znacząco spadł. Pojawiło się też wiele inicjatyw oddolnych, dzięki którym osobom starszym dowożone są do domów zakupy, obiady czy leki.

A co dzieje się w innych miastach?

Bielsko-Biała jako jedno z pierwszych miast w Polsce wprowadziło w życie autorski program pomocy przedsiębiorcom „Restart BB 2020”. Zadbano także o bezpieczeństwo bielszczan i sprowadzono dla mieszkańców blisko 200 tysięcy maseczek ochronnych.

Sopot również nie szczędził środków, by zadbać o mieszkańców. Z jednej strony, władze uruchomiły system wsparcia w postaci materialnej (posiłki dla potrzebujących czy zakupy dostarczane seniorom do domów), z drugiej zaś – wsparcie w postaci licznych ulg czy zwolnień z opłat na rzecz gminy.

Wiedeń jest jednym z niewielu miast, które powołało własny zespół do spraw kryzysu psychospołecznego. Jego członkowie wprowadzają odpowiednie mechanizmy, by mieszkańcy jak najmniej odczuwali wpływ pandemii na ich zdrowie psychiczne. Dużym udogodnieniem dla wiedeńczyków jest innowacyjna metoda testowania – kurierzy rowerowi wykonują szybkie testy w domach na obecność wirusa metodą płukania.

Rząd Włoch przedłużył do 31 stycznia przyszłego roku stan wyjątkowy, wprowadzony z powodu pandemii. W całym kraju obowiązuje nakaz noszenia maseczek – także na otwartej przestrzeni. Władze poszczególnych regionów nie mogą łagodzić

ogólnokrajowych rozporządzeń. W Wenecji mieszkańcy mogą liczyć między innymi na pomoc żywnościową – kiedy wykażą taką potrzebę, urząd miasta przekazuje im specjalne bony do wykorzystania w poszczególnych sklepach.

Bogusław Kośmider,
wiceprezydent Krakowa:

Kraków przed pandemią stawał się coraz bardziej bezpiecznym miastem. Doceniali to mieszkańcy, doceniali goście, w tym spora liczba cudzoziemców tu pracujących. Jednak pandemia i w zakresie bezpieczeństwa wiele zmieniła. Co prawda sama przestępczość nie wzrosła, a nawet w wielu obszarach się obniżyła. Pogorszyło się jednak poczucie bezpieczeństwa mieszkańców. Boimy się o przyszłość, o zdrowie, o miejsca pracy, o perspektywy dla nas i naszych najbliższych. Wiemy z badań, że pewna mniejszość mieszkańców reaguje agresją, a spora większość implozją, czyli zamykaniem się w prywatność.

Jako władza samorządowa próbujemy temu przeciwdziałać na kilku poziomach. Pierwszym są działania w zakresie bezpieczeństwa – patrole straży miejskiej, wsparcie dla policji. Kluczowe jest również systematyczne informowanie mieszkańców i troskliwe opiekowanie się najbardziej potrzebującymi i zagrożonymi.

Ważne są także akcje wspólnotowe, na przykład dziesiątki stowarzyszeń i inicjatyw zajmujących się lokalnie mieszkańcami, to między innymi szycie maseczki, reagowanie na różne ludzkie potrzeby. Dziękujemy im wszystkim za tę troskę.

Troskliwy Kraków to nie tylko troskliwy samorząd, ale też troska setek, tysięcy mieszkańców, sąsiadów, młodych i starszych. Właśnie w trakcie pandemii Kraków, i jako samorząd, i jako społeczeństwo, zdaje egzamin z troski o mieszkańców. Ta troska zostanie po pandemii i będzie budować perspektywę i przyszłość naszego miasta.

Jacek Karnowski, prezydent Sopotu:

Od początku mieliśmy świadomość, że musimy zadbać o kondycję psychiczną mieszkańców. Sytuacja izolacji, ciągłego poczucia zagrożenia czy braku odpowiedzi na pytanie „ile to potrwa?!” wymagały stałego wsparcia specjalistów. Uruchomiliśmy więc specjalne numery telefonów, pod którymi dyżurowali psycholodzy, oferując wsparcie zarówno dorosłym, jak i młodzieży czy dzieciom. Sopot jest miastem turystycznym i wielu mieszkańców prowadzi restauracje, hotele czy też świadczy usługi – chociażby z zakresu rekreacji. Teraz turystów nie ma, co mocno odczu-

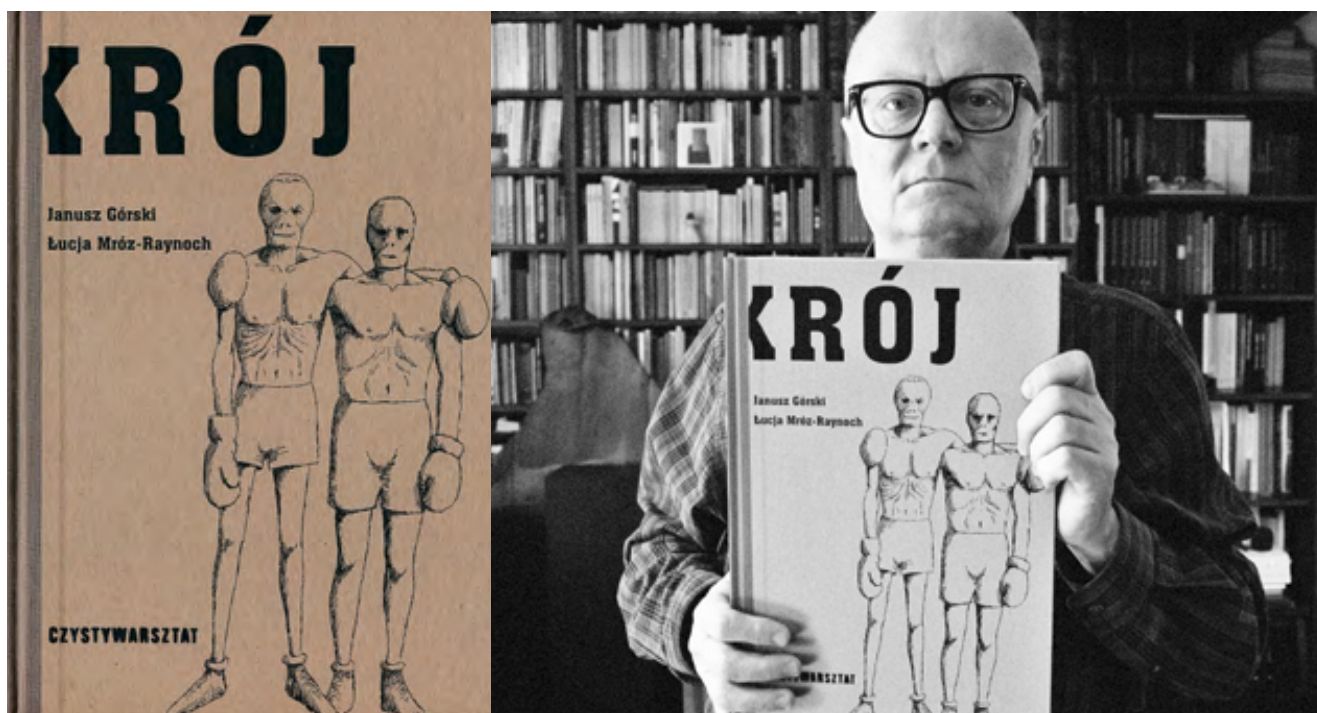
wa cała branża. Dramatycznie pogarsza się kwestia dochodów samorządów. Ich dalsze uszczuplanie spowoduje ewidentny spadek jakości życia mieszkańców. Miasta bogatsze sobie poradzą, ale co mają robić te biedniejsze? Jak mają wytłumaczyć mieszkańcom, że już nie są w stanie zapewnić im takiej jakości życia, do której są przyzwyczajeni? W Sopocie robimy wszystko, aby mieszkańcy byli bezpieczni i czuli, że zawsze mogą liczyć na pomoc i wsparcie miasta.

Piotr Kucia, wiceprezydent Bielska-Białej:

Bielski samorząd od momentu wprowadzenia na terenie kraju stanu epidemicznego wspierał we wszystkich możliwych obszarach mieszkańców miasta. Wprowadziliśmy autorski program pomocy przedsiębiorcom „Restart BB 2020”, sprowadziliśmy blisko 200 tysięcy maseczek ochronnych. Staraliśmy się także podtrzymać mieszkańców na duchu w czasie lockdownu, przeprowadzając kampanię społeczną, której hasło brzmiało: „Wszystko będzie dobrze”. Obecna sytuacja ma wpływ na stan psychiczny mieszkańców. Każdy chciałby wrócić do normalności, którą znamy z okresu przed pandemią. Bielszczanie zaakceptowali jednak sposób, w jaki należy żyć w czasie pandemii, i doskonale zdają sobie sprawę, że wszystkie niedogodności, z którymi muszą się mierzyć – noszenie maseczek czy zachowywanie dystansu społecznego – to recepta na uniknięcie jeszcze większych problemów.

Dr Georg Psota, kierownik zespołu ds. kryzysu psychospołecznego miasta Wiednia i główny lekarz służb psychospołecznych w Wiedniu:

Jako służba psychospołeczna, wspólnie z Wydziałem Magistratu ds. Gospodarki, Pracy i Statystyki, zleciliśmy przeprowadzenie badania na temat sytuacji psychospołecznej wiedeńczyków w czasie pandemii koronawirusa. Wyniki wskazują jednoznacznie, jak ogromny wpływ mają czynniki społeczne na zdrowie psychiczne. Zwłaszcza w dużym mieście, jakim jest Wiedeń, szczególnie silnie odczuwamy skutki nierówności społecznych. Zlikwidowanie luki w zagrożeniu między bogatym a ubogim musi zatem stanowić centralny element działań mających na celu przeciwdziałanie psychospołecznym skutkom pandemii koronawirusa.



Czysta sztuka, czyli Mróz

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: z archiwum prof. Janusza Górskiego

Adam Macedoński: „Na pewno był to geniusz”. **Mieczysław Czuma:** „On był częścią Krakowa, po prostu, tak jak Wawel, jak kopiec Kościuszki”. **Łucja Mróz-Raynoch:** „Gdy tylko tata zauważył, że dzieje się coś złego, to rzucał się na ratunek”.

Przekrój przez Mroza – i aż właściwie nie wiadomo, czym się bardziej zachwycić: kongenialnym, wieloznacznym tytułem, ciekawymi tekstami, oszałamiającą szatą edyorską czy po prostu kreską Wielkiego Mroza?

Przypomnijmy: artysta urodził się w 1917 roku w Krakowie, skończył grafikę na krakowskiej ASP, był też członkiem Grupy Krakowskiej II. Jego autorstwa są kultowe ilustracje do ponad stu książek, w tym tak znanych autorów jak Konstanty Ildefons Gałczyński, Ludwik Jerzy Kern, Stanisław Jerzy Lec czy Sławomir Mrożek. Zaprojektował wiele scenografii do spektakli teatralnych, reżyserowanych między innymi przez Józefa Szajnę czy Helmuta Kajzara. Ale przede wszystkim od 1949 roku do końca życia współpracował z tygodnikiem „Przekrój”.

Już sam wybór ilustracji Daniela Mroza do tego pisma to niesamowita galeria winiet, rączek, spisów treści i surrealistycznych tytułików *Zagadek kryminalnych*. Te obrazki to arcydzieła grafiki i liternictwa. Tworzyły nie tylko rozpoznawalną szatę graficzną kultowego tygodnika, ale budowały wrażliwość graficzną Polaków.

Tak, Daniel Mróz trafił pod strzechy...

A w książce opowiadają o nim Łucja Mróz-Raynoch (córka), Mieczysław Czuma (ostatni

redaktor naczelny legendarnego „Przekroju”) oraz Adam Macedoński (rysownik i kolega z redakcji).

Teksty powstały na podstawie rozmów, które przeprowadził grafik, profesor Janusz Górski.

I właśnie ta postać to kolejny walor książki. Bowiem Górski, projektant książek i wydawca, wykładowca na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, zasłynął w Polsce jako autor wysmakowanych edycji dzieł wszelakich. Wydawnictwo Czysty Warsztat, które prowadzi, szczególnie dba o to, aby wszystkie książki oficyny były dobrze zaprojektowane i starannie wykonane. Zapewnia stosowanie najlepszych materiałów i dokłada starań, żeby kształt edytorski publikacji stanowił nierozdzielalną całość kompozycyjną z projektem. Nic dziwnego, że książki tej oficyny zyskują wysokie oceny krytyków i zdobywają prestiżowe nagrody w edycjach konkursów na Najpiękniejszą Książkę Roku.

Janusz Górski i Łucja Mróz-Raynoch, *Przekrój przez Mroza*, Wydawnictwo Czysty Warsztat (dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego), Gdańsk 2020.



Z Krakowa do ECM

Tekst: Krzysztof Burnetko **Zdjęcie:** Jacek Poręba (za zgodą i dzięki uprzejmości Dominika Wani)

Monachijska ECM Manfreda Eichera to najbardziej bodaj prestiżowa wytwórnia jazzowa (choć nie tylko) Europy. Dość powiedzieć, że swoje płyty nagrywają dla niej Keith Jarrett, Jan Garbarek, Charles Lloyd, Carla Bley, Dino Saluzzi czy Avishai Cohen. Z polskich muzyków sławą ECM był Tomasz Stańko, potem zaszczytu reprezentowania ECM dostąpiło trio Marcina Wasilewskiego, a ostatnio kwartet Marcina Obary. Teraz znalazł się w niej kolejny muzyk i to, można powiedzieć, z Krakowa – Dominik Wania.

Wprawdzie urodził się w Sanoku, ale muzyczne szlify zdobywał właśnie w Krakowie. W 2005 roku ukończył z wyróżnieniem klasę fortepianu prof. Andrzeja Pikula w tutejszej Akademii Muzycznej. Na tej uczelni jest teraz adiunktem w Katedrze Muzyki Współczesnej, Jazzu i Perkusji. Dzięki stypendium Presidential Scholarship, przyznanym przez Helena Foundation, studiował też na wydziale jazzowym New England Conservatory of Music w Bostonie. No i grał – zarówno w studiach, jak i koncerty – z wielkimi: Stańką, Maciejem Sikałą, Adamem Pierończykiem, Piotrem Wojtasikiem, Januszem Muniakiem, Zbigniewem Namysłowskim, Zbigniewem Wegehauptem, Marcusem Millerem, Jonem Balke, Lee Konitzem, Andersem Jorminem, Erickiem Marienthalem i innymi. Szczególnym wydawnictwem Wani był ogłoszony w minionym roku album *Twilight* z nowymi kompozycjami Zbigniewa Preisnera (znowu Kraków!) na fortepian solo.

Nie jest też przypadkiem, że jego pierwsza autorska płyta, nagrana w 2013 roku dla wydawnictwa ForTune, składała się z jazzowych opracowań *Miroirs* Maurice’a Ravela – klasyczne wykształcenie młodego pianisty wyraźnie wpływa na jego styl.

I dobrze! Tak jest też na pierwszej solowej płycie dla ECM (wcześniej grał dla wytwórni w składzie kwartetu Macieja Obary). Nagrany w sali Auditorio Stelio Molò w Lugano album urzeka nastrojem i osobistym (niektórzy krytycy piszą nawet: „introwertycznym”) charakterem. Jedenaście kompozycji (ponoć nagrano ich podczas tej sesji jeszcze więcej) opartych jest na klasycznych właśnie podstawach pianisty. Słychać rozmaite inspiracje, ale dominuje własna nuta, uderzenie, a w końcu pomysł na improwizację. A na tym przecież polega jazz.

Pokazuje również Dominik Wania kunszt czysto techniczny. Sam chwali się wykorzystaniem w (dedykowanej Zbigniewowi Beksieńskiemu) improwizacji *AG76* „dźwigni wymyku w mechanizmie fortepianu”, co ma powodować „że barwa dźwięku jest wyjątkowo delikatna i mglista”. Lecz rzeczywiście – na tle pozostałych kompozycji nawet laik ową mglistość jest w stanie zauważyć.

Muzyk apeluje na płycie: „W dobie powszechnego kryzysu człowieka i cywilizacyjnych zagrożeń nie traćmy nadziei, aby nie pozostały po nas tylko samotne cienie”.

Dominik Wania, *Lonely Shadows*, ECM, 2020.



Ciekawe czasy i zwykli ludzie

Tekst: Ewa Danowska

Czasy były ciekawe – Wielka Wojna miała się ku schyłkowi, debatowano nad traktatami, kończyła się epoka, zmieniała się mapa. Polacy odzyskali niepodległą ojczyznę, borykając się z rozczarowaniami pierwszych lat wolności.

Opowieść dzieje się w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Berlinie, Zurychu, Monachium, Paryżu, Krakowie, Poznaniu, Warszawie, ale i innych miejscach, gdzie odbywały się istotne dla sytuacji politycznej wydarzenia. W czasie gdy ważyły się losy świata, autorzy przenoszą nas do Wielkopolski: Smogulca, Ostrowa Wielkopolskiego, Mroczy i Nakła czy Bobrujska i Cichinicz, dziś na terenie Białorusi, oraz Sądowej Wiszni i Rarańczy na ziemiach ukraińskich. Bo w *Mgnieniach* ważni są ludzie – wielcy przywódcy, jak prezydent Woodrow Wilson, a poza nim walczący na arenie międzynarodowej o wolną Polskę Ignacy Paderewski i Roman Dmowski, wojskowi przywódcy, na przykład gen. Józef Dowbor-Muśnicki, ale i właśnie mieszkańcy owych wiosek i szeregowi żołnierze. Przedstawiona jest barwna postać i zakulisowe działania Harry’ego von Kesslera, artysty, polityka i dyplomaty odpowiedzialnego za kontakty władz niemieckich z Piłsudskim podczas jego internowania w Magdeburgu.

Autorzy przedstawiają historię od kuchni, szczegółów z pozoru nieistotne budują klimat. Bo jeśli według Pascala długość nosa Kleopatry wpłynęła na losy świata, to warto – w tak plastyczny sposób, jak to zrobili Bereś i Burnetko – zobaczyć, czym zajmo-

wali się nie tylko nieprzeciętni, ale też przeciętni i często mimowolnie uczestnicy epokowych wydarzeń. Jak na scenie teatru widzimy hrabiego von Kesslera w luksusowym hotelu, Marię Dąbrowską, która siada do spisywania na gorąco w pamiętniku swych obserwacji i refleksji związanych z wielką polityką i zwykłą codziennością, sędziwego Michała Bobrzyńskiego, historyka i przywódcę krakowskich konserwatystów, który rozmawia z żoną Zofią o zbliżającym się końcu starego świata. Widzimy Stanisława Przybyszewskiego, jak zwykle bez pieniędzy w kieszeni, którego sława już przebrzmiała, Stefana Żeromskiego, zaangażowanego w wydarzenia początków polskiej niepodległości, oraz podkreślającego polskość poznańskiego drukarza Karola Rzepeckiego. Sporo miejsca zajmuje opis poczytna gra Hutten-Czapskiego oraz braci Nogajów z poznańskiej rodziny, która, by tak rzec, rozpętała zwycięskie powstanie wielkopolskie.

Wszyscy przewijają się na kartach *Mgnień* niczym postaci na scenie oddalonej od nas w czasie o sto lat wstecz.

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, *Mgnienia. Opowieści z lat 1918-1920*, Wydawnictwo Miejskie Poznań, 2020.

Listopad 1920

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✎ **1 listopada.** Anons z „IKC”: „Nadmłynarza zdolnego poszukuję do młyna motorowego w Krakowie od 1 listopada 1920 roku. Zgłoszenia: Podgórski, Półwieś Zwierzynieckie, ul. Tatarska 1”.

✎ **1 listopada.** „Nowa Reforma” zamieściła wiadomość o przywróceniu bezpośredniego połączenia kolejowego Krakowa z Poznaniem, przez Górny Śląsk.

✎ **6 listopada.** Anons z „IKC”: „Modelki (do aktu), za bardzo dobrym wynagrodzeniem, poszukuje jeden z najwybitniejszych artystów malarzy. Warunki: uroda i klasyczne kształty, wiek do lat 22. Wiadomość (przez grzeczność), udziela Salon Dzieł Sztuki, ul. św. Jana 3”.

✎ **11 listopada.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Generał Władysław Sikorski, zwycięski wódz na froncie wschodnim, bawi w Krakowie. Jak się dowiadujemy, grono przyjaciół podejmuje dzisiaj generała w południe śniadaniem w Grand Hotelu”.

✎ **12 listopada.** W kolejnej kronice kontynuowany był ten wątek: „Wczoraj na przedstawieniu w Teatrze im. Słowackiego, przed drugim aktem dyr. Trzciniński powitał ze sceny, obecnego w łożu, jen. Sikorskiego w podniosłych i serdecznych słowach, przypominając wielkie wrażenie zwycięskich walk pod Warszawą, rozpoczętych przez jen. Sikorskiego. Licznie zebrana publiczność hucznymi oklaskami witała dzielnego i zwycięskiego wodza. Orkiestra odegrała hymn narodowy”.

✎ **13 listopada.** „Czas” donosił o powołaniu Towarzystwa Przyjaciół Francji w Krakowie. Spotkanie inauguracyjne, któremu przewodniczył prezes Akademii Umiejętności Kazimierz Morawski, odbyło się w wypełnionej do ostatniego miejsca sali Kopernika w Collegium Novum.

✎ **13 listopada.** Dzienniki przyniosły wiadomość o śmierci przemysłowca Kopela Grünwalda.

Warto przypomnieć, że Grünwald (wraz z Józefem Kleinbergerem) był pionierem przemysłu kinowego, a także filmowego w Krakowie. W 1907 roku otworzyli oni, w drewnianym pocyrkowym budynku, stojącym u zbiegu ulic Wielopole i Dietla, pierwsze w mieście kino pod nazwą Cyrk Edison (okolice dzisiejszego banku PKO). Obaj przedsiębiorcy zrealizowali też serię ważnych, ukazujących życie miasta filmów dokumentalnych, między innymi Rewia samochodów w Krakowie (1909 r.) czy Straż Pożarna w Krakowie (1911 r.). Niestety, żaden z nich nie przetrwał do naszych czasów.

✎ **15 listopada.** „Z powodu braku węgla koksującego stanęła krakowska gazownia” – alarmował „Czas”.

✎ **17 listopada.** „Barbara Rzucidło, żona urzędnika kolejowego, zamieszkała przy ul. Wielickiej 7, spiesząc się do domu w niedzielę, o godz. 9 wieczór, wskutek ciemności i mgły zboczyła z drogi prowadzącej na II Most i spadła z kamiennej szkarpy, niezabezpieczonej barierą, na brzeg Wisły, doznając złamania

Dzienniki przyniosły wiadomość o wizycie w mieście trzech delegatów z Wojskowej Misji Japonii w Warszawie. Egzotyczni goście zapoznawali się z polskim dziedzictwem kulturalnym, odwiedzając zabytkowe miejsca. Szczególnie entuzjastycznie odnieśli się do kolekcji Feliksa Mangghi Jasieńskiego.

prawej ręki i licznych obrażeń wewnętrznych. Pogotowie Ratunkowe przewiozło ofiarę tragicznego wypadku do szpitala” – relacjonował „Głos Narodu”.

✎ **17 listopada.** Z kroniki „IKC”: „Jak się dowiadujemy, szpital »Pod Baranami« zostaje zwinięty, a chorzy przeniesieni do innych szpitali lub odesłani do domów. W pałacu »Pod Baranami« mieścił się szpital od początku wojny, brak nadzoru spowodował, że cenne zabytki w tym pałacu, sięgające epoki renesansu, zostały zniszczone lub poważnie uszkodzone”.

✎ **18 listopada.** W prasie ukazały się nekrologi żegnające Józefa Kruszewskiego (1853–1920), malarza, cenionego karykaturzystę, współpracownika wielu pism.

✎ **19 listopada.** „Do Krakowa przyszedł oddział czołgów (tanków). Dwa z nich wyładowano i stały one wczoraj przez dłuższy czas u zbiegu ulic Lubicz i Basztowej. Rzesze ciekawych gromadziły się, podziwiając to sławne, a dotąd nie widziane w Krakowie dziwo. Oba tanki należą do najmniejszych (4 m długości). Na platformie znajdują się wieżyczki, w których są pomieszczenia dla kierowcy i obsługi karabinu maszynowego. Te niebezpieczne potwory noszą wdzięczne imiona: Cordelii i Walerii. W wojnie światowej tanki odegrały wybitną rolę, a na froncie francusko-niemieckim niejednokrotnie rozstrzygały o zwycięstwach koalicji” – odnotował „Czas”.

✎ **20 listopada.** Komunikat z „Czasu”: „Związek Inteligencji Polskiej zawiadamia swych członków, że dostał przydział białego cukru



Kolejka pod sklepem korzennym, pilnowanym przez austriackiego żandarma. Na drzwiach napisano: „Cukru nie ma”, „Kawa wysprzedana”, akwarela, J. Kruszewski, ok. 1918, własność prywatna.

Pierwszorzędny kupiecki
HOTEL CITY
 pod fachowem kierownictwem Józefa Peipera
Kraków, ul. św. Gertrudy 28 - Telefon Nr. 3478

**Gruntownie z komfortem urządzone,
 w pięknym słonecznym położeniu.
 Centralne ogrzewanie. W każdym
 pokoju umywalnia z zimną
 i ciepłą wodą. Dla podróżu-
 jących i dłużej mieszka-
 jących opust.**

212

Anons reklamujący hotel City z Księgi Adresowej m. Krakowa na 1926 rok, archiwum K. Jakubowskiego.

po 150 marek za 1 kg. Zgłoszenia przyjmuje biuro Związku, ul. św. Anny 12”.

✎ **20 listopada.** Dzienniki przyniosły wiadomość o wizycie w mieście trzech delegatów z Wojskowej Misji Japonii w Warszawie, którzy zdążyli wcześniej odwiedzić Lwów. Egzotyczni goście zapoznawali się z polskim dziedzictwem kulturalnym, odwiedzając zabytkowe miejsca. Szczególnie entuzjastycznie odnieśli się do kolekcji Feliksa Mangghi Jasińskiego.

Stosunki dyplomatyczne z Cesarstwem Wielkiej Japonii Polska nawiązała rok wcześniej, jednak tylko w formule Misji Wojskowej. W 1921 roku Misję tę podniesiono do rangi poselstwa, placówki dyplomatycznej niższej rangi, zgodnie z ówczesną praktyką. Poselstwa najbardziej liczących się państw podnoszono później do rangi ambasad. Tak też stało się z poselstwem Japonii w 1937 roku.

✎ **25-27 listopada.** Brak węgla był ciągle nierozwiązanym problemem. Skutkiem tego wstrzymano ruch tramwajowy, a po zmroku wyłączono oświetlenie miasta. Brak światła spowodował odwołanie wszystkich seansów w teatrach i kinach. Sklepy, kawiarnie i restauracje używały lamp naftowych, a nawet świec – odnotowały dzienniki.

✎ **26 listopada.** Komunikat z „IKC”: „Magistrat przeznaczy, podobnie jak w latach ubiegłych, część Błoni miejskich na działki pod uprawę jarzyn. Zezwolenia będą udzielane na dwa lata za przepisana taksą, przede wszystkim dotychczasowym użytkownikom, którzy winni w tym celu zgłosić się do magistratu. Przydzielanie parcel w Oleandrach, gruntach pofortyfikacyjnych itp. będzie się odbywać dopiero w Nowym Roku”.

✎ **26 listopada.** Z kroniki „Głos Narodu”: Wczoraj o godz. 9 wieczór przywieziono na stację Pogotowia palacza Franciszka Siczka, zajętego w hotelu City, któremu przy wsypywaniu węgla i śmieci do pieców, jakiś materiał wybuchowy, znajdujący się widocznie w śmieciach, urwał trzy palce i kawałek dłoni. Palacza zaopatrzyło Pogotowie i odwiozło do Szpitala św. Łazarza”. *Należy wyjaśnić, że do 1939 roku, na obecny hotel Royal składały się – obok największego, o tejże nazwie – także hotele Union i City. Czwartą budynek w tym kompleksie był luksusową kamienicą mieszkalną, z otwartym widokiem na Planty. Wspomniany hotel City to – patrząc z przeciwnej strony ul. św. Gertrudy – trzeci z kolei budynek za hotelem Royal, oznaczony nr 28.*

✎ **28 listopada.** „Przed sądem przysięgłych odbyła się rozprawa przeciwko robotnikowi Janowi Ślęzakowi, lat 58. Obwiniony aresztowany został 7 czerwca br. w chwili, gdy na pl. Wolnica rozdawał wśród ludności cywilnej i wojskowej drukowane odezwy treści komunistycznej, wydane przez Komitet Centralny Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Trybunał skazał go na podstawie werdyktu przysięgłych na 3 lata ciężkiego więzienia” – relacjonował „Głos Narodu”.

✎ **28 listopada.** „Policja wykryła ubiegłej nocy tajny dom gry, uprawianej w mieszkaniu niejakiego Markusa Monderera przy ul. Podbrzezie 5. W chwili gdy policja weszła do mieszkania,



Długi i wąski, wsparty na sześciu filarach lokal przy ul. Sławkowskiej 30, mieścił od 1928 roku salon firmy Fiat. Dziś działa tam sklep kosmetyczny, fot. 1928, archiwum K. Jakubowskiego.

zastała kilkudziesięciu graczy przy grze hazardowej w »wasze-nasze« i »szmendę«. W banku znaleziono kilka tysięcy marek, które zakwestionowano. Uczestników gry i właściciela mieszkania aresztowano” – relacjonował reporter „Nowej Reformy”.

✎ **30 listopada.** Dzienniki przyniosły wiadomość o otwarciu siedziby Ziemskiego Banku Kredytowego przy ul. Szczepańskiej 1.

✎ **30 listopada.** W prasie anonsowano otwarcie kawiarni Renaissance przy ul. Sławkowskiej 30. Powstała ona w miejsce działającej tam wcześniej kawiarni Japońskiej, z inicjatywy grupy ziemian kresowych. Jak zapewniano, obsługę stanowią wyłącznie „osoby z towarzystwa”. *Szczytna inicjatywa nie powiodła się. Wkrótce zmienił się szyld i odtąd była to restauracja i kawiarnia Kresy. Ten typowo dancinowy lokal działał do końca 1928 roku, kiedy to salę wynajął krakowski przedstawiciel Fiata Jan Kowalski na firmowy salon samochodowy. Po ostatniej wojnie (do 1969 r.) działała tam świetlica i stołówka Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów.*



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Cicho jak w Sieradzu

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcie: Piotr Kubica (reprodukcja za zgodą Sceny STU)

Poniedziałek

„Nie odczuwa potrzeby zadawania się z ideami generalnymi ani szukania prawd absolutnych i uniwersalnych” – powiada w drugim tomie *Dziennika* Sławomir Mrożek o powieści *Dar* Vladimira Nabokova i o Nabokowie samym. „Jest tak pochłonięty światem, tak pewny, przekonany od urodzenia, że najprostsze zjawiska są same w sobie oszałamiającą (i fascynującą) otchłanią”. W innym miejscu „najprostsze zjawisko” nazwie Mrożek „zmysłowym konkretem świata”. Sam Nabokov mówi prościej, jaśniej: „Detal”. I dorzuca: „W sztuce detal jest wszystkim”. Nie tylko w sztuce. Nie tylko w sztuce drobiazg pozwala nie zajmować się całą napuszoną resztą. Na tym zasadza się moc drobiazgu. Pamiętacie o marzeniu Brunona Schulza: stworzyć powieść, której początkiem będzie otchłań ludzkiej twarzy? Detal więc. Na przykład – twarz Jacka Romanowskiego w roli Księdza w seansie *Ci, co mnie niosą*, na kanwie noweli Mrożka wyreżyserowanym przez Artura „Barona” Więcka w teatrze Scena STU. Maską ta zwalnia z mówienia o reszcie dzieła, co o tyle łatwe, że reszty dzieła – w istocie brak.

Wtorek

Oto gdy kruszeje w Księdzu nadzieja, gdy sypie się stary i dobry, bo prosty plan powiększenia zbioru wiernych w gminie o jedną świeżą owieczkę – twarz Księdza zmienia się w figurę zdumionej dobroduszości. Zdumionej, gdyż retoryczne chwytły proboszcza działały zawsze i nawet najoporniejsi w końcu padali krzyżem, a tu, pierwszy raz w historii proboszczowskiego łowiectwa duchowego – fiasco zupełne! Wybija w STU połowa seansu, na plebanii dysputę o zbawienie duszy owieczki Ksiądz z owieczką toczy, sięga po kiedyś niezawodny banał teologiczny, nerwy nieco mu puszczają, podnosi głos, a owieczka – nic! Beton! Nie bieje! Mowa Księdza – jak różańcem o mur! Mężczyzna (Zbigniew W. Kaleta) odrzuca biel, zostaje przy smole... A po chwili ktoś proboszcza z plebanii wyciąga do ważkich spraw parafialnych... Ulga duchownego? Być może... I wtedy proboszczowska maska zdumionej dobroduszości przywołuje naraz zupełnie inną maskę zdumionej dobroduszości. Twarz nieszczęsnego Jerry’ego Lundegaarda przybywa z przeszłości. Przypomina się ona i całe

Fargo, finezyjnie niejednoznaczny film braci Ethana i Joela Coen. Wraca tamta filmowa zima, wracają gigantyczne śnieżne połacie płaskiej Minnesoty, na tle których Jerry’emu, owej myszy doszczętnie zahukanej tak w życiu rodzinnym, jak i w prowincjonalnym biznesie motoryzacyjnym, kruszeje nadzieja na szybkie, wielkie pieniądze.

Piątek

Niebywały to film. Na pozór – ot, miła, bezpretensjonalna i lekka parodia, a raczej groteskowy pastisz starego kina noir. Czerni niby w pastelowy, ciepły nawias wzięta, niby nieprzerazające sceny zabijania i szatkowania zwłok przepływają łagodnie, niby godna odpustowej sztuczności krew ludzka tryska obficie, słowem – kryminał pluszowy. Miś, co klapnięte uszko ma. Na pozór – owszem. Tyle że nie sposób, oglądając *Fargo*, uwolnić się od uczucia, że coś nieodpustowego snuje się pod odpustową powłoką opowieści. Plan nieszczęsnego Jerry’ego jest wzruszająco naiwny, dziecinny. Zorganizować porwanie swej żony – rzecz jasna tak, by włos z głowy jej nie spadł – odebrać od zniechęconego teścia worek dolarów okupu, pół worka dać wynajętym przez siebie porywaczom, a za swoje pół rozkręcić interes bajeczny i wreszcie przestać być myszą, amen. Rzeczywiście – przedszkolna prostota. Cóż może pójść nie tak? Nic! Absolutnie nic! Spokój więc zagościł w sercu wielkiego stratega... Problem jednak w tym, iż jeden z porywaczy zapomniał przykręcić tablice rejestracyjne w samochodzie, którym wiozą uprowadzoną żonę do domku nad zamrzniętym jeziorem, by tam czekać na wyplatę. A policja stoi przy drodze i... I tak dalej. Nieuchronnie coraz gorzej, coraz ciemniej, po wielu trupach. Pech?

Sobota

Pensjonarską naiwnością byłoby twierdzić, że bracia Coen sklecieli oto zabawny kryminał o zgubnym, a nawet ostatecznie zgubnym wpływie pecha na życie człowieka. Bo przecież gdyby kretyn przykręcił rejestracyjne tablice albo gdyby patrol stał przy innej drodze albo gdyby policjantom nie chciało się w mróz potworny wyłączyć z radiowozu i, z nosami w kubkach z gorącą kawą, machnęliby ręką na mijający ich pojazd bez tablic... Nie. U braci Coen nie ma „gdyby”. Nie istnieje wybór:



Jacek Romanowski i Zbigniew W. Kaleta w *Ci, co mnie niosq* / fot. Piotr Kubica (za zgodą Sceny STU)

„albo to, albo tamto”. W *Fargo* ciemność zjawia się w świetle i narasta nie dlatego, że pech się światu przytrafił i uchylił furtkę przed ciemnością. Bracia Coen nie bawią się w serwowanie ludzkości żałosnego pocieszenia: omijaj pecha, a wszystko pójdzie w życiu jak po maśle! Wedle braci Coen ciemność by się zjawiała także wtedy, gdyby wszystko poszło po maśle, albowiem ciemność się nie przytrafia, ona po prostu – trwa. Choćby tutaj, tuż pod szalenie miłymi połączeniami śniegu w sennej, prowincjonalnej Minnesocie. Albo pod szalenie zabawnymi opowieściami Sławomira Mrożka. Nie, nie pod wszystkimi. Lecz pod większością – owszem. I trwa sobie ciemność – bez pomocy pecha. Chyba że całe życie uznać za jednego długiego pecha.

Niedziela

Może lepiej nie mówić: „Ciemność”, lecz skromniej, bliżej ciała: „Pan Hyde”? W pamiętnej noweli Roberta Louisa Stevensona londyński lekarz, doktor Jekyll, odkrywa eliksir przemiany i po wypiciu go wypuszcza z siebie, niczym dzina z butelki, pana Hyde’a, figurę mroczną, nieuchwytną. Lecz tak jak

ciemność naprawdę nie potrzebuje pecha – Hyde, by istnieć, naprawdę nie potrzebuje eliksiru. Pod oficjalną powłoką, zwaną doktorem Jekyll, trwa Hyde zawsze, od początku doktora Jekylla, po kres doktora Jekylla. I trwa równie mocno i realnie jak Jekyll. W finałowym rozdziale noweli Stevensona doktor wyzna: „Nie byłem bardziej sobą, kiedy odrzucałem powściągliwość i zanurzałem się w bezwstydzie, niż gdy pracowałem na widoku wszystkich, dla powiększenia wiedzy lub ulżenia chorem i cierpiącym”. A zdanie wcześniej: „Choć nosiłem w sobie dwie tak różne natury, nie byłem hipokrytą, obie moje strony były prawdziwe”. Jedna strona słów Mrożka, strona, powiedzmy, nieoficjalna, strona trzech gigantycznych tomiszczy *Dziennika*, jest tak samo prawdziwa jak oficjalna strona jego słów, strona opowiadań, powieści, radiowych słuchowisk, scenariuszy i wreszcie sztuk teatralnych.

Poniedziałek

Trzy opasłe tomy? Od roku 1962 do 1989? Aż tyle? Skądże! Jakie „aż”? Nie „aż”, lecz „jedynie”! Bo tyle ocalało. „We wrześniu, czternaście lat

temu, zacząłem pisać dziennik. W październiku, trzy lata temu, spaliłem bez żalu kilkanaście albo dwadzieścia kilka tomów, po dwieście stron blisko każdy”. Tak Mrożek w roku 1962 otwiera pierwszy tom. Zaczął więc naprawdę – w roku 1948. Czyli odkąd pisał – podwójnie pisał, równolegle, zarazem na powierzchni i na podszewce, słowa nieoficjalne pod słowami oficjalnymi. Uporczywy pan Hyde, spacerujący jakby z głową w dół po odwrotnej stronie ścieżek, którymi w świetle ramp tysiąca teatrów świata całego spacerowali wszyscy bohaterowie Mrożka. Nie mam na myśli zbrodniczości pana Hyde’a. Mam na myśli jego mroczną nieuchwytność, przeciekanie jego istoty przez palce, jego potworną

Z Mrożka nie jest ani tylko tani metafizyk, bujający w litych ciemnościach międzygwiazdnych, ani tylko równie tani satyryk narodowy, karcący współplemieńców wicami o nadwiślańskim mędrku, chamie nadwiślańskim oraz wszelkich naszych nieusuwalnych wadach bogoojczyźnianych.

znikliwość. Mrożka *Dziennik* można nazwać tak bądź siak, ale nie można oznajmić, że jest to zapis pewności. Pajęczyna miliona pytań zawsze bez odpowiedzi, maniakalne błąkanie się po najdziwniejszych zakamarkach swojej głowy, dzielenie włoska każdej refleksji już nie na cztery włókna, nie na osiem, a na szesnaście. Tym jest *Dziennik*. I czymś jeszcze, może tym zwłaszcza. Perwersyjnym smakowaniem bycia jak palec. 7 kwietnia roku 1976 pisze Mrożek do samego siebie: „Dokąd to się wybierasz – ty mój? Po co?”. Wiele, wiele razy będzie do swego „ja” mówił „ty”. Tego samego dnia, kiedy notuje sobie w *Dzienniku* pomysł na nowelę *Ci, co mnie niosą*, wyznaje też sobie, że czeka na opowieść George’a Perreka *Człowiek, który śpi*, opowieść napisaną w drugiej osobie, jak list, tyle że – do samego siebie. Ktoś kiedyś rzekł, iż gramatyka drugiej osoby liczby pojedynczej jest w literaturze gramatyką samotności. Tak.

Środa

Gdyby odrobinę podłubać w noweli *Ci, co mnie niosą*, gdyby to i owo pozmienić w stylistyce, uprościć rytm – myślę, że mało kto odróżniłby ją od dowolnie wyjętego z *Dziennika* Mrożka fragmentu. Jest bowiem tak, jakby właśnie w *Tych, co mnie niosą* – bajce wielu pytań bez nadziei na odpowiedź, bajce włosów dzielonych na szesnaście włókien każdy, bajce niepewności i zupełnie pomieszanych kierunków świata, bajce będącej spowiedzią z bezradności – na chwilę mieszały się nurty Mrożka, ten dolny, z tym, co sunie górą. Jest

tak, jakby nowela ta przypominała, że świat Mrożka jest cały wtedy i tylko wtedy, gdy pozostaje niejednoznaczny, podwójny, tańczący jednocześnie w dwóch odmiennych tonacjach, jak *Fargo* braci Coen, jak doktor Jekyll z już pustym po eliksirze przemiany kieliszkiem w palcach, bądź jak Nabokov w *Darze* i całej swej bajkowej reszcie.

Piątek

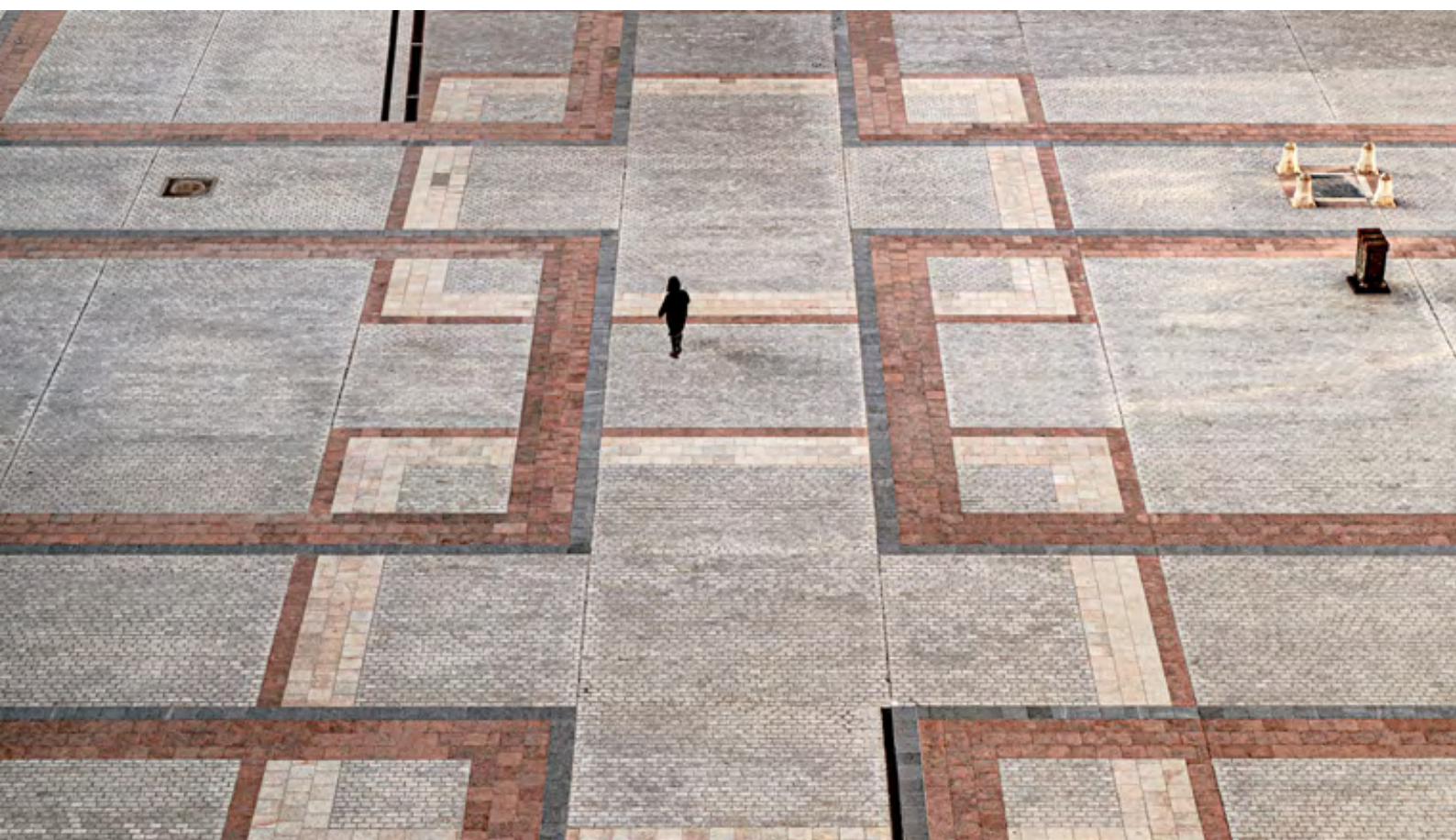
Seans „Barona” Więcka zmienia oryginał Mrożka w dziecięce streszczenie. Nie ma sensu powtarzać. Jak w *Innych rozkoszach*, poprzednim, na tej samej scenie reżyserowanym przez „Barona” Więcka seansie, udało mu się znaleźć sceniczną odpowiedź na prozatorskie, niejednoznaczne tańcowanie fraz Jerzego Pilcha, tak tutaj... nie znalazł, mówiąc wielkodusznie. Paradoks polega na tym, że będąc seansem, którego nie ma, nowy seans „Barona” Więcka – równo 90 lat od urodzin Mrożka i w teatralnej rzeczywistości, co jak diabła boi się zdań pełnych, pieszczących detale, sięga więc po bełkot ćwierć zdank – przypomina o potędze Mrożka, a zwłaszcza o wrodzonej niejednoznaczności wszystkich, prawie wszystkich jego opowieści. O tym po prostu, że z niego nie jest ani tylko tani metafizyk bujający w litych ciemnościach międzygwiazdnych, ani tylko równie tani satyryk narodowy, karcący współplemieńców wicami o nadwiślańskim mędrku, chamie nadwiślańskim oraz wszelkich naszych nieusuwalnych wadach bogoojczyźnianych. Wyjdzie coś z tego paradoksalnego przypomnienia? Przystaną teatry bełkotać? Zaczną mówić na powrót po ludzku, zdaniami pełnymi, nęcącymi świat wieloma detalami, przy których rozsypują się, Boga chwalić, wszystkie napuszone idee generalne?

Niedziela

Pytania z piątku przypominają mi wizytę moją na grobie twórcy *Tych, co mnie niosą*. Panteon Narodowy, labirynt w podziemiach Kościoła św. Piotra i Pawła. Tydzień? Tak, nie dalej jak tydzień po pogrzebie to było. Tydzień od finałowego „amen” minął – a już polska normalność. W korytarzach, w kryptach, przy mogile, słowem wszędzie. Wszędzie cicho i pusto jak o północy w Sieradzu. Tak, za ledwie tydzień po pogrzebie siedem lat temu. Więc cóż dopiero dziś.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



Mój niezwykły Tata

Tekst: Łucja Mróz-Raynoch Ilustracja: Daniel Mróz

Mój tata, Daniel Mróz, był barwną postacią. Przed wojną nosił się à la Clark Gable – wąsik, brylantyna, garnitur, szpan. Po wojnie popadł w abnegację – wrócił na uczelnię w amerykańskim szynelu z demobilu, włosy długie, przyciasne buty rozprute na piętach, spodnie za krótkie. Takiego poznała go mama. Później, kiedy pracował w „Przekroju”, trochę bardziej dbał o wygląd, ale zawsze na pierwszym miejscu stawiał wygodę, modę miał za nic.

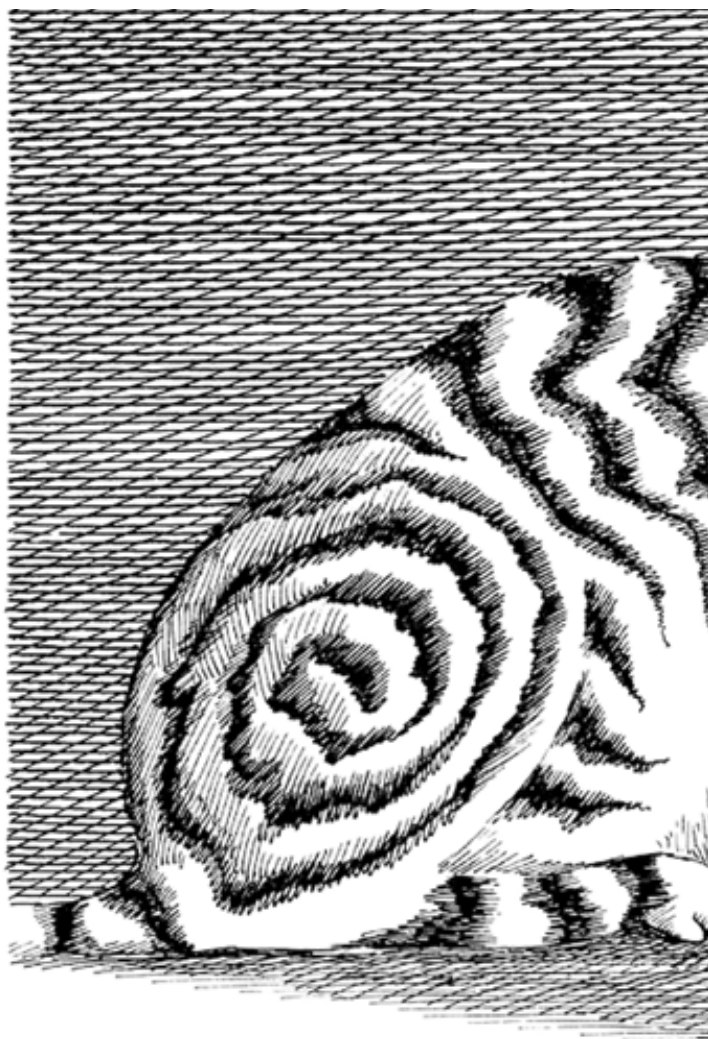
Rodziną krakusów jesteśmy od trzech pokoleń.

Dziadek Stanisław Mróz urodził się w 1881 roku w Pułtuskach, uczył się w Warszawie na aptekarza i wdał się w działalność socjalistyczną w radykalnym skrzydle PPS-u. Aktywnie uczestniczył w rewolucji 1905 roku. Z tego powodu miał później problemy sądowo-więzienne, ale karę zesłania zamieniono mu w końcu na nakaz opuszczenia granic Imperium Rosyjskiego. Jak wielu konspiratorów wybrał stosunkowo tolerancyjny zabór austriacki, tym bardziej że był tu wcześniej, by nawiązywać tajne kontakty z drukarzami w Krakowie.

W chwili wybuchu I wojny światowej miał trzydzieści trzy lata. Prócz aptekarstwa i działalności konspiracyjnej żywo interesowały go poezja, plastyka, wszelaka awangarda i to doprowadziło go do zawodu dziennikarza.

Babcia, Barbara z domu Dorociak, pochodziła z Zaleszczyk i też z jakiegoś powodu zjechała do Krakowa. Poznali się prawdopodobnie na PPS-owskim zebraniu. Jeszcze zanim się pobrali, babcia mieszkała u znajomych przy ulicy Świętego Krzyża. Bywał tam Lenin, o którym babcia opowiadała, używając przy tym bardzo dosadnych określeń. Ojciec wyniósł więc niewyparzony język z domu, a kiedy pracował jako tragarz w czasie wojny, jeszcze go sobie wzbogacił.

Zamieszkali przy ulicy Wygoda, dziś w centrum Krakowa, wtedy były to prawie przedmieścia. Odwiedzali ich między innymi Leon Chwistek oraz Mojżesz Kisling, zanim wyjechał do Paryża. Dziadek z synami był u Feliksa Jasieńskiego Mangghi, stąd zachwyty taty japońskimi drzeworytami. Dziadek najpierw pracował w konserwatywnym dzienniku „Nowa Reforma”, do którego pisywał recenzje literackie i teatralne. Kiedy w 1927 roku pismo przejął konserwatywny Kurier Codzienny, Marian Dąbrowski powierzył dziadkowi stanowisko redaktora literackiego, a tak naprawdę szefa pisma „Na szerokim świecie”. Mimo lewicowych poglądów dziad-

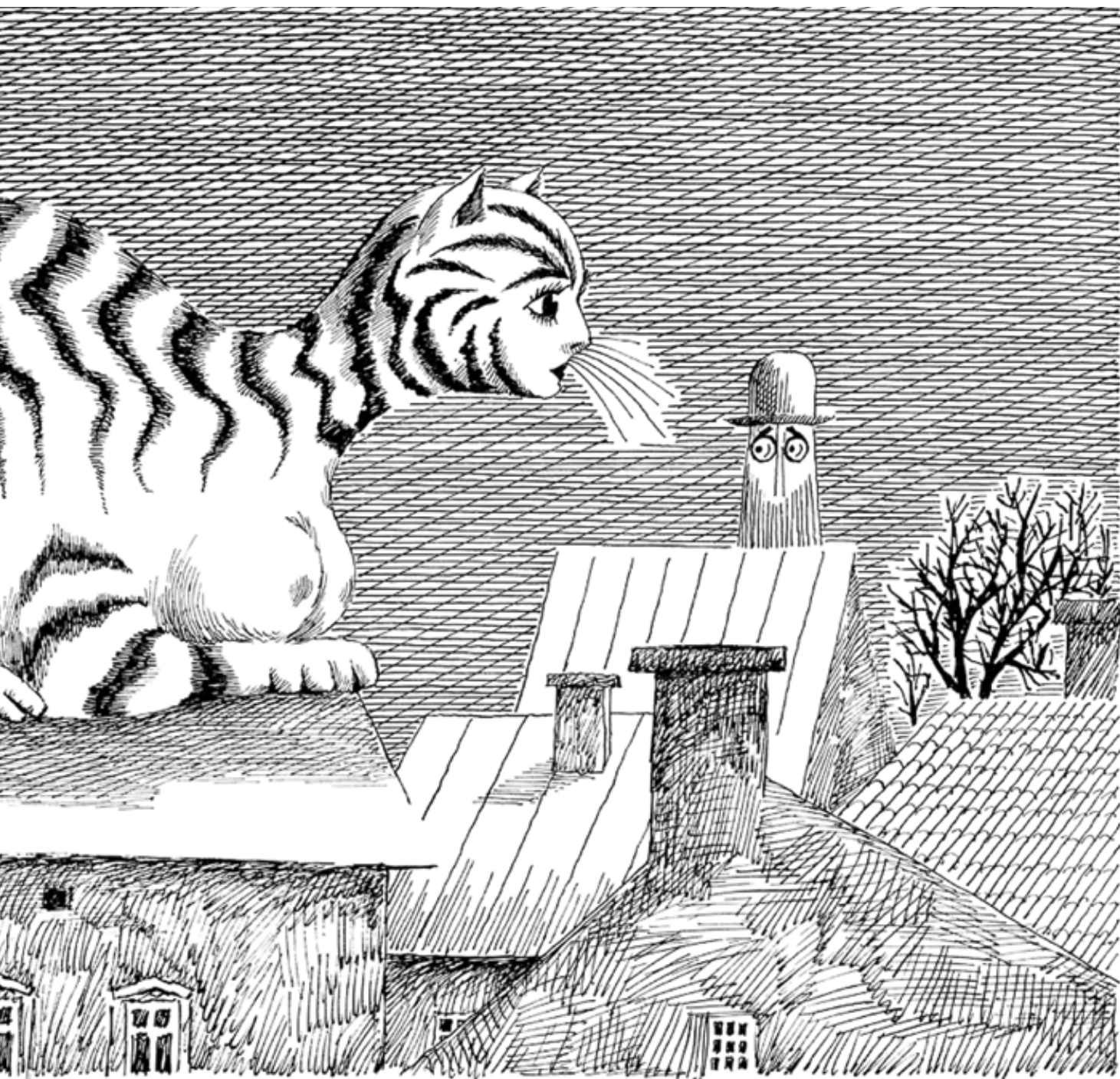


ka, nieprzystających do linii koncertu, Dąbrowski dał mu wolną rękę, a dziadek starał się tworzyć pismo popularne, ale też kształtował poglądy i gust czytelników, podając im w lekki sposób również ambitniejsze tematy – przykładem rubryka „Antena poetów” prezentująca awangardową poezję. Sporo też jeździł po świecie. (...)

Ojca wyrzucali ze wszystkich renomowanych szkół krakowskich, za – jak mówił – nieuctwo i beczelność. Ale kilkadziesiąt lat po maturze zaskakiwał mnie tym, że pamiętał właściwie cały materiał szkoły średniej. Liczył znakomicie „w głowie”, historię miał w jednym palcu, świetnie się orientował w geografii.

Widać nie było tak źle z nauką, skoro pamiętał język nieużywany od matury i w latach 60., w Paryżu, dogadał się po łacinie. Bardzo dobrze znał niemiecki, ale Francuzi w tym czasie reagowali na ten język alergicznie. W Paryżu się zgubił i kiedy zobaczył księdza, to zapytał o drogę po łacinie. Zaczęli rozmawiać, a ksiądz wziął go za kolegę po fachu, tym łatwiej że tata nosił się wtedy na czarno i ascetycznie.

Szkolne kłopoty brały się więc raczej z charakteru ojca. Dziadkowie widzieli jego przyszłość w ciemnych barwach, ale to po nich pewnie odziedziczył zadziorność i roznosiła go energia. W końcu na szczęście się opamiętał i zapisał się do Państwowej Szkoły Sztuk



Tatuś biegał oglądać samochody, grał w piłkę, wiosłował, boksował, chodził do kina i na cyrkowe pokazy zapaśników, tylko do nauki się nie palił. Dużo czytał, choć książki służyły mu również jako wypełnienie dwóch walizek do ćwiczeń w podnoszeniu ciężarów. Z boksu zrezygnował, kiedy trafił na sympatycznego przeciwnika i doszedł do wniosku, że to bez sensu bić się po twarzach z miłym człowiekiem.

Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego. Maturę klasyczną zdał eksternistycznie w Gimnazjum św. Jacka w 1939 roku.

Dziadkowie odetchnęli, bo wcześniej Daniel zadawał się z tak zwaną „agarnią”. To krakowskie określenie młodzieży może nie przestępczej, ale wałęsającej się i rozrabiającej, takich ówczesnych blokatorów. Z tych czasów ojczulek wyniósł różne dziwne kontakty i barwne wspomnienia – na przykład o braciach Cyrankiewiczach, którzy w dzielnicy Zwierzyniec budzili respekt bitością. Józef Cyrankiewicz zajął się wkrótce działalnością polityczną w PPS. A tatuś biegał oglądać samochody, grał w piłkę, wiosłował, boksował, chodził do kina i na cyrkowe pokazy zapaśników, tylko do nauki się nie palił. Dużo czytał, choć książki służyły mu również jako wypełnienie dwóch walizek do ćwiczeń w podnoszeniu ciężarów. Z boksu zrezygnował, kiedy trafił na sympatycznego przeciwnika i doszedł do wniosku, że to bez sensu bić się po twarzach z miłym człowiekiem.

Sport nauczył go dyscypliny: do końca życia codziennie ćwiczył hantlami i się gimnastykował. Wstawał przed szóstą rano, przygotowywał „coś dla zdrowia”, na przykład wodę z miodem i drożdżami, a potem brał hantle i na balkonie ćwiczył zawzięcie przez dwie godziny. Na kartkach zapisywał liczbę powtórzeń – serie po sto, później, gdy już był schorowany, po parędziesiąt podniesień. Mimo że tak dawał w kość, a przed wojną wychowywano dzieci surowo, to przemocy w domu doświadczył tylko raz, gdy miał około osiemnastu lat i blisko dwa metry wzrostu. Musiał strasznie rozwścieczyć babcię, bo złapała go za ubranie i cisnęła nim o ścianę. Nie była zbyt wysoka, ale bardzo krzepka. Dziadek wołał wychowanie przez przykład i perswazję.

Na mnie ojciec też ręki nigdy nie podniósł, czasem tylko wrzasnął.

Nie wiem, jak ojciec funkcjonował przez całe życie bez okularów. W jednym oku miał plus, w drugim minus – i to potężny, co powodowało pewnie problemy z widzeniem przestrzennym. W wojsku dali mu najniższą kategorię, więc po maturze zgłosił się do Junackich Hufców Pracy i pojechał budo-

wać fortyfikacje nad Wisłą. Ówczesne normy nie przewidywały, że junak może mieć buty większe niż 45, a te cywilne wkrótce się rozpadły. Gdy po wybuchu wojny zarządono pieszy odwrót batalionu przez Lwów, pół drogi przeszedł ojciec boso. Nauczył się wtedy, że można maszerować, śpiąc. Szczęśliwie udało mu się jakoś dotrzeć do Krakowa.

Przedwojenne pasje sportowe ojca i poznawanie życia wśród młodzieży „z dzielnicy” teraz się przydały, bo trzeba było po stracie rodziców dać sobie radę w wojennej rzeczywistości. Najpierw krótko pracował jako goniec w Deutsche Banku, ale szybko znalazł robotę jako tragarz w magazynach żywnościowych Trunkenpolza. Trunkenpolz był Austriakiem, który jako jeden z pierwszych wstąpił do NSDAP i dzięki temu miał tam mocną pozycję, mimo to okazał się przyzwoitym człowiekiem. Zatrudniał polskich robotników i musiał wiedzieć, że oni go stale okradali, ale przymykał na to oko. Każdy pracownik żywił siebie, rodzinę i znajomych tym, co tam zwędził. Rekordzista „rozprowadził” cały wagon cytryn. Podobno po wojnie, kiedy weszli Rosjanie i aresztowali Trunkenpolza, robotnicy go wybronili i wyciągnęli z więzienia.

Ojciec czasem dyżurował w tych magazynach jako nocny strażnik. Kiedyś przyszli gestapowcy i zaczęli się dobijać. Żądali otwarcia bramy, może chcieli kogoś aresztować, a ojciec, udając, że nie wie, z kim ma do czynienia, odpowiedział: „Każdy może mówić, że jest z gestapo!”. Nie otworzył i dość ordynarnie, po niemiecku, kazał im się wynosić. Zrobiła się afera, rano gestapowcy przyszli ze skargą do Trunkenpolza. A ponieważ ten stwierdził, że tego strażnika wręcz nagrodzi za tak służbiste pilnowanie jego magazynów, więc sprawa przyschła.

Pod koniec wojny ojciec postanowił prysnąć na Zachód. Chciał odszukać swoją przedwojenną sympatię, która została wywieziona do obozu w Rzeszy. Doszły wieści, że przeżyła. Znalazł ją, ale dziewczyna już ułożyła sobie życie. Po drodze miał różne dramatyczne przygody, na przykład kiedy w Pradze poszedł się wykąpać w Wełtawie, ukradli mu ubranie i biegał w kąpielówkach po mieście, w dodatku bez dokumentów.

W Niemczech przez jakiś czas pracował w strefie amerykańskiej jako strażnik w obozie jenieckim dla Niemców, ale skonfliktował się z innymi strażnikami, bo uważał, że jeniec Niemiec to też człowiek, co nie było poglądem zbyt popularnym. Potem znalazł zatrudnienie w obozie dla repatriantów jako nauczyciel rysunku w Polskiej Szkole Powszechnej w Bergen-Belsen. Wystawiali w świetlicy jakieś jasełka, do których robił scenografię. Był tam już prawie rok i zastanawiał się, czy zostać. Aż kiedyś poszedł do miasta, to było w 1947 roku, i w antykwariacie zobaczył pocztówki Zofii Stryjeńskiej. Chwyliła go taka nostalgia, że czym prędzej zwinął manatki i wrócił. (...)

Mama skończyła Wydział Tkaniny Artystycznej na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Znali się z tatą sprzed wojny, ze Szkoły Przemysłowej, ale tylko z widzenia. Mama jako małe dziecko straciła oboje rodziców i wychowywała ją wujostwo w Kielcach. Została przez nich posłana do klasztornej szkoły w Staniątkach, ale nie zniosła reżimu. Uciekła do Przemysłówki w Krakowie, gdzie zdała maturę. Tata przed wojną wybrał tę szkołę, by zdobyć jakiś konkretny zawód, a można tam było się uczyć, nie mając matury. W 1947 roku wrócił na Wydział Grafiki i Poligrafii, który po połączeniu Szkoły Przemysłowej z Akademią Sztuk Pięknych przemianowano na Wydział Grafiki. W 1953 roku obronił na ASP dyplom z grafiki książki, a wcześniej, w 1951 roku ukończył trzyletnie studium scenograficzne prowadzone przez Mariana Eilego. I to właśnie Eile wypatrzył zdolnego studenta i już w 1949 roku zaproponował mu współpracę z „Przekrojem”. (...)

Słyszałam, że się ojca bano, ponieważ był silny, wielki, a kiedy się zdenerwował, to straszliwie ryczał – człowieka dosłownie wbijało w ziemię. No cóż, miał prawie dwa metry i był kiedyś bokserem. Można się przestraszyć. Przy tym wszystkim ojciec zupełnie nie przejawiał skłonności do agresji fizycznej, chyba że go zaczepiono. Zresztą mnie też uczył, że kiedy ktoś cię zaczepia, to z góry zakładaj najgorsze intencje. Nie martw się, co będzie, tylko się broń tak, jakby ten ktoś chciał cię zabić. To chyba wzięło się stąd, że przed wojną ojciec mało nie zginął. Szedł kiedyś z bratem i jego narzeczoną, a trzeba dodać, że Sokrates był dosyć tęgi i chociaż też bardzo wysoki, wyglądał fajtłapowato. Jakiś typ go zaczepił, ojciec stanął w jego w obronie, a napastnik na widok potężnego przeciwnika wyciągnął nóż. Całe szczęście, że nie trafił dokładnie, ojciec dostał cios centymetr od serca.

Był wybuchowy, chociaż złość szybko mu przechodziła. Jako dziecko bardzo się tych ojca krzyków bałam. Dopiero jako dorosła połapałam się, że to zasłona dymna, pancerz przykrywający wrażliwość. Tata nie dość, że jak to choleryk cierpliwy nie był, to jeszcze miał ducha przekory i między nami zdarzały się starcia. Wiadomo, dorastający człowiek bardzo serio traktuje swoje przekonania, a kiedy ja mówiłam „czarne”, to on dla zasady odpowiadał: „białe”. No i dochodziło do ryków i wrzasków. Na szczęście zawsze szybko się kończyło. Za chwilę ojciec przychodził, klepał mnie po plecach, stwierdzał: „Dobra już, dobra, ty wariat, ja wariat”.

Do czasu studiów miałam mało kontaktu z ojcem, bo on głównie siedział w redakcji, a kiedy nie siedział w redakcji, to pracował w domu. A gdy ojciec siedział i rysował, to mu się nie przeszkadzało. (...)

Ojciec miał swój pokój, ale pracował tam, gdzie przebywała mama. Jeśli w kuchni

(a kuchnię mieliśmy dużą w mieszkaniu na Mikołajskiej), to tata zasiadał w kuchni i rysował. Pracowali też wspólnie – przy plakatach, kolażach. Mama była pierwszym krytykiem i doradcą: „Kocie, popatrz, co myślisz, który wolisz?”. Bo do każdego rysunku robił zawsze kilka szkiców. Chyba nie lubił pracować w samotności. W redakcji, w niewielkich pokojkach siedziało po kilka osób, a ojciec był w stanie się skupić i ciągnąć swoje kreseczki w całym tym zgiełku.

Tata robił rysunki również dla innych wydawnictw, ale finansowo szaleństwa nie było. Ludzie myśleli, że skoro pracuje w „Przekroju”, to jest milionerem, ale Eile dosyć słabo płacił. Uważał, że sam fakt publikowania w „Przekroju” nobilituje – i tak było. Ojciec niespecjalnie umiał się o swoje wynagrodzenie upominać, więc pracował na okrągło.

Wyjeżdżał za granicę, lecz kilka razy został oszukany. W latach 60. organizowano mu wystawę w Paryżu, u Romanowicza, w Galerii Lambert. Ministerstwo Kultury postawiło sprawę tak, że jeśli zrezygnuje z wystawy w tej źle przez PRL-owskie władze widzianej galerii, to dostanie paszport. W przeciwnym razie nigdzie nie wyjedzie. Nie pomógł list Eilego do ministerstwa z poparciem starań. W końcu ojciec z wystawy zrezygnował, ale prace pojechały już wcześniej (a załatwienie zezwoleń na wysyłkę to była męka) i znajomi w Paryżu obiecali, że postarają się znaleźć dla nich jakąś inną galerię. Po dwóch latach, gdy miał wystawę w Belgii i zjechał po drodze do Paryża, usłyszał: „Ale jakie rysunki?”.

W ten sposób przepadła duża część najlepszych dzieł taty. Również później był oszukiwany. Na Zachodzie wiedziano, że artysta z demoludów nie może się oficjalnie upomnieć o swoje, bo ani go nie stać na prawnika, ani oficjalnie nie wolno mu tam zarobić – więc niektórzy wykorzystywali sytuację. Ale nie oduczyło go to zaufania do ludzi. Nigdy nie umiał pilnować swoich interesów i spraw codziennych.

Rzeczy praktyczne spadały na mamę.

Ilustracja Daniela Mroza (do tekstu: Jerzy Szaniawski, *Profesor Tutka. O potędze teatru*, „Przekrój” 1959, nr 759) oraz fragment książki *Przekrój przez Mroza* – za łaskawą zgodą autorki tekstu i wydawcy.



Lucja Mróz-Raynoch jest absolwentką Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie, autorką animacji i opracowań plastycznych do wielu filmów, między innymi *Metamorfozy* oraz *Kule i koła*. Reżyseruje, pisze scenariusze, a także zajmuje się scenografią.

Jak odpoczywać w pandemii. Rzecz o Januszu Majewskim

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: na licencji Wikimedia Commons (Fryta 73)

Co robią artyści w czasie pandemii? Może rozpaczają, może czekają na lepsze czasy, a może znajdują sobie inne zajęcia? W tym kontekście będzie o Januszu Majewskim. Bo świetny reżyser, autor 53 filmów kinowych, ponad 40 widowisk telewizyjnych i kilkunastu przynajmniej filmów krótkich, właśnie czeka na wydrukowanie... tomu opowiadań.

Pisanie to dla tego autora nie pierwszozna! Jest i zawsze był reżyserem piszącym. Albo lepiej powiedzieć: jest twórcą wszechstronnym, który pisze i bywa operatorem, a w niektórych filmach na początku twórczości zajmował się i scenografią. Ale literatura jest rzeczywiście dla niego podstawą. Często przecież sam pisze sobie powieści, potem robi z nich scenariusze, a w końcu realizuje według nich filmy. Przykładem ostatni jego tytuł, czyli *Czarny mercedes*. Była powieść, był zrobiony na jej podstawie scenariusz, był wreszcie idący z powodzeniem przez zeszłoroczne ekrany film. Pandemia zaś przerwała realizację miniseriału telewizyjnego według tej fabuły.

Podobnie było wcześniej, a dowodem *Siedlisko* i *Zima w Siedlisku* (powieść, a potem serial telewizyjny), *Mała matura* (2010), powieść, która stała się fascynującym filmem o Krakowie 1947 roku, albo *Po sezonie* (2006), minipowieść „seksualna”, która przerodziła się w jeden z najpiękniejszych filmów erotycznych. Itd.

W tym miejscu reżyser zawołałby mocnym głosem: „Pisałem też bezinteresownie”, a więc, jak zwierzał się w wywiadach, tworzył „miniatury, które bawiły mnie samego”. I które nie chciały stać się filmami. Powstawały z potrzeby serca lub bardziej – z nieskończonej wyobraźni. I z odwagi, i z finezji. To wszystko prawda. Taki był choćby poprzedni tom jego opowiadań, czyli przekorny i swobodny *Exhibicjonista: opowiadania nie tylko erotyczne* (2002).

Ale dodałabym tu tytuł jeszcze jednej powieści, która też nie stała się filmem, i pewnie się nie stanie, choć jest najbardziej oryginalną i piękną pozycją w piśmarstwie Majewskiego. Oryginalną, bo niespodziewanie reporterską, ale także fikcyjną, naładowaną życiowym spokojem i zgodą na wszelkie doświadczenie. To rzecz o tajemniczym tytule *Glacier Express 9.15*. Jest to nostalgiczna podróż szwajcarskim pociągiem ekspresowym, tak się nazywającym, przez Alpy i... przez życie reżysera, ze starym przyjacielem, nieżyjącym już, znakomitym operatorem filmowym, wyrzuconym z Polski po 1968 roku Kurtem Weberem.

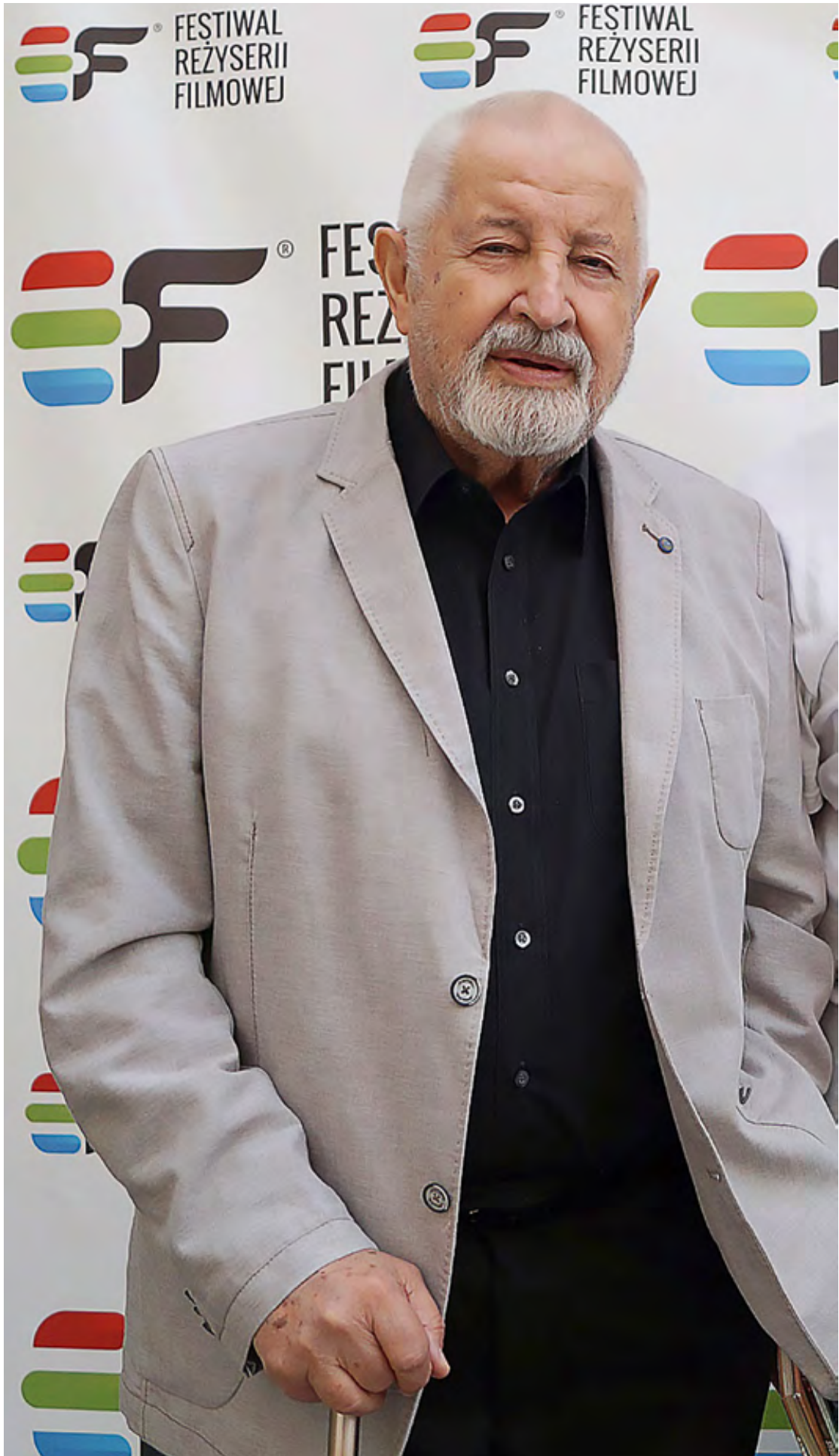
W ogromnie różnorodnej twórczości literackiej reżysera właśnie ta skromna powieść-reportaż jest dla mnie najlepszym dowodem na prawdziwość określenia Janusza Majewskiego „arystokratą”. I kina, i kultury, i pamięci, i przyjaźni, i umiłowania życiowego doświadczenia.

Wobec takiej różnorodności pisarskiej, czy tom opowiadań, który ukaże się teraz, może zaskakiwać? Niezwykłością? Oryginalnością?

A jednak przygotowany materiał jest intrygujący. I może nawet nie tyle pisarz zmienił sposób pisania, ile raczej czas odcisnął się na słowach, ustawił wyobraźnię i ukazał inny zakres zainteresowań. Jest bowiem tak, jakby Janusz Majewski świadomie oderwał te swoje opowiadania od potocznej rzeczywistości. Jakby świadomie dał wolność swoim obrazom, aby stawały się tym, czym chcą, i aby to jego oczy musiały się do ich harców dopasować. Czy to znaczy, że nie powinien pozostać obserwatorem? Bo to właśnie obrazy mogą jego, autora i narratora równocześnie, zmusić do wzięcia udziału w takiej akcji, której nie przewidział. Świetnym przykładem jest chociażby *Bunt domów*. Zaczyna się jak normalna kronika z podróży pociągiem: pasażer trochę czyta, trochę drzemie, trochę się nudzi, często patrząc w okno. (Jedzie na południe kraju, wyraźnie w stronę Krakowa). Wtem za oknem pędzącego pociągu „... nagle uderzyła mnie niezwykle anomalia: domy usytuowane na zboczach łagodnych wzgórz nie miały pionowych ścian, czyli ich linie nie pokrywały się z kierunkiem działania siły ciężkości na powierzchni Ziemi. Były, owszem, prostopadłe do gruntu, na którym stały domy, ale jeśli ta powierzchnia była pochylona, jeśli była zboczem wzgórze, to dom był podobnie pochylony, czyli odchylony od pionu. W zasięgu wzroku wszystkie domy były odchylone mniej lub więcej od pionu, w zależności od stromizny zboczy tych łagodnych skądinąd wzgórz. Nagle dostrzegłem dom zbudowany na niemal pionowej skale, był konsekwentnie przechylony silnie na bok, drzwi wejściowe były w pozycji wręcz leżącej, akurat ktoś wychodził z domu i otworzył je z rozmachem, skrzydło otwierało się na zewnątrz i od razu opadło siłą ciężkości i zawiśło, jakby z przestraszeniem, nad przepaścią, człowiek wszakże, najwyraźniej już wprawiony, wbił się pazurami w skałę i ze zręcznością małpy wdrapał się na szczyt skały, otrzepał kapeluszem przybrudzone czarne spodnie w okolicy kolan i oddalił się, pogwizdując, co wydało mi się trochę niestosowne”.

Taki obrazek staje się w tekście zaczynem zmian. Spokojne opowiadanie podróżne przechodzi kilka przemian gatunkowych, gdzie surrealizm jest zaledwie najprostszym z nich, by stać się na końcu zaskakującą sensacją. Jaką – to już proszę przeczytać.

Każde z tych opowiadań ma swoje zaskoczenie: i gatunkowe, i treściowe. Podejrzałam już wcześniej, że coś się zmienia w oglądaniu świata przez reżysera. Że świadomie się z nami bawi. Czy to też wynik pandemii i zamknięcia?



Takim zaskoczeniem było dla mnie opowiadanie, które ukazało się jeszcze przed obecnym tomem, trzy miesiące temu, na łamach wakacyjnego numeru „Magazynu Filmowego”, pisma Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Zaskoczyło już to, że gdzieś, między recenzjami kinowymi, reportażami z planów i syntetycznymi kawałkami o filmach i autorach pojawiło się najprawdziwsze opowiadanie. Rzecz nazywała się *Puste ulice, balkony i nietoperz*, a została wydrukowana w dziale „Zapiski z czasów zarazy”.

Warto wędrować po świecie Janusza Majewskiego. Tym filmowym i tym literackim. Bo to wciąż jest świat bardzo osobny. Niepodobny do niczego, co powstaje w polskim kinie na tym dziwnym pograniczu filmowo-literackim. I w formie, i w treści.

To był ten szczególny klucz, który może otworzyć świat oczekiwani na nowy tom opowiadań. Bo oto okazało się, że prawdziwy pisarz pisze w każdych okolicznościach. Że nawet, gdy jest w przymusowej izolacji, gdy rodzina czuwa, aby się nie narażał i by w domu krył się przed pandemią, to może wyjść na balkon i opisać, co widzi. Że dachy, że ulice, że pustka, że brak ludzi, ale to chyba nie szkodzi, bo myśl i wyobraźnia nie podlegają izolacji i zamknięciu. Wtedy mógł reżyser i pisarz przypomnieć sobie, że przecież przed laty skończył architekturę (na Politechnice Krakowskiej, w latach 50. ubiegłego wieku), więc łatwiej mu zobaczyć więcej, nawet na pustych ulicach. Na przykład to, że ma przed sobą mnóstwo apartamentowców, ale i bloków. Że te pierwsze mają tarasy, a te drugie – tylko balkony. Że są jeszcze w jednych i drugich piwnice – jakże różne, i są windy – też nieporównywalne. A potem zastanowił się nad tym, czy „apartament” i „mieszkanie” to jest tylko zmiana słownika czy też zmiana pojęć. To tylko jedno pytanie. Tymczasem myśl idzie dalej, wszak patrzy reżyser filmowy: przypomniały mu się różne anegdoty, a my, czytelnicy, podążyliśmy za nim, a to w świat *Ojców chrestnych*, a to w świat jego ukochanych czeskich filmów – wraz z... nietoperzem z Wuhan. I z tym cudownym zdaniem na koniec: „Późnym listopadowym wieczorem 2019 Xieng Ma Hao zasiadł do kolacji. Gdy żona mu podała, jak zwykle, kupionego rano na targu w Wuhan nietoperza, Xieng jeszcze nie wiedział, że ta kolacja odmieni świat, ale nie uprzedzajmy faktów...”

Tego opowiadania nie będzie, powtórzmy, w tomie nowych drobiazgów. Ale i z niego i z tych nowych można się przekonać, że pisarz nie musi mieć specjalnych warunków, żeby pisać. Wyobraźnię ma pełną, oczy napatrzone na świat i na filmy, ale i w swoje doświadczenie, czyli w siebie. Trzeba mieć tylko odwagę i świadomość, że te swoje obrazy chce się z siebie wyrzucić. I wtedy powstaje taki tom, jak teraz. Gdzie żartobliwe miniatury pomieszane są z nostalgią i melancholią. Gdzie realizm tak łatwo staje się surrealizmem, a proste wspomnienie odrywa się od autora, by stać się uniwersalną opowie-

ścią o przemijaniu. Ale i tak okazuje się, że w snach i w wyobraźni najwięcej jest skojarzeń... erotycznych. Tych wysmakowanych, ale i rozbuchanych. Stylowych, pięknych, pełnych erudycyjnych skojarzeń. Bo to one tworzą ten prawdziwy smak życia, który pozostaje (*cudowne Laska z głową psa!*)

*

Warto wędrować po świecie Janusza Majewskiego. Tym filmowym i tym literackim. Bo to wciąż jest świat bardzo osobny. Niepodobny do niczego, co powstaje w polskim kinie na tym dziwnym pograniczu filmowo-literackim. I w formie, i w treści. Zresztą tak jest i wtedy, gdy jego film oparty jest na cudzej literaturze, a on ją genialnie potrafi dostosować do swoich emocji. Tak było w niedawnym jego filmie *Ekscytrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy*, gdzie rzecz oparta była na powieści Włodzimierza Kowalewskiego, ale napełnił tę fabułę Majewski swoim umiłowaniem jazzu i prowincji, miłością i sensacją, którą potrafi wspaniale władać. Ten jego świat zawsze się sprawdza. Jest tak, jakby reżyser nigdy nie zważał na polskie kompleksy, na aktualne obrachunki i rocznice. Może dlatego, że wiedział, że to przemija? A to, co pozostaje i co zawsze warto podglądać, jest w indywidualnych zmaganiach z naturą, z losem, z okolicznościami, a nawet z marzeniami. W tym wszystkim mieści się „prawda” i „fikcja”. Jednym słowem: jego wieczne królestwo fabuły! Janusz Majewski jest cudownym fabularzystą. Wszystko, na co patrzy, zamienia mu się w fabułę, którą trzeba opowiedzieć. Tak było wtedy, gdy wynalazł dla nas wszystkich, zwłaszcza tu, w Krakowie, najbardziej plastyczny i wyrazisty mit Galicji: odwiecznej i wiecznej, krakowskiej i lwowskiej, polskiej i czeskiej, austriackiej, ale z czasów cesarskich obrazów. To wszystko więc, co teraz bywa od czasu do czasu europejską modą, a co stworzone przez twórcę *Lekcji martwego języka, C.K. Dezerterów, Królowej Bony czy Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny* – było i jest trochę mitem założycielskim naszej kulturowej bezkresności. Spłacał te swoje długi samym pięknem. Urodzony we Lwowie, maturę zdawał w Krakowie i zanim pojechał do łódzkiej Filmówki, skończył jeszcze architekturę na naszej politechnice. Nic dziwnego, że pozostaje piewą Galicji, choć najbardziej uwielbia Czechów (razem z nimi nakręcił w 1975 roku pamiętne *Zakłęte rewiry*), a Kraków kocha jak swoje miasto. Ale świat, który sobie wyczarował, jest jakby pod powierzchnią wszystkich owych tematów i zdarzeń, jest królestwem jego fikcji. I pewnie tak zostanie. Bo to właśnie tam literatura miesza się z kinem, a kino, jak należy – ze snem.

I to jest także jego lekarstwo na pandemię: nie ma pieniędzy na film? To trzeba pisać!



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

 **Kraków**

TEATR
bagatela



NAGRODY 2015

XIX OFK „TALIA” Tarnów
GRAND PRIX
dla zespołu Teatru Bagatela
NAGRODY INDYWIDUALNE
Małgorzata Bogajewska
Ewelina Starejki
Marcel Wiercichowski

XV FDW Zabrze
NAJLEPSZY DRAMAT
NAJLEPSZA REŻYSERIA
NAJLEPSZY ZESPÓŁ
AKTORSKI

XV FDW Zabrze
Jury Młodych
NAJLEPSZY SPEKTAKL
NAJLEPSZY AKTOR
NAJLEPSZA MUZYKA

10. FPSW R@PORT
Gdynia
NAGRODA
PUBLICZNOŚCI

21. OGÓLNOPOLSKI KONKURS
NA WYSTAWIENIE
POLSKIEJ SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ
NAJLEPSZA REŻYSERIA
WYRÓŻNIENIE
Ewelina Starejki

ARTUR PAŁYGA

TATO

REŻYSERIA
MAŁGORZATA
BOGAJEWSKA

spektakle
21, 22 listopada

rezerwacja
tel. 12 422 66 77
www.bagatela.pl

Tematy do odstąpienia (Wojciech Jerzy Has)

Tekst: Łukasz Maciejewski

Dwudziesta rocznica śmierci Wojciecha Jerzego Hasa. Czy ktoś to w ogóle zauważył? A właśnie Has, jak mało kto, zasłużył na pamięć, na powroty, na dyskusję i wciąż na nowo odkrywanie jego kina.

Artur Sandauer, przy okazji wybitnej analizy *Powiększenia* Antonioniego, sformułował niegdyś bliską mi definicję krytyki międzyartystycznej, która skupia się na konkretnym dziele filmowym, teatralnym, plastycznym lub literackim, bez specjalistycznego podziału. Ważne jest to, co czujemy; niekoniecznie to, co wiemy na pewno.

Z Hasem pozornie sprawa wydaje się prosta. Jego filmy opierają się na uporczywej grze z symboliką „czasu” rozumianego w kategoriach ontologicznych. Poprzestając na tej wykładni, podpierając się odpowiednimi nazwiskami z historii filozofii czy psychologii, można poprzestać na trwałych, w zasadzie oczywistych stwierdzeniach. Że kino twórcy *Pismaka* (1984) zostało uwięzione w pułapce czasu, który defrauduje pamięć bohaterów. Styl jego filmów opiera się w gruncie rzeczy na kilku refrenowo powtarzających się motywach, nawiązujących do wykładni obowiązujących w tak zwanych czte-

chać kino. Powonienie kinomana wynika z emocji, nie z zapachowego weryzmu. Przypomnijmy sobie wszystkie zmysłowe, sensualne przedmioty z jego filmów: te nieprawdopodobne srebrne patery z gotowymi do zjedzenia winogronami; bulgoczące eliksiry w pracowni Ochockiego w *Lalce*; schulzowską „rupieciarnię marzeń” z trylionami drobin kurzu wchodzących między nozdrza, z samotną laleczką bez lewej ręki i prawej nogi, z niebieską łuną na błotnistym tle, prowadzącą do niemożliwego rynsztoka. Obrazy Hasa pachną – zmysły widza odtwarzają pejzaże literackie, a na trasie tej długiej i dwuznacznej wędrówki od emocji do interpretacji gubią się wszystkie pewniki, nikną proste zestawienia, pozostają tylko domysły, bo Wojciech Jerzy Has zawsze zostawia nas z poczuciem egzystencjalnej rozterki. Również dlatego warto oglądać jego filmy wciąż na nowo i nie bać się najprostszycy, najpłytszych odczytań, nawet jeżeli w pierwszym odruchu wydadzą się kompletnie odklejone od jubileuszowo uświęconej nomenklatury. Ta nomenklatura to makulatura. Nie wstydzę się zupełnie, że dzisiaj, planując napisanie tego artykułu, obejrzałem – który to już raz – *Szyfry* (1966), najwybitniejszy z najmniej znanych filmów reżysera. Ale po obejrzeniu *Szyfrów* nie myślałem o kreacji Ireny Eichlerówny czy o literackim pierwowzorze Andrzeja Kijowskiego, tylko o przeczytanym dzień wcześniej tomiku wierszy Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego. To chyba najdziwniejsza z możliwych paralel. Dycki pisał o matce umierającej w pokoju obok, Has portretował kobietę, którą uśmiercają wspomnienia, która odpływa w sobie tylko znanym i nieznanym kierunku. Kurz z szaf, okłapała pierzyna u Dyckiego. Kurz z szaf, okłapała pierzyna u Hasa. Nie ma terazniejszości, nie ma przeszłości. Teraz – „ja” liryczne – jest lustrem niczego. Poeta pisze: „Ten wielki dom jest za wielki za gościnny dla mnie i dla mojej umierającej matki/przyszedłem do niej, by poprawić kołdrę, spod której wystaje...”.

Ważne jest to, co czujemy; niekoniecznie to, co wiemy na pewno.

rech aspektach świadomości: percepcji, odczuwania, myślenia i intuicji.

Czesław Miłosz prowadził niegdyś na łamach „Tygodnika Powszechnego” rubryczkę pod tytułem *Tematy do odstąpienia*, w której sugerował pomysły na powieść, nowelę lub film. Tę samą strategię można zastosować w stosunku do kina Wojciecha Jerzego Hasa. Czego tam nie znajdziemy. Na przykład stały motyw kobiety-ofiary zdeformowanej przez traumę historyczną, która jednak zaskakująco często miała charakter jawnie erotyczny (brak satysfakcji seksualnej – bo wojna, bo impotent przy boku – paraliżował egzystencję bohaterek pozornie wyzwolonych z opresji).

Albo: dyskusja z polskim paradygmatem romantycznym, który w kinie Hasa został nie tyle wyszydzony, co utopiony w scenograficznym panoptikum pełnym widmowych figur, bibelotów i przedmiotów, które tworzyły europejską alternatywę dla polskiego kołtuna: ułana, księdza proboszcza i rumianej dziewczuchy czekającej na żołnierza i kochanka z różańcem i talerzem parującego rosołu. I może najważniejsze: filmy Wojciecha Jerzego Hasa pachną. Tak, ów dziwaczny sylogizm wydaje się uprawomocniony. Nie trzeba żadnego „pachnidła”, żeby wą-



Łukasz Maciejewski – wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszyńcu, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego

Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Ostatni jesienny liść, rys. Andrzej Zaręba

Listopadowo

Tekst: Mieczysław Czuma

Nigdy nie odważyłbym się nazywać siebie poetą. Ale nieskromnie przyznać muszę, że był czas, kiedy dosyć odważnie dane mi było stąpać po zboczach Parnasu. W pewnym momencie (maj 1961) dość nieoczekiwanie znalazłem się nawet na obiecujących wyżynach.

Na Ogólnopolskim Festiwalu Młodej Poezji w Poznaniu w prestiżowym turnieju jednego wiersza (jurorowali Mieczysław Jastrun i Julian Przyboś) udało mi się stanąć na najwyższym podium. Z tyłu pozostały wszystkie późniejsze najjaśniejsze gwiazdy polskiej poezji. Moje *Rozważania na tematy kuchenne* znalazły się na czołówkach literackich gazet, omawiane były na zajęciach z poetyki. Ciągoty do wierszowania wyparowały, kiedy porwał mnie galop działalno-

ści w Zrzeszeniu Studentów Polskich. Praca w telewizji jeszcze bardziej zdemolowała liryczne wzloty. Dałem się uwieść aroganckim mitom, że nawet najzgrabniej skonstruowane metafory nie mają ani cząstki tej mocy, co niewyszukane słowa wypowiedane przed kamerą. Pokusy do rymowania wygasły. Ale szerszeń poezjowania bywa nieustępliwy. Oto listopadowe, rymowane wydanie *Smoczego jaja*, złożone z wcześniejszych i późniejszych objawień.

Do skocznej muzy

Z kruchą stopą,
z palcem nagim,
co paznokcia nawet nie ma,
skoczna muzo
xiędza Baki
o urodzie spod rentgena.
Podszpecona
prawidłowo
z czołem jasnym i niepięknym,
czarnooka
z pustą głową,
wyskrobana nawet z pięty.
Łyskająca
ostrym żebrem,
pacierzową kością twardą –
w piersi swoich
mnie katedrę
skruszonego przyjmiesz bardzo.

Z tobą łotry, damy śliczne,
rączka w rączkę,
piszczel w piszczel.

Z tobą wszystkich czeka taniec
panno można.
Amen. Amen.

I koniec w końcu...

I koniec w końcu – to ci się zdarzy:
rączka przy rączce. spokojna głowa.
Klasyczny dramat, finał – cmentarzyk,
twoja ostatnia rola życiowa.

Nic się nie zmieni: inni – zostaną,
kamieniom będzie na drogach ciężko.
Ot, pajęczyny przyfrunie anioł
i świeca ciepłą zapłacze łezką.

W cichą trumienkę wtulisz się skrycie –
hej, zaszeleści szarfa i wieniec!
Potem, ze wstydu za przeszłe życie
wreszcie
zapadniesz
się
pod
ziemię.

Zaduszki 1

Co tu po nas zostanie? Zbielała kosteczka?
Przelotny puszek mlecza na kopczyku ziemi?
Razem z nami w trumience głodny czerw zamieszka
i zdziwi się, jak bardzo jesteśmy skruszeni.

Rzęsa z oka nam spadnie. Odfrunie powieka.
Z twarzy zmienionej w czaszkę zniknie wszelka mina.
I każdy z nas takiego kalectwa doczeka,
że nawet ziarnka piasku w rękach nie utrzyma.

Zaduszki 2

Jeszcze krok. Jeszcze oddech. Jeszcze błysk powiek...
Potem nieba rozleje się czarny atrament.
I cisza cię ogłuszy. I ciemność oślepi.
I na zawsze zagaśnie wszelkiej myśli zamęt.

But zostanie sierotą. Bluzce braknie duszy.
A wszystkie twoje słowa post uciszy wielki.

Ktoś ziemię przy trumience ledwo co poruszy.
Ktoś zagasi na niebie twoich gwiazd iskierki.

Prośba poranna

Ty, co lepisz obłoki, śmigłym ciskasz ptakiem,
światłem prószyysz na nasze zmęczone powieki
i z ziemi wyprowadzasz zioła wielorakie,
krople deszczu układasz w nieskończone rzeki...

– Wybaw mnie przed złą myślą, podaj dobre słowa
i ten dzień, jeszcze jeden, racz mi podarować...

Prośba nad prośbami

Jest czas, kiedy się rodzą myśli niewesołe
i z tym, co nadejść musi pora się już zmierzyć:
więc błagam, niech bym został najlichszym aniołem
i mógł czasami przysiąść na Mariackiej wieży.

Niechby mnie dotknął hejnał choćby jedną nutką,
niechby konik Kaczary kopytkiem zadzwonił,
niechbym jeszcze po A–B przemknął się cichutko
i zwierzywiecki niechby śnił mi się Lajkonik.

Niechaj mnie poprowadzą te moje ulice,
gdzie Wawel, gdzie Barbakan, Plant zielony wieniec,
niech skarbem swoich kramów błysną Sukiennice,
niech milczeniem przemówią znajome kamienie.

Dlatego tak bezwstydnie marzy mi się czasem,
by zostać tym wybrańcem wśród anielskich ptaków,
który porzucił będzie niebiańskie pałace,
aby chociaż na chwilę znów zobaczyć Kraków.



Mieczysław Czuma – profesor kra-
kauerologii, redaktor niehabilito-
wany.

Cieszcie się Cieszynem

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

Szczęśliwi, którym się udaje przejść przez ten przedziwny 2020 rok bez szwanku. Ale są ludzie i miasta, którzy mają wyjątkowego pecha. Cieszyn do nich należy.

Najtrudniejszym pytaniem jest to, skąd jestem. Urodziłam się w jednym mieście, wychowałam w innym, zakochałam w trzecim, położonym tysiące kilometrów od Polski, mieszkałam w Krakowie i ciągle tu wracam, bo od Krakowa najwyraźniej uciec nie można, zresztą po co. Dzisiaj mieszkam pod adresem warszawskim, pod którym jednak nie było mnie w tej chwili od dobrych paru tygodni, a wcześniej miesiącami. W mojej duszy wiecznego włóczęgi są jednak miejsca, które wymieniam, gdy ktoś pyta, skąd jestem. Cieszyn wymieniam zawsze,

W ostatnich kilku latach Cieszyn, założony – według legendy – z wielkiej radości spotkania trzech braci, totalnie roztopił serca polskiej branży filmowej za sprawą „Kina na granicy”.

gdy chodzi o pewne przywiązanie do małego choćby kawałka historii. Często ludzie nie mają go nawet wtedy, gdy całe życie spędzają w jednym mieście i niczyja w tym wina. Ale ja postanowiłam mieć i się przywiązać.

Daleko od Warszawy, ale blisko świata – głosił tytuł jakiegoś artykułu prasowego o Cieszynie, który kiedyś znaleźliśmy przypadkiem na wakacjach na południu Europy. Faktycznie, tam się jechało przez Cieszyn i w wiele innych miejsc również. Obraz podzielonego na pół miasta i długiej kolejki samochodów wszelkiej maści, chcących granicę przejechać, towarzyszył mi przez całe dzieciństwo. Właściwie obraz miasta przeciętego na pół i to bardzo brutalnie dla jego szlachetnej i pięknej miejscowości, choć w jedynym chyba naturalnym punkcie, jakim była rzeka. Już jako dziennikarz relacjonowałam wejście do strefy Schengen, która – jak się wydawało – stopi mieszane rodziny, ułatwi drogę do pracy i zakupy.

Odwiedzając Cieszyn, obserwowałam, jak miasto znajduje swoje miejsce na mapie Polski, zaczyna tętnić życiem kulturalnym, ściąga turystów. Przeczwarcza się z prowincji w miasteczko, w którym się chce spędzić cudowny weekend. Piękna i klimatu nigdy nie można było mu odmówić, ale umówmy się – wciąż więcej było tych, którzy na pytanie, czy byli kiedyś w Cieszynie, odpowiadali: „Przejeżdżaliśmy!”.

W ostatnich kilku latach Cieszyn, założony – według legendy – z wielkiej radości spotkania trzech braci, totalnie roztopił serca polskiej branży filmowej za sprawą „Kina na granicy”. I choć nie była to jedyna filmowa impreza, organizowana w mieście

siedmiu wzgórz, czeskiego piwa, magnolii i brukowanych uliczek (kto pamięta cieszyńskie „Nowe Horyzonty”?), to polskich filmowców i widzów przyjechało tak wielu, że zabrakło miejsc w hotelach. I nikt nie chciał wyjeżdżać.

W tym nieszczęsnym 2020 roku mija dokładnie 100 lat od podzielenia Cieszyna między Polskę i – wówczas – Czechosłowację. Mało brakowało, a ta rocznica minęłaby również przy opuszczonym szlabanie. Gdy wiosną z powodu pandemii zamknięto granice Polski, zamknięto je także tam. W Cieszynie. Graniczny Śląsk pozostał odcięty zresztą najdłużej – aż do 1 lipca. 31 lipca przypadła 100. rocznica podziału. Pech i chichot historii w jednym.

Piszę ten felieton z otulonego jesiennym już słońcem Cieszyna. W dodatku w jednym z najbardziej lubianych miejsc przez fanów literatury w Polsce – w księgarnio-kawiarni Kornel i Przyjaciele, która w istocie jest jeszcze czymś więcej – miejscem spotkań, antykwariatem, hołdem dla prozaika Kornela Filipowicza, związanego w Cieszynie, i jego niezwykłej relacji z Wisławą Szymborską. Myślę, że wiele par przychodzi do „Kornela”, mając nadzieję, że będą się tak kochać.

Jak zejść kilkadziesiąt metrów w dół, a potem schodkami i zrobię jeszcze jeden większy krok, to będę w innym kraju. Niezauważalnie. Jak pójść do góry i prosto, stanę naprzeciwko Teatru im. Adama Mickiewicza, w którym Andrzej Wajda kręcił sceny do *Ziemi obiecanej*. A jeśli skręcę w prawo, dojdę przepięknym rynkiem do dawnej pałacowej stajni i muzeum, które bogatą historię Śląska Cieszyńskiego opowiada ze szczegółami.

Cieszyn wart jest uwagi. Weekendu „poza Krakowem”. Scenariuszy filmowych. I zakochanych. I choć nieustannie od 1985 roku mnie cieszy, daje mi też lekcję życia. Tę z piosenki czeskiego barda Jaromíra Nohavicy *Těšínská*, którą śpiewamy sobie i w Polsce za Arturem Andrussem. A która kończy się słowami: „Może dobrze, że człowiek nie wie, co go czeka”.



Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Dziennik pandemiczny: kwarantanna

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Nina pospiesznie przeglądała wiadomości – wszystkie paski świeciły się na czerwono i spokojnie mogłyby zastąpić lekturę Dantego.

Pitbull zagryzł dwunastolatka. Młody Czechen obciął głowę francuskiemu nauczycielowi historii za obrazę uczuć religijnych. Nieprzytomnemu Romanowi Giertychowi prokurator odczytywał zarzuty korupcyjne. Stadion w Warszawie zamienił się w szpital polowy. Na COVID 19 zmarł kierowca karetki. Ukraiński influencer z branży fitnessu nie żyje. Zabił go koronawirus, w którego nie wierzył.

Od komentarzy o ataku pitubulla robiło się niedobrze. Ci wszyscy nawiedzeni psiarze powinni chodzić na jakieś zbiorowe hipnozy uzdrawiające – myślała Nina o autorach wpisów typu „biedny piesek”. To samo koronasceptycy – czy można być głupszym? Z tych wszystkich informacji tylko sprawa Romana wzbudzała mieszane uczucia, przez które chwiała się w głowie Niny konstrukcja dobra i zła. Ilu wyborców PiS-u ma maturę od Giertycha? No właśnie. Wczoraj amnestia, dziś amnezja. Może prokurator to rocznik 1987?

Nina chciała by zatkać uszy, ale sama siedziała na kwarantannie i każde kichnięcie mogło być TYM. Pętla zaciskała się coraz bardziej. Miała kontakt z trzema osobami zakażonymi. Jedna z nich, aktorka wygimnastykowana tak, że mogła na siedząco dotknąć czoła kolanem, właśnie wstawiła dwa zdjęcia z izolatki. Na jednym była kromka chleba z wędliną, na drugim – wersja dla wegetarian, czyli łysa kromka z masłem. W tle stało wiadro na odchody. W tej samej chwili przyjaciółka informowała Ninę, że jej rodzice mają koronę, choć żyją na wsi i wychodzą najdalej za płot i tylko do listonosza. Internauci na Facebooku zastanawiali się natomiast, jak to możliwe, że błakające się po ulicach czteroletnie dziecko pary alkoholików jeszcze nosi pieluchę.

Nina zatopiła się w koce, pierzyny, poduchy najgłębiej, jak tylko się da. Robotnicy piłowali drzewa za oknem i hałas był nie do zniesienia. A może niech to wszystko się wreszcie skończy? Czy naprawdę byłoby żal tego groteskowego świata?

Bezmyślne scrollowanie Facebooka przypominało Ninie, że gdzieś całkiem obok jest zupełnie inny świat, w którym rzeczy wydają się proste – jest tak albo tak i nie ma żadnych wątpliwości. W jednym wpisie ktoś zebrał najnowsze wypowiedzi hierarchów Kościoła. Już po paru zdaniach Nina poczuła ulgę:

„Ks. prof. dr hab. Stanisław Koczwara nawołuje do wojny przeciwko muzułmanom. I pyta: Czy Maryja muzułmanów nawróci?”

Ks. prof. Tadeusz Guz dowodzi, że komunizm święta do ust nie zaraża, a winę za obecny kryzys Kościoła ponosi Antychryst.

Ksiądz (suspendowany, ale jednak) Natanek mówi, że Pan Bóg żadnych wirusów nie rozprzestrzeni.

Ks. dr hab. Robert Skrzypczak w niezwykle uczonym wywodzie tłumaczy zgubność wszelkich form postępu, szczególnie w dziedzinie obyczajowej.

Ks. prof. Dariusz Oko mówi: gender to śmierć.

Ks. Dominik Chmielewski twierdzi, że nie ma żadnej pandemii.

A może niech to wszystko się wreszcie skończy? Czy naprawdę byłoby żal tego groteskowego świata?

Ksiądz dr Paweł Murziński, kapłan diecezji białostockiej, ostrzega, że pandemia jest karą za odejście od Boga i początkiem końca świata.

Ksiądz Piotr Glas, egzorcysta, twierdzi, że piekło istnieje i jest przerażające. Udziela też wyjaśnień na pytania w rodzaju: Czy wciąż potrzebni są egzorcyciści? Dlaczego ludzi bardziej ciągnie do zła niż do dobra? Czy piekło jest puste? Kto do niego trafi? Jaką rolę pełni Maryja w walce duchowej? Mówi też, że Pismo Święte zakazuje ludziom robienia sobie tatuaży. I że doświadczenie uczy, iż osoby, które robiły sobie tatuaże, miały poważne problemy duchowe.

Abp. Jan Paweł Lenga woła: Strzeżcie się kursów Alfa!

Ks. Włodzimierz Małota dramatycznie ostrzega: Czy nikt nie widzi, że podmieniają nam Kościół?

Ks. prałat Roman Kneblewski wyjaśnia, że Żydzi jako naród nie istnieją”.

Ninę zafrapowali podmieniacze Kościoła. „Chętnie ich poznam” – myślała, patrząc na swój nowy tatuaż.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



Krakowsko-zakopiański dziennikarz i, co tu najważniejsze, wielki miłośnik Tatr, opowiada o nich ze znanstwem i swadą, lecz – wbrew sensacyjnemu anonsowi na okładce – wcale nie tylko przez pryzmat najgroźniejszych wypadków, tajemniczych zaginięć i innych tragedii.

Tak, góry bywają niebezpieczne, więc czasem – zwłaszcza gdy sam człowiek się o to prosi niefrasobliwością i brakiem respektu wobec natury – dochodzi w nich do dramatów.

Góry jednak to przede wszystkim przyroda i zachwyceni nią ludzie. To przede wszystkim o tej fascynacji traktuje ta książka. Jest więc choćby o Zofii Radwańskiej i Witoldzie Paryskim, którzy poświęcili życie na napisanie *Wielkiej encyklopedii tatrzańskiej* – biblii tych gór, ale także na ratowanie tamtejszej flory. Jest o ratownikach TOPR (przy okazji pojawia się multum bezcennych rad dotyczących bezpieczeństwa). Jest o Jędrku Bargielu, który chodzi na skitury w Tatrach, ale też zjeżdża z najwyższych szczytów Ziemi.

Jest o krzyżu na Giewoncie, halnym (z półżartobliwym zaleceniem, by nie mieszać go z alkoholem), sporach wokół kolejki linowej na Kasprowy, tatrzańskich niedźwiedziach, świstakach i kozicach – ale też o losie koni ciągnących fasongi do Morskiego Oka.

Padają ważne pytania: czy nie ograniczyć liczby wejść na teren TPN, czy akcje ratunkowe nie powinny być płatne, co z narciarstwem na Kasprowym Wierchu? (kb)

Bartłomiej Kuraś, *Niech to szlak. Kronika śmierci w górach*, Agora, Warszawa 2020.

Wybór wierszy Wojciecha Bonowicza, dokonany przez samego autora, to zbiór reprezentatywny dla jego twórczości, niejako podsumowujący, ukazujący obraz wewnętrznych pasji, emocji i inspiracji, które składają się na myśl przewodnią nie tylko zbioru, ale całego dorobku poety. Podążając za tą myślą, wchodzimy w wewnętrzny świat autora, zagłębiając się w obrazy i skojarzenia, które są ścieżką życia Bonowicza. To podróż prowadząca na różne drogi i rozstaje, zmuszająca do wyboru tej ścieżki, którą własną decyzją zechcemy podążać, do świata wzruszeń i delikatności, tak rzadko prezentowanego w dzisiejszej poezji. Poetyka tego zbioru drobne detale uwzniośla, nieważnym przydaje blasku. To poezja liryczna w najlepszym znaczeniu. Jednym z najbardziej poruszających, bo chyba najbardziej osobistym, jest wiersz *Treść*, którego zdjęcie rękopisu widnieje na skrzydełku książki. Głęboko ludzki, skromny, a mimo to dający tyle do myślenia. Bonowicz nie udziela żadnych odpowiedzi na stawiane przez siebie pytania, zresztą i one są zawoalowane na tyle, że tylko ten, kto zechce, odczyta je i przy nich pozostanie. Los człowieka – oto jak można podsumować ten zbiór. Pochylimy się nad nim, nad losem, który jest także naszym własnym.

Elżbieta Wojnarowska

Wojciech Bonowicz, *Wiersze wybrane*, Wydawnictwo A5, Kraków 2020.

„Mit Galicji z polskiej perspektywy ma rzeczywiście różne oblicza. Paradoxs całej kariery Galicji polega na tym, że ów sztuczny produkt austriackiej dyplomacji, który trwał w historii Europy zaledwie przez sto pięćdziesiąt lat, nie istnieje od stu, ale jest wciąż żywy w pamięci pokoleń ludzi tutaj mieszkających. (...) Galicja symbolizowała naszą przynależność do innego świata niż rzeczywistość kreowana przez Leonida Breżniewa. Portret Franciszka Józefa nad biurkiem redaktora naczelnego »Tygodnika Powszechnego« to przecież fakt”.

Jacek Purchla mówił te słowa Stanisławowi Manciewiczowi dla „Tygodnika” właśnie, a teraz tekst ten ukazuje się w książce zbierającej wywiady udzielone przez profesora w ostatnich latach. Bohater owych wywiadów to nie tyle krakus, ile właśnie Galicjanin, uosobienie tego zacnego mitu, z którym każdy w Krakowie się styka, a który buduje naszą odmienność, a może i dumę, i to mimo że dla niektórych bywa i pretekstem do lekkich kpin.

Ten tom to kontynuacja wydanej w 2011 roku zbioru rozmów z Purchlą *Gry w miasto*. Dziś nie jest to jednak opis problemów rozwoju miasta po roku 1989, lecz dziedzictwo kulturowe.

Dodajmy, że w tomie są również wywiady udzielone miesięcznikowi „Kraków”. (wb)

Przeszłość ma przyszłość. Rozmowy z Jackiem Purchlą, Księgarnia Akademicka, Kraków 2020.



„Opowieści Huellego są głębiej zanurzone w tradycji od chyba niemal całej naszej współczesnej prozy” – napisał kiedyś prof. Jan Kott. Rzeczywiście, prócz może Wiesława Myśliwskiego i Eustachego Ryłskiego nie ma dzisiaj pisarza z tak klasyczną, nieudziwnioną i zwyczajnie piękną frazą. Więcej, proza Huellego tyczy też zawsze związków teraźniejszości z przeszłością oraz tego, w jakim stopniu tradycja właśnie – najszerzej rozumiana: jako pamięć, przesady, obyczaje, więzi rodzinne, dawne lektury, ukochane pieśni oraz miejsca – nie tylko wpływa, lecz wręcz warunkuje ludzkie decyzje i zachowania.

Tego tyczą i opowiadania, czy lepiej – opowieści z najnowszego jego tomu (wydanego po pięciu latach pracy). Oczywiście nie ma sensu ich streszczać. Co ważne, jest w nich znowu nuta tajemnicy i mistyki (szczęśliwie nie w przesadnej ilości, jak często teraz bywa), są wątki obyczajowe, psychologiczne, filozoficzne, religijne, etnograficzne. A także, znów w uzasadnionym wymiarze, erotyczne. Wszystko oparte jest na misternej, choć przecież też swobodnie lekkiej narracji. I powtórzmy: ten charakterystyczny, spokojny – bo pewny swej jakości – styl pióra. (ji)

Paweł Huelle, *Talita*, Znak, Kraków 2020.

Mogłoby się zdawać, że o Józefie Piłsudskim niczego więcej napisać nie sposób. Tyle że równocześnie nie ustają jakoś spory na jego temat. Użyta przez Macieja Gablankowskiego formuła reportażu historycznego pozwala na barwniejsze niż w klasycznej monografii historycznej – choć osadzone też w źródłach – przypomnienie kluczowych momentów z życia Marszałka oraz realiów, w których przyszło mu walczyć o Polskę, a potem ją budować. Umożliwia także postawienie śmiałych tez i swobodniejsze, ocierające się nawet o psychologizowanie, spekulacje dotyczące chociażby motywacji, którymi kierował się on sam i jego polityczni towarzysze oraz przeciwnicy. Daje wreszcie szanse na przedstawienie wątków osobistych, wpływających czasem – z czym zgadzają się także historycy akademicy – na polityczne decyzje Piłsudskiego. Wszystko to może stanowić kolejne argumenty i nowe pola do dyskusji.

PS Są w książce także związane z bohaterem wątki i miejsca krakowskie – nie tylko te symboliczne, ale i mniej oczywiste: choćby jego (i towarzyszy) ulubione kawiarnie – prócz Jamy Michalika i Hawełki, także Bisanz na rogu Karmelickiej i Dunajewskiego czy położona naprzeciwko, na rogu Krupniczej i Podwala, Esplanada. Spacer takim tropem też może mieć urok. (ji)

Maciej Gablankowski, *Piłsudski. Portret przewrotny. Biografia*, Znak, Kraków 2020.

Ależ oni piszą! Brytyjska szkoła dziennikarstwa zawsze cieszyła się marką. W tym przypadku również temat jest ważny. Dotyczy zaś Polski.

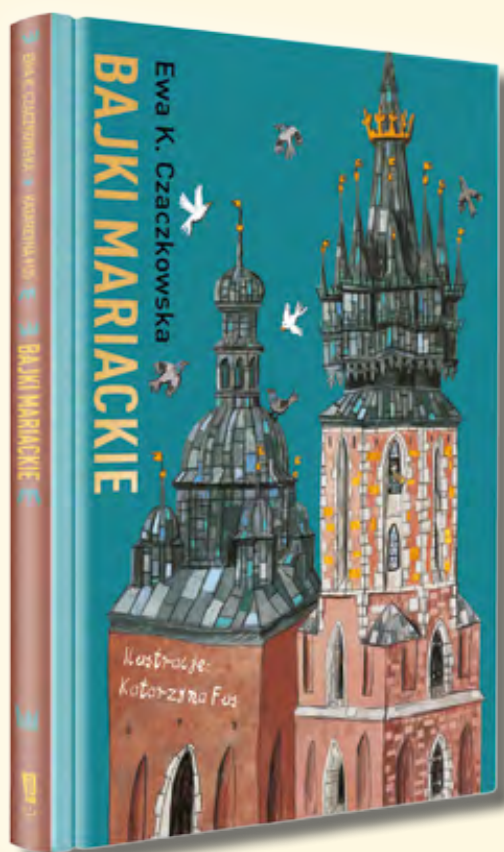
Jack Fairweather, korespondent „The Washington Post” i „The Daily Telegraph” w Afganistanie oraz Iraku, został uhonorowany za książkę *A War of Choice* British Press Award, odpowiednikiem Pulitzera. Po czym poświęcił pięć lat zbadaniu historii człowieka, który – jak pisze – „z własnej woli dał się uwięzić w obozie koncentracyjnym”. Chodzi o Witolda Pileckiego, oficera Armii Krajowej, który podjął się misji sporządzenia dla podziemia i Zachodu raportu naoczego świadka z Auschwitz i stworzenia w obozie tajnej organizacji zdolnej do zniszczenia „fabryki śmierci”.

Fairweather precyzyjnie – w konwencji reportażu historycznego, przechodzącego miejscami nieomal w powieść szpiegowską – odtwarza akcję Pileckiego, próbuje zrekonstruować jego motywacje i dylematy, a równocześnie osadza tę operację w szerokim, światowym kontekście. Jedno z kluczowych pytań tej książki – ważne zwłaszcza dla zachodniego czytelnika – brzmi: dlaczego Amerykanie i Brytyjczycy tak długo utrzymywali w tajemnicy zdobyte z narażeniem życia i przerażające dowody zbrodniczego procederu nazistów? „Ile istnień ludzkich dałoby się uratować, gdyby ktoś podjął odpowiednie działania w reakcji na te raporty?” – oskarża Fairweather. Przedni – i doceniony już na Zachodzie – reportaż historyczny staje się w efekcie książką polityczną. I aktualną. (kb)

Jack Fairweather, *Ochotnik. Prawdziwa historia tajnej misji Witolda Pileckiego*, Znak, Kraków 2020.

 **Kraków**

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
FUNDATOR NAGRODY



**ŻÓŁTA
CIŻEMKA**

OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

**NAGRODA
ŻÓŁTEJ CIŻEMKI**

za książkę
dla dzieci i młodzieży 2019

LAUREACI IV EDYCJI

Ewa K. Czackowska – tekst i Katarzyna Fus – ilustracje

Bajki Mariackie

Wydawnictwo Znak

www.biblioteka.krakow.pl

BIBLIOTEKA.KRAKÓW · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

ORGANIZATOR KONKURSU



PARTNER



PATRONAT MEDIALNY



KRAKOW.PL

Głosy z północnej Syberii

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Kolekcja syberyjska z Muzeum Etnograficznego nie była dotąd nigdy prezentowana w tak przekrojowy sposób. A jest unikatem na skalę światową.



Mieszkancki Omy, Nieniecki Okręg Autonomiczny, fot. Andrzej Dybczak

Te przedmioty są w Krakowie od około 150 lat. Trafiły tu z Syberii, przywiezione przez powstańców styczniowych, którzy wrócili z zesłania, a także przez marzycieli, którzy poszukiwali tam przygód i złota. Od ponad stu lat kolekcja syberyjska znajduje się w Muzeum Etnograficznym. Pracujący tam specjaliści zdawali sobie sprawę z jej wartości, jednak nie sądzili, że mają do czynienia z unikatem na skalę światową. Przekonali się o tym, gdy rozpoczęli badania terenowe nad Morzem Barentsa, na Kamczatce, Czukotce i nad rzeką Taz, a także kwerendy w muzeach i archiwach. Teraz efekty swojej pracy pokazują na wystawie *Syberia. Głosy z Północy*.

– Bez tych badań, nad którymi pieczę miała prof. Grażyna Kubica-Heller, bez opowieści dzisiejszych mieszkańców Syberii o znaczeniu tych przedmiotów, kolekcja pewnie nie byłaby tym, czym jest. Teraz, dzięki przeprowadzonemu przez nas śledztwu etnograficzno-archiwalnemu ożyła i uświadoma nam, jakie skarby dziedzictwa światowego mamy w Krakowie – mówi Magdalena Zych, pracująca razem z Andrzejem Dybczakiem, Jackiem Kuczką i Anną Zabdyrską w zespole kuratorskim przygotowującym ekspozycję.

Zbudowana jest ona wokół kilku głównych przedmiotów oraz ludzi, którzy je przywieźli. Jednym z cennych eksponatów jest nieniecki strój ślubny, który należał do tajemniczej dziewczyny. Musiała być ona blisko związana z powstańcem styczniowym Izydorem Sobańskim, który przy-

wiół strój do Polski, gdyż takich rzeczy nie można było, ot tak, kupić. Choćby dlatego, że był to także strój szamański. Kobiety dziedziczyły go z pokolenia na pokolenie.

Do świata nadprzyrodzonego należą też selkupskie figurki, prawdopodobnie uosabiające duchy opiekuńcze, które trafiły do Krakowa dzięki Janowi Żurakowskiemu. Z kolei piłka czukocka, przywieziona przez arystokratę i poszukiwacza złota Konstantego Podhorskiego, wiąże się z mitologicznymi opowieściami o zorzy polarnej. Piłka jest symbolem przenikania się świata ludzkiego i nadmysłowego.

W kolekcji znajduje się też przekazane przez Benedykta Dybowskiego, zesłańca i uczonego, łąso do chwytania reniferów. Dzięki temu badaczowi syberyjskiej kultury możemy oglądać również odzież należącą do rodziny koczownika Gawryły Czulewula, modele kajaków czy... ścięgni renifera. Robiono z nich nici służące do zszywania elementów skórzanej odzieży. – To tylko niektóre przedmioty z liczącej 350 eksponatów kolekcji. Dzięki niej możemy dostrzec nieoczywiste konteksty polskiej kultury łączące się z dziedzictwem Czukczów, Aleutów, Koriaków, Ewenów, Selkupów czy Nieńców – dodaje Magdalena Zych.

Wystawa *Syberia. Głosy z Północy* będzie pokazywana w Muzeum Etnograficznym do 31 sierpnia 2021. Efekty badań terenowych znajdują się na stronie www.etnomuzeum.eu/syberia.



Róża – muza krakowskich artystów

Tekst: Janusz M. Paluch **Ilustracje:** Jacek Malczewski (na okładce książki) i Czesław Rzepiński *Portret Róży Aleksandrowicz*, 1935, domena publiczna

Prof. Aleksander B. Skotnicki, wybitny hematolog i transplantolog, działacz społeczny, wydał – w ramach Fundacji Stradomskie Centrum Dialogu – kolejną książkę *Róża Aleksandrowicz – muza malarzy krakowskich I połowy XX wieku*.

Książka nie jest biografią. Zawiera szkice o pięknej Róży Aleksandrowicz, listy, dokumenty i biogramy najważniejszych postaci z jej kręgu – rodziny i artystów malarzy, którzy chętnie ją portretowali. Byli wśród nich między innymi Jacek Malczewski, Mojżesz Kisling, Leopold Gotlieb, Czesław Rzepiński, Vlastimil Hofman, Jan Rembowski, Zygmunt Waliszewski, Henryk Dietrich, Edward Baranowski, Jacek Mierzejewski czy Teodor Axentowicz. Spotykali ją w sklepie z materiałami papierniczymi przy ul. Długiej, w kamienicy Pod Globusem.

Założycielką firmy zajmującej się sprzedażą papieru była Regina Aleksandrowicz, której mąż Wolf przez całe życie studiował pisma talmudyczne. Ona utrzymywała rodzinę, prowadząc sklep papierniczy naprzeciwko Akademii Sztuk Pięknych. Po śmierci męża, samotnie wychowując pięcioro dzieci, udała jej się zdobyć w Wiedniu (musiała pojechać osobiście) koncesję na uruchomienie poważnej firmy papierniczej. Wtedy otworzył swe podwoje Skład Papieru R. Aleksandrowicz w kamienicy Pod Globusem. Firma odniosła sukces w Polsce po 1918 roku, a niebawem prowadziła magazyny z bocznicą kolejową przy ul. Kamiennej oraz uruchomiła oddziały we Lwowie, w Rzeszowie, Poznaniu, Katowicach i Bydgoszczy. W działalność firmy włączyli się dwaj synowie Reginy oraz córka – piękna Róża. To z jej inicjatywy

w sklepie papierniczym wprowadzono dział z przyborami dla artystów malarzy. Zopatrywali się tam profesorowie i studenci pobliskiej ASP, a czarująca Róża okazała się dla wielu muzą. Portretowała się cała rodzina Aleksandrowiczów, a kontakty z artystami owocowały powstawaniem kolekcji obrazów, które po latach przekazane zostały do zbiorów Muzeum Narodowego Krakowie.

Kres obecności Aleksandrowiczów w Krakowie położyła II wojna światowa. Ich przedsiębiorstwo przejęli okupanci, a po wojnie komunistyczne władze Polski. Róża przeżyła wojnę, uciekając przed Niemcami – najpierw we Lwowie, potem w Kazachstanie. W 1946 roku wróciła do Krakowa, próbując ratować majątek. Po kilku latach udało jej się wyjechać do Izraela, wywożąc kilkanaście obrazów i ulubiony dywan z dawnego jej mieszkania...

Na kamienicy Pod Globusem, z inicjatywy prof. Aleksandra B. Skotnickiego, umieszczono tablicę pamiątkową poświęconą rodzinie Aleksandrowiczów. Czytelnikom natomiast przekazał książkę, która jest zacznym do opowieści o żydowskiej krakowskiej rodzinie Aleksandrowiczów „od papieru”.

Aleksander B. Skotnicki, *Róża Aleksandrowicz – muza malarzy krakowskich I połowy XX wieku*, Wydawnictwo AA, Kraków 2020.

■ Stary Teatr ma nowego dyrektora

Ostatnimi czasy zmiany dyirekcji w Starym Teatrze odbywały się w burzliwej atmosferze. Piotr Gliński bezpardonowo potraktował dokonania Jana Klaty, który opuścił scenę, a trafiła w ręce Marka Mikosa. Minister kultury o tym, że popełnił błąd, musiał przekonać się dość szybko. Jednak odczekał całe trzy lata i dopiero we wrześniu zdymisjonował mianowanego przez siebie dyrektora. Teraz na jego miejsce powołał Waldemara Raźniaka, aktora, reżysera, a przede wszystkim pedagoga Akademii Teatralnej w Warszawie.

Tym razem zespół „Starego” zaakceptował decyzję ministra. – Gdyby tak się nie stało, nie objąłbym tej funkcji – mówi Waldemar Raźniak, podkreślając, że jest otwarty na dialog i niczego nie zamierza robić na siłę. Wraz z jego nominacją została rozwiązana złożona z aktorów Rada Artystyczna. Raźniak nie zamierza zmieniać jej planów repertuarowych na ten sezon. Podkreśla, że są świetne i pokrywają się z jego gustem. A ponieważ podczas swojej dyirekcji planuje zapraszać do Krakowa najgorętsze nazwiska światowego teatru, cieszy go, że dzięki aktorom zaczną tu próby do *Trzech siostr* artysta tej klasy co Luk Perceval. Sam chciałby współpracować z twórcami tej miary co Jurij Butusow, Irina Brook, Dimitris Papaioannou... – Będę kładł nacisk na to, by jakość literacka realizowanych tu tekstów była jak najwyższa. Nie będą to tylko sztuki klasyczne. Zakładam możliwość pisania na użytek teatru także nowych tekstów, tak jak to robi, pracujący z Moniką Strzępką, Paweł Demirski – zapewnia nowy dyrektor, dodając, że *Jeńczyzna*, najnowszy spektakl tej dwójki, z powodu pandemii został przeniesiony na sylwestrowy wieczór.

■ Fałat odnaleziony

Przed wojną przy ul. Karmelickiej 51 znajdował się oddział Muzeum Narodowego w Krakowie, który nosił imię Erazma Barączka, niegdysiejszego naczelnika Żup Wielickich, postaci znanej i szanowanej w mieście, i pewnie dlatego portretowanej przez największych – Jacka Malczewskiego i Leona Wyczółkowskiego. Znajdował on się w obrębie zainteresowań twórców, bo przecież jako zapalony kolekcjoner nieraz buszował po pracowniach artystów. Kiedy przeszedł na emeryturę, przekazał kupione przez siebie muzeum, które z jego kolekcji stworzyło specjalny oddział. Wśród owych prac był obraz Juliana Fałata *Cmentarz Montmartre w Paryżu*.

– Fałat namalował go wiosną 1893 roku. Jest to najlepszy pejzaż miejski w twórczości tego artysty. Tematem skąpanego w przymglonym świetle obrazu

są barwne jesienne drzewa, kontrastujące z geometrycznymi nagrobkami i budynkami – mówi Katarzyna Bik z MNK. Uroda dzieła skusiła zapewne niemieckich oficerów, którzy zarekwirowali go w 1940 roku i powiesili w jednym z biur Generalnego Gubernatora. Po wojnie obraz został uznany za stratę wojenną. Szczęśliwy traf chciał, że starszy kustosz Janina Skorupska-Szarlej, prowadząc kwerendę naukową, natrafiła nań w warszawskim Muzeum Narodowym. Teraz wrócił do Krakowa. Niebawem będzie można go oglądać w Gabinetie Grafiki i Rysunku MNK.

■ Nagrodzona Katarzyna Zechenter jest tam i tutaj

Katarzyna Zechenter od lat wykłada literaturę i kulturę na University College London, w Wyższej Szkole Studiów Sławistycznych. Nigdy nie zapomniała jednak o Krakowie. Kraków pamięta też o niej, szczególnie, gdy dochodzą nas wieści, że została laureatką Nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za tom wierszy *Tam i tutaj*. – Jej twórczość poetycka, czerpiąca z osobistych przeżyć, porusza tematy bliskie i zarazem odwieczne: odchodzenie, śmierć, przemijanie, ale też wynikające z sytuacji życia poza krajem, co rodzi nostalgię i nieustającą potrzebę samookreślenia. (...) W nagrodzonym tomie wierszy udało się poetce trudna sztuka bycia *Tam i tutaj* – uzasadniło swój werdykt jury. Laureatami nagrody zostali też Jan Wolski i Paweł Panas.

■ Zagraj w sztukę

Chciałam napisać, że to gra przeznaczona dla tych, którzy z powodu pandemii zostali odcięci od możliwości podziwiania obrazów czy rzeźb w muzeach. Ale sale wystawowe to tak naprawdę jedne z bezpieczniejszych obecnie miejsc w przestrzeni publicznej. Kiedy wybierzemy się do nich w dzień powszedni, możemy niemal mieć pewność, że będziemy obcować z dziełami sztuki sam na sam, co wcześniej, choćby z powodu odwiedzających miasto turystów, było niemożliwie. Dla tych, których jednak nie przekonałam do osobistego odwiedzenia muzeów, mam ciekawą propozycję. Otóż w sieci dostępna jest bezpłatna gra (<https://zagrajwsztuke.pl/>). Dzięki niej możemy sprawdzić swoją wiedzę o polskich artystach oraz ich dziełach, i przynajmniej na ekranie obcować z wybitym malarstwem. Można wybrać podstawowy, średni albo zaawansowany poziom zabawy i zanurzyć się w świat piękna, odpowiadając na wiele pytań. Warto to robić z dziećmi, gdyż gra ma zdecydowanie charakter edukacyjny.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec



W następnym numerze między innymi:

Zbigniew Mikołajko: na czym polega magia świąt

Marcin Świetlicki: muzyka i pisanie

Radosław Krzyżowski o astronomii i gwiazdach

Opowieści wigilijne zegarmistrzów i jubilerów

Historie krakowskich służących

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.



Rys. Piotr Błachut

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopiśmie, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**

– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.

Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Culture.pl

Żyjemy w czasach kultury obrazkowej. Jej częścią jest identyfikacja wizualna – dziedzina projektowania kojarząca się raczej z rzemiosłem niż ze sztuką. Ale czy nie jest sztuką logotyp, który przetrwał dekady? O najsłynniejszych znakach graficznych i tworzeniu w kulturze cyfrowej opowiada Patryk Hardziej – autor książki *CPN. Znak, identyfikacja, historia*. Wywiad można przeczytać w serwisie culture.pl.

<https://culture.pl/pl/artykul/patryk-hardziej-znaki-graficzne-dzialaja-jak-kapsula-czasu-wywiad>

„Znak CPN był przełomowy na kilku poziomach. Przede wszystkim stanowił podstawę do spójnej, kompleksowej identyfikacji wizualnej przedsiębiorstwa i do opracowania pierwszej w Polsce książki znaku. (...) Poza tym w tych ciężkich czasach, w których wszystkiego brakowało, znak CPN został wymyślony tak, aby malując trzy litery zużywać farby tylko na dwie. »N«, które jest w inwersji, było »gratis«. Ten projekt autorstwa Ryszarda Bojara, Jerzego Słowikowskiego i Stefana Solika pokazał innym polskim przedsiębiorstwom drogę do bardziej precyzyjnego komunikowania o swojej obecności i dzięki temu mogły zbudować w świadomości odbiorców lepsze wyobrażenie o firmie. Dzisiaj możemy nazwać to »marką«”.

Liberte.pl

Wirus powraca i coraz częściej wkrada się na łamy serwisów kulturalnych. Amerykański aktor Denzel Washington powiedział kiedyś: „Jeśli nie czytacie prasy, jesteście niedoinformowani, jeśli zaś czytacie, jesteście dezinformowani”. Mimo wszystko zachęcam do czytania: serwis Liberte! publikuje tekst, który wydaje się być głosem rozsądku w czasach pandemii.

<https://liberte.pl/surrealizm-i-tragizm-polskiej-walki-z-covid-19/>

„Słucham newsów o kolejnym dniu błędzenia karetok pogotowia z covidowymi pacjentami pomiędzy szpitalami, braku podstawowego systemu koordynacji przydzielania pacjentów do miejsc w szpitalach i mam naprawdę wrażenie, że żyjemy w jakiejś surrealistycznej, tragicznej rzeczywistości.

(...) Codziennie w mediach społecznościowych można przeczytać kolejne relacje pacjentów z podejrzeniem Covid-19, którzy odbijają się przez wiele dni od kolejnych oddziałów czy telefonów do sanepidu w nadziei na otrzymanie możliwości przeprowadzenia testu i otrzymania rekomendacji, co dalej. Osoby pozostawione po prostu same sobie”.

Kot i Jego człowiek, gdy przyszła zaraza, zostali poddani 3-miesięcznej kwarantannie.



Rys. Marek Braun



Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Bierzcie przykład z... dyni

Doświadczenie pandemiczne pokazuje, że zalecenia i przepisy sobie, a życie sobie. Miewamy bowiem problem z noszeniem maseczek oraz z zachowywaniem tak zwanego dystansu społecznego. Siła perswazji bywa tu często zawodna, więc poszukiwanie niekonwencjonalnych sposobów zdyscyplinowania samych siebie jest zawsze mile widziane. I właśnie na taki nietypowy sposób przypominania studentom i pracownikom naukowym o konieczności utrzymywania bezpiecznej odległości wpadły władze AGH. Otóż w kilku miejscach uczelnianego kampusu można się natknąć na porozstawiane w równych odstępach dynie. Tworzą one kompozycję zatytułowaną *Razem, a jednak osobno. Keep a safe distance* autorstwa architektki krajobrazu Ewy Czekaj-Kamińskiej. Dynia, wiadomo, warzywem dużym jest, a i swą pomarańczową barwą wybija się na tle szarości trotuaru, więc trudno jej nie zauważyć. Podobna nam się ta idea dyni-przypominajki, gdyż w tym wypadku każdy skuteczny środek jest na wagę naszego zdrowia. A fakt, że niektórzy rozsądku muszą się uczyć właśnie od dyni, niech nam wszystkim da do myślenia.

I ty możesz zgłosić zabytek!

Czy zdarzało Wam się czasami unieść głowę, by dostrzec wyjątkowy detal architektoniczny jakiejś krakowskiej kamienicy? Jeżeli nigdy tego nie robicie, spróbujcie. Dostrzeżecie wtedy choćby efekty niezwykłej wyobraźni Teodora Talowskiego, który daje się nam rozkoszować na przykład śpiewającą i grającą na gitarze żabą, widoczną na jednej z kamienic przy ulicy Retoryka. Takich miejsc i architektonicznych smaczków jest u nas sporo. Ba, bywają jeszcze nieodkryte. Właśnie to jest jeden z powodów, że powstała aplikacja „Zgłoś zabytek”. Od teraz każdy, kto odkryje coś interesującego, może zrobić zdjęcie i umieścić je na owej platformie. Twórcy aplikacji – prof. Miłkołaj Leszczuk, jego studenci oraz Urząd Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków – chcą w ten sposób zaaktywizować mieszkańców do opieki nad swoim otoczeniem i zwrócić uwagę na „nowe”, zabytkowe obiekty. Tak więc, Szanowni Państwo, głowy do góry i smakujemy detale!

„Czarodziej” magicznie uratowany

Pewnie wielu z Was nie wyobraża sobie Krakowa bez cocktail-baru Czarodziej. Kawusia z kremóweczką na Karmelickiej czy wuzetka z herbatką na Wrocławskiej lub Galla to od lat rytuał wielu krakowian. Nic więc dziwnego, że mieszkańców zmartwiła informacja, iż z powodu pandemii cukierni grozi plajta. Ale przecież internet i dobra wola czynią cuda! Wystarczyła facebookowa akcja #wspieramczarodzieja, by niejeden z nas zapomniał o diecie i wspomógł w potrzebie słodkie kawiarrenki. Krakowskie łasuchy ruszyły tłumnie, by osobiście lub przez internet składać zamówienia. Ciastka i torty znikwały jak za dotknięciem różdżki, kolejki ustawiały się przed drzwiami, a pracownicy radośnie oznajmiali: „Wygląda na to, że w październiku mieszkańcy Krakowa przeszli na dietę kremówkową”. Więc i my pobiegliśmy z A-B na Karmelicką, by z pełnym poświęceniem ratować Czarodzieja. Niestety, owa odsiecz zakończyła się koniecznością poszerzenia paska od spodni o co najmniej jedną dziurkę. I nie pomogły żadne zaklęcia.

„Anton” dobry nawet na kaca

24 września minęło dokładnie 115 lat od chwili otwarcia Ogólnodostępnego Zakładu Kąpielowego Wody Siarczano-Solankowej w Podgórzu pod Krakowem. Co się kryje pod tą przydługawą nazwą? Oczywiście dawne uzdrowisko przy ronce Matecznego. Niestety, ostatnimi czasy mocno podupadły obiekt przestał oferować kąpiele zdrowotne. W latach 90. zakapslowano też ostatnią butelkę wody Krakowianka wydobywanej z tutejszych źródeł. Z tym większą radością donosimy, że już za rok będzie można ponownie docenić lecznicze walory znajdującej się na głębokości 36 metrów wody. Obecnie wznoszony jest pawilon pijalni, gdzie z kraników poleje się zdrowotna ciecz. W nowej odsłonie będzie się ona nazywać prawdopodobnie Anton, na cześć twórcy uzdrowiska Antoniego Matecznego, którego czeskie imię tak właśnie brzmiało. Bogata w magnez i wapń woda nie tylko obniża poziom cholesterolu, ale może być również pomocna przy dolegliwościach moczowych i żołądkowych. Specjaliści dodają, że Anton nada się także na otyłość i... kaca. Oj, coś nam podpowiada, że do kraników na Matecznym będą się ustawiały długie kolejki.

A w Krakowie cicho, sza

No i znowu jesteśmy najlepsi! Jak czytamy w raporcie *Polska w decybelach*, w Krakowie, a konkretnie na AGH, znajduje się najcichsze miejsce w Polsce. Jest nim komora bezechowa, wykorzystywana przez specjalistów do celów naukowych. Dowodzą tego badania przeprowadzone w wielu polskich miastach przez Stowarzyszenie Komfort Ciszy i Grupę Saint-Gobain. Co ciekawe, badacze decy-

beli wskazali także miejsca najgłośniejsze. Otóż należą do nich stołówki szkolne. Hałas dzieciaków jedzących zupę i drugie danie porównywalny jest z wjazdem na peron wagonów warszawskiego metra. Poszukując ciszy, powinniśmy także omijać okolice alei Mickiewicza obok Muzeum Narodowego (73,4 decybeli). Bezpieczniej będzie przycupnąć na Plantach pod Wawelem (50,2 decybeli).



Janusz Stefaniak, *Nierozpoznanie*



FILHARMONIA im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO w KRAKOWIE
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

ANTONI WIT – Dyrygent Honorowy

KONCERTY KAMERALNE

Joanna KONARZEWSKA
skrzypce

Szymon NAŚCISZEWSKI
skrzypce

Marta CZEPIEŁOWSKA
altówka

Michał DĄBEK
wiolonczela

Duszan KORCZAKOWSKI
kontrabas

Michał FRANCUZ
fortepian

w programie:

Franz SCHUBERT

Quartettsatz D703

Kwintet fortepianowy A-dur op. 114 *Pstrąg*

13.11.2020

piątek, godz. 19.30

14.11.2020

sobota, godz. 18.00

ODNOWIONA SALA FILHARMONII KRAKOWSKIEJ
ul. Zwierzyniecka 1

KONCERTY ORATORYJNE

87. rocznica urodzin Krzysztofa Pendereckiego /1933-2020/

ORKIESTRA I CHÓR
FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Antoni WIT dyrygent

Jarosław **BREK** baryton

Teresa **MAJKA-PACANEK** chórmistrz

w programie:

Rafał JANIĄK *Postscriptum 8':37" ≈ 8(.)6...*

Utwór pamięci prof. Krzysztofa Pendereckiego (prawykonanie)

Krzysztof PENDERECKI

Epitaphium Artur Malawski in memoriam

VI Symfonia Pieśni chińskie

O gloriosa virginum

Agnus Dei z Polskiego Requiem

Stabat Mater z Pasji wg św. Łukasza

27.11.2020

piątek, godz. 19.30

28.11.2020

sobota, godz. 18.00

ODNOWIONA SALA FILHARMONII KRAKOWSKIEJ
ul. Zwierzyniecka 1

foto: B. Fiołoch

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL



FILHARMONIA
im. Karola Szymanowskiego
W KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa

Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Prac, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpcy, Jazowsko
Anna Kosioriewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Adam Opatowicz, Kołbaskowo
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków

Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiołek, Ożarów Mazowiecki
Małgorzata Maruszkina, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski
Paweł Stanisław Nikliński, Kraków
Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Loręcki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Artur Romanowski, Kraków
Małgorzata i Paweł Jagusiowie, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Zmarli o żywych

Tekst: Agnieszka Kosińska

Kiedy mój aktualny narzeczony powiedział, że chciałby na spacer pójść na stary cmentarz, od razu wiedziałam, że będzie on bardzo długo moim aktualnym narzeczonym.

Stare cmentarze są od lat moimi ulubionymi miejscami wypoczynku. Gdyby nie one, kto wie, czy powstałyby moje najgrubsze i najbardziej wymagające książki? Stare cmentarze mają wszystko, czego potrzebuje zmęczony pracą człowiek: łagodne światło, regularny układ, jeśli monumentalne, to jednak na miarę człowieka budowle, można pooglądać piękny detal, konterfekty, to wszystko w swobodnej przyrodzie, drobne zwierzątka, wiewiórki, jeże też tak czują, nie mówiąc o ptasiej obecności, która dominuje, ale harmonijnie, tak że cisza przeważa. No i co krok historia w pączku. Kiedy więc mój aktualny narzeczony powiedział, że chciałby na spacer pójść na stary cmentarz, od razu wiedziałam, że będzie on bardzo długo moim aktualnym narzeczonym.

Jest jednak jeden dzień w roku, kiedy stare cmentarze doznają upokorzenia. Bierze je w posiadanie sztuczność, bezguście, brzydota i ludzki harmider. W ten jeden dzień jakże dobrze widać nie tylko zaniedbania edukacji estetycznej w narodzie, ale brak jakiegoś elementarnego rozsądku. Żeby tylko wyścig o największą i najbardziej jaskrawą kulę chryzantemy! To za mało. Ile wszystkiego badziewnego można zmieścić na metrze kwadratowym płyty nagrobnej? A potem długo w noc unoszący się smog z palonego plastiku i coraz dłużej świecących lampek. Nie tak dawno wspaniale było się spotkać na grobach. Rozmawialiśmy o bliskich, jedliśmy, piliśmy, weseliliśmy się. Żyliśmy. Dawni chrześcijanie nawet w języku znajdowali godne miejsce dla śmierci. Na nagrobkach nie pisano „zmarł”,

ale „usunął się” (recesit) albo „dp” (depositum) „oddany w depozyt”. Czyż to nie piękne? Czuję, że nie ma do tego powrotu. Świat jest już gdzie indziej. A gdyby tak drobną część naszych wydatków na grobbing przeznaczyć na odnowienie starych cmentarzy?

W ten jeden dzień, kiedy odwiedzam groby moich bliskich, zamykam oczy i widzę, jak zmarli wstają i robią nam, żywym, prawdziwą jesień średniowiecza. Do zobaczenia, kochani! *So long, so long...*

PS W związku z literackim Noblem tyrpią mnie, żeby coś powiedzieć. Już od jakiegoś czasu w związku z Noblem przychodzi mi do głowy taki pomysł. A gdyby tak zmienić regulamin nagrody i kazać komisji wybierać spośród pisarzy, którzy nie doczekali, a dobrze wiemy, że zasłużyli. To by dopiero się porobiło.



Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinska-miloszwwkrakowie.com>

MNK
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

KAROL KARDYNAŁ WOJTYŁA

FOTOGRAFIE ADAMA BUJAKA

WYSTAWA DO **10.01.2021**



MUZEUM KSIĄŻĄT
CZARTORYSKICH

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE
ARSENAŁ MUZEUM KSIĄŻĄT
CZARTORYSKICH

UL. PIJARSKA 8

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



Mecenas Muzeum Narodowego
w Krakowie



Partner Strategiczny
Muzeum Narodowego w Krakowie

Wstąp do Klubu, a dostaniesz
SKOTLAND YARD
z autografem autorki!*



Kocia trzynastka czyli...
najnowsze wiersze
Ewy Lipskiej
z rewelacyjnymi rysunkami
Sebastiana Kudasa



Zapraszamy!

Szczegóły w numerze oraz na
www.miesiecznik.krakow.pl/o-nas/klub-przyjaciol-krakowa/

* oferta ważna do wyczerpania zapasów

Klub Przyjaciół
miesięcznika

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

Zaczytaj się
w Krakowie
KRAKÓW
MIESIĘCZNIK
www.miesiecznik.krakow.pl